



# Twardzielka

Mariusz Zielke

*Jak to możliwe, dziwna dziewczyno,  
że jesteś tak wieloma kobietami dla tylu ludzi?*

Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*

*Pewnego wieczoru wziąłem na kolana Piękno.  
I przekonałem się, że jest gorzkie.*

Arthur Rimbaud, *Sezon w piekle. Iluminacje*

# Prolog

*wrzesień,*

*ubiegły rok*

Za Wolinem skręcili w prawo na Warnowo. Michał nie zareagował na nieśmiałe protesty przyjaciół i zwolnił, podziwiając malowniczą okolicę. Wąska dróżka biegła pomiędzy żegnającymi już lato drzewami, ogromnymi połaciami brudnozielonych pól i pastwisk ogrodzonych popękkanymi belkami, z rzadka tylko pilnowanymi przez stare, czerwone mury domostw. Mimo końcówki września wciąż było ciepło i słonecznie. Otworzył szeroko okno, wdychając świeże powietrze, specyficzny zapach gospodarstw i zagród wymieszany z wyczuwalnym z daleka dymem z palenisk, który szybko ustąpił mocnej woni sosen, buków i dębów wspaniałej kniei, ciągnącej się kilometrami aż do nadmorskich piaszczystych plaż niemal pustych w tym miejscu i o tej porze roku.

– Ależ powietrze. To nie Warszawa, chłopcy.

– Nad morzem woda wchodzi mi jak mleko. Na co jesteśmy przygotowani, prawda, panowie? – Paweł podsunął mu pod nos butelkę single malta, zapakowaną w papierową torbę. Michał pomyślał, że picie z gwinta trzydziestoletniego bimbru po pięćset dolców za butelkę trzeba uznać za profanację, nawet jeśli ma się go całą skrzynkę w bagażniku i pewność darmowego uzupełnienia zapasu w razie konieczności.

– Prowadzę. – Odsunął ramię z butelką i zawołał do tyłu: – Budź się, młody!

Artur, który w proteście przeciw zmianie trasy udawał, że śpi, westchnął głośno i zażartował:

– Już niedziela?

Przyjaciele roześmiali się gromko. Rozumieli się bez słów. Każdy głupi żart, kaprys, problem. Byli najlepszymi przyjaciółmi, znali się niemal jak kochankowie. Trzy wspólne lata w Szkole Głównej Handlowej, rok na wymianie na Uniwersytecie w Sussex oraz wizyty na uczelniach w Chinach i Brazylii wzmocniły więzi przyjaźni i stanowiły solidny fundament na przyszłość.

– Dlaczego nie jedziemy przez Międzyzdroje? – zaprotestował Artur.

– Chcesz spotkać mojego starego? – odparł Michał.

Artur spojrzał w okno. Ojciec Michała nie przepadał za nim i chłopak chyba zdawał sobie z tego sprawę, choć udawał, że się tym nie przejmuje.

– Aaa, zapomniałem. – Pokiwał głową. – Szkoda. Tamtejsze dziewczyny...

– Powinieneś raczej spieszyć się do Grodna.

Znów ten porozumiewawczy śmiech. Tak, powinniśmy spieszyć się do dziewczyn z Grodna. Tam nie będzie żadnych niedopowiedzeń, niepotrzebnych fochów, min i wybiegów. Jasna, prosta sytuacja. Słono zapłacili za ogień, który ich czekał. Ale warto było.

– Ciekawe, co tym razem przygotowała nam Sonia? – Paweł pociągnął porządny łyk z butli.

– Ją też bym chętnie przeleciał.

– A kogo ty byś nie przeleciał – zadrwił Artur i klepnął przyjaciela w kark. – Pamiętasz tę paskudę z akademika?

– To nie byłem ja...

– No tak, zapomniałem, że po drugiej butelce przechodzisz w trzeci wymiar...

Michał pokręcił głową z zadumą. Ktoś, kto wymyślił mu życie, naprawdę powinien dostać medal. Miał najwspanialszych przyjaciół na świecie, najpiękniejszą dziewczynę pod słońcem,

świątecznego staruszka z otwartym na wszystkie zachcianki portfelem, kasę i wielką przyszłość. Stała przed nim otworem, rozwierała ramiona, czekała na niego. Tyle dróg do wyboru. Tyle możliwości.

Świetne życie.

Jak to powiedziała ta wróżka w Chinach? „Czeka cię życie pełne wrażeń, tylko takie się liczy”.

Wrażenia.

A tych dzisiejszego wieczoru nie zabraknie. Już Sonia się o to postara. Jeszcze nigdy się na niej nie zawiedli. Dziewczyny zawsze spełniały wszystkie zachcianki, były piękne, niezwykle, cudowne. I wcale nie przypominały kurewek. Normalne laski, tyle że z załadowanym do mózgowi odpowiednim oprogramowaniem. Żadnych narzekań, wykonywanie poleceń bez mrugnięcia okiem, wieczny uśmiech na pięknych buziach i sterczące cycki. Nie zmuszały się, były chętne i radośnie uczynne. Inicjatywa własna mile widziana, podobnie jak nieudawane orgazmy. Mieście z tego trochę przyjemności. Wasi klienci są tego warci. Są bogaci, zadbani, czysti, nawet jeśli starsi, to na szczycie drabiny społecznej. A z takimi jak Michał i jego przyjaciele... Sama przyjemność.

Michał popatrzył po przyjaciółach. Smukłe, umięśnione, opalone ciała. Sympatyczne twarze nigdy niepoddane ekstremalnym próbom, które zostawiają rysy w oczach i charakterze. Silni, wspaniali, władczy. Przyszli panowie świata.

Z takimi to naprawdę sama przyjemność.

Nawet dla takich cudownych kobiet jak one.

Gwiazdy. Były prawdziwymi gwiazdami.

– Może dziś będę miał przyszłą królową sceny? – westchnął teatralnie Artur.

– Dzieciaki ci nie uwierzą, jak opowiesz, kogo w młodości posuwałeś.

– Nie zamierzam mieć dzieci.

– Dzieci to tylko problemy, prawda, Hades?

Hades, ksywka Michała od dnia, gdy zdobył tytuł króla nocy klubu Hades. Mimo że kojarzyła mu się tylko z dobrymi rzeczami, nie lubił jej. Może dlatego, że w przeciwieństwie do przyjaciół był zadeklarowanym optymistą. Nawet gdy się waliło i paliło, on dostrzegał blask słońca, światełko w mroku.

„Nie poddawaj się, nie jesteś słabeuszem, zawsze walcz do końca” – tak mawiał jego ojciec.

Hades. Naprawdę kiepska ksywka dla niego.

Wtedy, tamtego wieczoru w Hadesie, poznał Łucję. Łucję o pięknym imieniu i jeszcze wspanialszym ciele, włosach jak marzenie, rozkoszy wymalowanej na twarzy. Kobietę, z którą każdy normalny facet... chciałby mieć dzieci.

Tak, on zupełnie poważnie o tym myślał.

Myślał o dzieciach z Łucją.

– Co tam, Hades? Masz odpowiednie zabezpieczenie? – Artur pomachał mu paczką prezerwatyw przed nosem. – Wszystkie kolory tęczy i na deser wielka czerń. Big Daddy, jak pseudonim tego słynnego boksera. Chciałbyś mieć taką pałę, co nie...?

Nie słuchał ich. Wyłączył się. Mógłby teraz przymknąć oczy i byłby tylko on, wiatr, morsko-leśny zapach wczesnej jesieni, powoli wpadające w żółć i czerwien kolory liści... I Łucja. Jej wspaniała, roześmiana buzia. Ta jedyna. Ciekawe, jak zareagują przyjaciele, gdy im o tym powie? Gdy wyjawi, że w końcu się zdecydował. Że to właśnie ona, ta jedyna.

Dzieci. Tak, chcę mieć z nią dzieci.

Już widział te miny. Rozdziawione w zdumieniu gęby. Podręcznikowy przykład osłupienia.

Ale pomiędzy nami nic się nie zmienia, nie bójcie się, wszystko zostanie po staremu. Piwo co

czwartek, niedzielny basen, weekendowy brydż do rana przy dobrej butelce. Ojciec będzie dostarczał single malty jak dziś. Dużo ich dostaje, nie zbiednieje od utraconej skrzyneczki. Tak, tak. I rowery, narty, bungie, tenis. Wszystko zostanie po staremu.

A dziewczyny?

To też się nie zmieni? Nie będziesz już szukał dla nas Soni i jej anielic? Diablic raczej. Nie będzie ci żal? Rzeczywiście potrafisz to urwać? Łucja zastąpi ci je wszystkie? Naprawdę jest taka dobra? Opowiedz nam.

Nie uniknie takich pytań.

Zacisnął mocno szczękę.

Będzie bronić jej honoru. Łatwe dziewczyny to inny temat. Ja też nie chcę rozmawiać o waszych dziewczynach. Bo ich nie mamy. W takim razie nie będę chciał. Nie będę wypytywał. Wy też musicie ją uszanować. Bo ona jest inna, wyjątkowa. Zapamiętajcie to słowo: wyjątkowa.

A widzisz, coś jednak się zmieni.

Pierwsza zmiana, potem druga.

Trzecia.

Czwarta.

Potem już poleci. Będzie z górki.

Zapomnisz o piątkowym piwku, na narty pojedziesz z nią, a nie z nami, wybierzesz plażę na Bora Bora zamiast nurkowania z orkami w norweskich fiordach. Powoli zaczniesz odpuszczać. Zamienisz wyzwania na ciepłą kołderkę. Wejdiesz pod kapciuch, zapomnisz. Zapomnisz o nas.

Bzdura. Łucja lubi orki, polubi was, wy polubicie ją.

To twarda baba, nie mimoza.

Ale... macie rację.

Nic nie będzie takie jak kiedyś.

– Coś się tak zamyślił? Nie możesz się doczekać?

Wyjechali na chwilę z lasu, a potem ciągnęli mozolnie na trójce wąską dróżką przez ciemne, gęste ostępy parku narodowego aż do samego Grodna. Duży luksusowy jeep bez trudu pokonał ostatnią część trasy z resztkami asfaltu i wielkimi dziurami w nawierzchni. Michał zaparkował przed bramą wjazdową, na której widniał napis:

Woliński Park Narodowy  
Grodno  
Kompleks edukacyjny

Dyżurka – jak zawsze – była pusta. Nikt nie musiał pilnować tego zadupia. Otworzył bramę i wrócił do samochodu. Obaj przyjaciele wystawiali już łby przez szyby.

– Boże, ależ tu cudnie. Niesamowite – szepnął Artur.

– Twój stary ma naprawdę niezłe chody – dodał Paweł.

– Mojemu staremu nic do tego – fuknął Michał. Nie lubił, gdy jego własne sukcesy próbowano powiązać ze znajomościami ojca. To on wynalazł tę willę i sam załatwił wszystkie formalności związane z dzierżawą. Nawet pierwszą ratę i wadium wpłacił ze swojego konta. Ojciec w niczym mu nie pomógł.

– Nie wściekaj się, tylko żartuję.

– Znajdź sobie inny obiekt do kpin.

– Chyba wiem jaki, zobaczcie.

Na parkingu przed głównym budynkiem byłej rządowej willi stał samochód Soni.

– Ciekawe, czy udało jej się spełnić wszystkie nasze oczekiwania.

– A kiedy się nie udało?

Zaparkowali obok, chwycili worki z rzeczami oraz prowiantem i ruszyli do najbliższego budynku. Drzwi były otwarte. Pusta recepcja sprawiała niesamowite wrażenie.

– Czuję się jak w Czarnobyli – szepnął Paweł. – Wymarłe miasto w wersji mini. Stara pieprzona komuna, relikw przeszłości, przeżarty przez czas.

Usłyszeli chichot dziewczyn na górze i spojrzeli po sobie.

– Nie mogę się doczekać. – Artur oblizał wargi.

– Spokojnie, najpierw się przygotujemy.

– Ech, te wasze niespodzianki.

Weszli do przeznaczonej dla nich części budynku, rozpakowali rzeczy, wykąpali się i włożyli garnitury.

– Jak nie ty – ocenił Michała Paweł. – Hades w gajerku.

– Prosiłem cię, żebyś mnie tak nie nazywał.

– Dobrze, już dobrze. – Paweł wyjrzał przez okno w samą porę, by zobaczyć odjeżdżający samochód Soni. Zgodnie z umową miała pojawić się dopiero jutro rano, by odebrać dziewczyny.

Pierwszy szedł Artur, chwiejąc się wesoło na boki z butelką wina w ręku, za nim Paweł, na końcu Michał. Zwykle to on prowadził. Dziś jednak wolał poczekać. To ostatni raz. Więcej już nie będzie. Zostanie tylko Łucja.

Stańli przed drzwiami i Paweł wyjął paczkę z koka.

– Kto chce na zachętę?

Michał zwykle odmawiał, ale tym razem wciągnął trochę białego proszku, czując nagły przypływ mocy. Ostatni raz. Ostatni raz.

Słońce rozbłysło i eksplodowało.

Znów był bogiem.

Ostatni raz.

Niech zatem będzie wyjątkowy.

– Daj jeszcze jedną działkę. Moc.

Pociągnął i poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Aż nim wstrząsnęło. Wspaniale. Jak młody bóg. Sprawię, że trafisz na Olimp, królowo, kimkolwiek jesteś. Nie miałaś lepszego kochanka. Czeka cię pół godziny jazdy bez trzymanki na moim byku o demonicznym kształcie. Prawdziwa czysta rozkosz. Zobacysz. Przekonasz się.

Drzwi wolno się otwierały.

Artur wszedł, wesoło pogwizdując i kołysząc się na boki kanciastymi, szybkimi ruchami. Chodził tak, jak się kochał i bił – szybko, ostro, gwałtownie. Był znacznie bardziej ekspresyjny niż Paweł, ale Michał czasem nakrywał go na chwilach refleksji, i wydawał się wówczas zupełnie innym człowiekiem.

„No tak, robi z siebie głupka na pokaz” – myślał Michał.

Z kolei Paweł ciągle wydawał się taki sam. Cichy, wyważony, spokojny. Tylko kiedy ktoś go naprawdę zdenerwował, wpadał w furję. Wtedy lepiej być daleko.

Artur postawił butelkę z winem na stole i zagwizdał, tym razem głośno i ostentacyjnie, chcąc okazać, jak bardzo podoba mu się wybór Soni. Zgodnie z zamówieniem dziewczyny były trzy. Brunetka, ruda i blondynka. Artur chciał z początku Murzynkę, ale w ostatniej chwili wycofał się i zmienił wytyczne. Paweł jak zawsze poprosił o rudą.

Ale żeby była inna niż ostatnio. Nie to, żeby mu tamta nie pasowała...

„Po prostu nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki” – powiedział, siląc się na dowcip, choć wyraźnie nie o to chodziło.

Może mu nie wyszło albo wstydział się czegoś innego?

„A ty?” – zapytała wówczas Michała Sonia.

Przymknął oczy i wyrecytował: „Metr siedemdziesiąt pięć, średni biust, proste blond włosy za ramiona, zielone oczy. Ma być piękna. Włosy mogą być sztuczne. Ale oczy... mają być... prawdziwe. I cycki. Muszą sterczeć, wyzywać, prowokować. Ma mieć ładne cycki”.

I oto stała przed nim. Dokładnie taka, jak ją opisał. Metr siedemdziesiąt pięć, zielone oczy, włosy blond i proste. Bez peruki. Pod wieczorową suknią o perłowym kolorze sterczące cycki. Świeża letnia opalenizna gratis, bez zamówienia. Twarz jakby trochę rozmazana, jak na starym zdjęciu.

Ideał. Ideał piękna.

Zacisnął mocno zęby, by nie dać po sobie poznać wstrząsu, jakiego doznał.

Aż za bliska ideału.

Koka już działała. Po fali mocy i euforycznego uniesienia wzrok, jeszcze przed chwilą wyjątkowo wyostrzony, zaczął płać mu figle. Kontury się rozmazały. Dziewczyna przed nim urosła o parę centymetrów, stała się wielką bezkształtną masą, a potem wszystko wróciło do normy.

Uff. Mocny towar.

Artur i Paweł dość szybko zabrali się do roboty, a oni tylko na siebie patrzyli. Zakłopotani, zdziwieni, zszokowani tym, że mogli na siebie trafić, tak dobrze dobrani, jakby byli dwiema połówkami tego samego jabłka.

– Nic nie powiesz? – Uśmiechnęła się.

Wzruszył ramionami.

Co miał mówić? Nie chciał tu przyjeżdżać. Zrobił to tylko dla przyjaciół. Nie chciał korzystać. W takim razie dlaczego przyjechał? Dlaczego opisał Soni swoje wymagania, a gdy spełniła je co do joty, stracił na wszystko ochotę?

Artur zniknął w pokoju obok ze swoją dziewczyną, a Paweł z rudą przysiedli się do nich.

– Co takie smuty? Poradźmy coś na to? – Paweł podał wszystkim kolejną działkę kokainy.

Obie dziewczyny wciągnęły bez protestów.

– Jesteście modelkami? A może śpiewacie? Chórki? Macie już na koncie jakąś płytę? Nie, ciebie to chyba widziałem w serialu. Grasz też na scenie?

Ruda pokręciła karcąco palcem. Nie, nie, nie. Nie bawimy się w takie pytania. Porządne z nas kurwy. Nie rozmawiamy o naszym prawdziwym życiu i nie wypyujemy o wasze.

– Mam ochotę na whisky. – Michał wstał i wyszedł.

Czarna jęczała już pod Arturem. Łomotał jak zawsze ostro, bez przystanku. Mocne, porządne rżnięcie. Tak robi prawdziwy mężczyzna, tłumaczył kiedyś Michałowi, one właśnie tego potrzebują, dużej, twardej pały, maszyny z dobrze naoliwionymi mechanizmami, siłą i wigorem. Na głaskanie i ciepłe słówka przychodzi czas później. Chcesz, nauczę cię. Nie, dzięki, sam potrafię. Też tak potrafię.

Zamknął drzwi, wszedł do swojego pokoju i wygrzebał z bałaganu torbę z łyskaczem. Nagle do drzwi zapukała ona. Przyszła za nim. To dobrze czy źle? Może i dobrze? A może źle.

– Idę się przejść.

– Mogę pójść z tobą?

Wzruszył ramionami.

Szli przez las w kierunku plaży. Ośrodek miał własną, długą linię wybrzeża, na którym o tej porze roku nikogo nie było.

– Może zrobimy to na plaży?

– Jak ci na imię?

– A jak chcesz?

– Łucja – wypalił. Skoro jesteś kopia Łucji, czemu nie miałybyś mieć tak samo na imię.

– Może być?

– Jak sobie życzysz.

Wyszli na plażę i Michał usiadł, oparłszy się o łachę piachu. Łucja usiadła obok. Pił w milczeniu. Ona także się nie odzywała. Wyglądali jak para starych, znudzonych sobą kochanków.

– Upijesz się?

– Zamierzam.

– Wtedy... może ci się nie udać.

– Nie zależy mi.

– Z koką to niebezpieczne. Niebezpiecznie łączyć alkohol i narkotyki.

– Lubię niebezpieczeństwo. Ty nie?

– To zależy, z kim je dzielę.

– A ze mną?

– Z tobą byłoby... wspaniale. – Próbowwała zetrzeć mu drobinki piasku z policzka, które nagle rzucił im w twarz powiew wiatru, ale odsunął gwałtownie głowę i odtrącił jej dłoń. Nie, ze mną nie będzie.

– Dlaczego? Nie podobam ci się?

Milczał. Dopiero po paru sekundach powiedział:

– Jesteś piękna.

– No więc dlaczego mnie nie chcesz?

Spojrzał na nią. Ta piękna, wspaniała, niezwykła buzia. Niemal taka sama jak buzia Łucji w jego wyobraźni.

– Zakochałem się – powiedział.

– I to jest powód do picia?

– Zakochani nie różnią się wiele od alkoholików. Cały czas są na rauszu.

– Naprawdę ją kochasz?

Pokiwał głową. Naprawdę.

– Nie musimy tego robić. Możemy po prostu posiedzieć.

Znowu skinął głową, a potem gwałtownie wstał i się zatoczył. Miała rację. Alkohol z koką nie zadziałały za dobrze; był mocno zrobiony.

– Poczekaj, pomogę ci.

Wstała, lecz on odskoczył, jakby zobaczył potwora. Potknął się, przewrócił, poderwał się i cofał drobnymi kroczkami, z rosnącym przerażeniem w spojrzeniu. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, błyszczącymi jak gwiazdy. Nie, choć może tak się wydawało, on nie patrzył na nią. Patrzył... za nią. Bo ciemność nagle wybrzuszyła się, zawirowała i wypuła falującą istotę, której nie był w stanie opisać. Potwora, przerażającego demona o bladej twarzy i drgających jak rój os oczodołach. Szedł powolnym krokiem w ich stronę, a ona go nie widziała, nie rozumiała tego rosnącego w Michale przerażenia. Nie dostrzegła niebezpieczeństwa.

Blisko, coraz bliżej.

Czerń o bladym obliczu już była tuż za nią i... dopiero wtedy Łucja się odwróciła i odskoczyła przerażona.

Ale nie zdążyła krzyknąć.

Postać chwyciła ją w ramiona i zacisnęła czarny szal na jej szyi, ustach, a potem pożarła, pochłonęła w całości, pokryła mrocznym cieniem, gęstniejącym mrokiem.

Zniknęli. Nie było już nic.

Tylko ciemność.

Nie czekał dłużej.

Coś kazało mu biec. Uciec od tej fałszywej projekcji i kłamliwej wizji Łucji. Nie pozwolić jej się oszukać, skusić, wystraszyć. Biegł coraz szybciej, nie słysząc nawoływań i próśb. Poczekaj, nie uciekaj, nie zostawiaj mnie tu samej.

To nie był głos Łucji.

Głos potwora.

Prześmiewczo piskliwy, złowrogi chichot demonicznego karła.

Uciekł. Dobiegł do domu, pokonał schody, przeskakując po trzy stopnie naraz, i zatrzasnął za sobą drzwi sypialni. Położył się i zamknął oczy, drżąc w alkoholowo-kokainowej delirce.

Łucji tu nie było. To był tylko sen.

Tylko zły sen.



## Część pierwsza – Wyzwanie

*dziesięć miesięcy później,*

*lipiec, teraz*

1

Sala była pogrążona w mroku. Dziewczyna otwierała i zamykała oczy, próbując przebić wzrokiem nieustępliwe ciemności. Zadrżała, gdy z czarnej mazi i szarawych chropowatości wyłowiła zarys pierwszej twarzy. Bładej, świecącej, jakby pokrytej jakąś lepką substancją. Sekundę później zobaczyła kolejną i jeszcze jedną. Wszystkie były jasne i miały identyczne rysy. Maski. Nagle zrozumiała, że to tylko maski.

Maski zabójców.

Gdzieś w oddali rozbłysła pierwsza świeca, na chwilę ją oślepiając. Przymknęła oczy, a kiedy je otworzyła, mrok nie był już jedynym władcą pomieszczenia. Otaczały ją. Demony, cały legion demonów. Dziesiątki, setki okutanych w satynowe peleryny postaci. Maski z czarnymi otworami, w których kryły się oczy i usta. Niewidzialne, ukrywające przed światem podniecenie i rozkosz.

Była pewna, że te oczy błyszczą pożądliwie, usta ociekają śliną i łaknieniem, łykają gorączkowo powietrze, którego coraz więcej żąda rozpędzone serce.

Jej serce także biło jak szalone.

Podobno pierwszy raz zawsze tak jest.

Serce bije mocno z niepewności. Nie wie, co je czeka.

„Śmierć zawsze wywołuje przyspieszone bicie serca – wyjaśniła jej kobieta, którą nazywali Matką. – Przynajmniej za pierwszym razem”. Potem umiera się dużo łatwiej. Wszystko staje się prostsze.

Dziś miała umrzeć po raz pierwszy.

Postacie otoczyły kamienne łoże ciasnym kręgiem. Znow poczuła zimno i niewygodę. Nieoczekiwanie zawstydziła ją jej nagość.

Oczy zebranych, mimo że ukryte w cieniu masek, wwierały się w każdy zakamarek jej intymności. Oblizywały obleśnie jej duże piersi, wklęsły brzuch i mocne środkowoeuropejskie biodra. Wnikały w zagłębienia i cienie obnażonego bezwstydnie łona. Paliły skórę i wnętrze, jeszcze mocniej poganiając serce.

Nigdy tak się nie czuła. Nawet w klubie, podczas prywatnych sesji w pokoju na górze, gdzie zgadzała się na wszystko, gdzie podtykała swoją kobiecość pod nos bogatych chętnych, gdzie nie miała prawa do żadnej intymności i władzy nad ciałem.

Nawet wówczas.

Była silną kobietą. Jak każda Słowianka. Nie podda się. Nie da im się wystraszyć. Nie okaże lęku. Nie jest tchórzem.

Spojrzała hardo i zacisnęła usta, by nie krzyknąć.

Przez salę przeszedł szmer podziwu.

Dawno nie mieli na stole kogoś tak odważnego i tak pięknego.

Nawet mężczyźni przywiązani do ofiarnego stołu okazywali strach.

Zamknęła oczy, by nie zepsuć wszystkiego w ostatniej chwili, i wtedy usłyszała kolejny głośny szmer.

Nadchodził.

Nadchodziło nieuniknione.

Usłyszała jakieś zaklęcia w nieznanym języku, z trudem rozpoznając głos Matki.

– *Aba uhali marma tham...*

Tłum odpowiedział głośniejszym pomrukiem.

– *Aba uhali marma tham...*

Matka mówiła coraz głośniejszym głosem, by ostatnie słowo niemal wykrzyknąć.

– ...*marma tham...* – odpowiedział tłum grzmiąco.

Matka nabrała powietrza i zakrzyknęła:

– *Aba uhali marma tham...!*

Tłum odpowiedział krzykiem i wtedy nie wytrzymała. Musiała spojrzeć, musiała go zobaczyć, choć Matka ją przestrzegała. Najlepiej zamknąć oczy, nie patrzeć, czekać na niego, czekać na przyjemność, na rozkosz, na śmierć. Śmierć najlepiej powitać w intymności zamkniętych oczu. Taka jest najprzyjemniejsza.

Taka da ci najwięcej rozkoszy.

Stał już przed nią. Potężny, z obnażonym torsem i nabrzmiałą męskością. Szeroki tors i muskularne ramiona pokrywały gęste kręcone czarne włosy. Mocarne barki i kark błyszczały naoliwione, krótką szyję zamiast głowy wieńczył łeb byka. Rogaty i paskudny, sprawiał wrażenie prawdziwej głowy zwierzęcia. Był jednak mniejszy. To musiała być dobrze zrobiona maska. Chyba że postać przed nią nie była człowiekiem.

– *Aba uhali marma tham...*

Człowiek byk zaryczał i wszedł na nią. Poczowała dziwny zapach. Mieszanek mężczyzny, olejków i kadzideł. Zaciśnęła powieki, nie chcąc widzieć nic więcej. Łatwiej znieść okropności, gdy się ich nie widzi. Nie da im satysfakcji, nie będzie błagać o litość, płakać i krzyczeć.

Nie myślała o swojej seksualności i upokarzającym akcie. Bała się trochę bólu, który musiał nastąpić, ale postanowiła, że wytrwa, pokaże im swoją siłę i moc.

Czekała z zamkniętymi oczami, aż w nią wniknie, posiadzie ją i upokorzy, gdy nagle wszystko ucichło, zamarło. Wciąż czuła jego zapach, słyszała oddech, wiedziała, że jest nad nią, a cała zamaskowana publika nie znikła, nie okazała się iluzją. Nic się nie zmieniło, a jednak niezwykle cisza sprawiła, że gdzieś w głębi duszy pojawiła się nadzieja. Nic więcej jej nie zrobią. Koniec upokorzenia. Nie dojdzie do żadnego aktu. Śmierć okaże się żartem.

Czekała, myśląc o tym, jak to się stało, że znalazła się w tym miejscu.

„Myśl o czymś przyjemnym – doradziła jej Matka. – Gdy będzie ci to robił, myśl o czymś przyjemnym. Będzie łatwiej”.

Nie miała przyjemnych wspomnień.

Nawet gdy myślała o Marice, jej dusza się nie radowała.

Mariko, gdzie jesteś? Dlaczego mnie zostawiłaś? Dlaczego o mnie zapomniałaś?

Dziewczyna zaciśnęła mocno zęby i otworzyła oczy.

Potwór nie zniknął.

Wciąż był nad nią i napawał się jej rosnącym w oczach przerażeniem.

A potem, mimo wszystkich obietnic i zarzekań, dziewczyna zakrzyknęła.

Głośno, ile tylko miała sił.

Gdzieś w jej głowie Matka uśmiechnęła się ciepło i powiedziała to, co przed godziną: „Jeśli będziesz musiała, nie krępuj się. Krzycz. Krzycz głośno”.

I tak nikt cię nie usłyszy.

Ciało znalazł biegacz. Jak co rano przed pracą robił przebieżkę po parku, a potem trochę wyglądał się nad rzeką. Na pytanie mundurowych, co dokładnie robił, miauknął jak kot, wyrzucił jedną rękę nad głowę, drugą do przodu z zaciśniętą pięścią i powiedział: „Udawałem Bruce’a Lee”. Był bez wątplenia lekko szurnięty i poza podejrzeniem.

Po spisaniu jego danych i zeznań policjanci odesłali go do domu. Potem obejrzeni dziewczynę, upewniając się, że na pewno nie żyje, zabezpieczyli teren wokół miejsca zbrodni i czekali na śledczych oraz techników. Ci pojawili się dopiero po półgodzinie. Dużo klęli, schodząc w dół po skarpie, do rzeki. Jeden z nich ciągle poprawiał opadające spodnie i mówił przez zęby, że wszystkiemu winny jest niski poziom wody. Brudne, stalowe odmęty powoli, jednostajnie toczyły się w nieuregulowanym korycie, niosąc śmieci, gałęzie, stare deski, wirując koło mielizn, powalonych konarów i piaszczystych łąch. Gdy posterunkowy zapytał, w czym lepszy jest wyższy poziom, tamten odparł niegrzecznie:

– Przykryłby twoją głupotę.

Obejrzeni pospiesznie ciało, podrapali się po głowach, a potem poszli na kawę i pączki. Byli fanami amerykańskich filmów, które chłonęli wcześniej na wspólnych seansach wideo, a ostatnio na HBO.

Ktoś kompetentny przyjechał dopiero o ósmej, kiedy było już naprawdę ciepło i co niektórzy zaczęli się martwić, czy ciało nie zacznie jeszcze gorzej cuchnąć.

Posterunkowy osłaniał oczy dłonią przed słońcem, patrząc w górę.

Wysoki, bardzo chudy i trochę nieforemnie zbudowany mężczyzna miał na sobie starą marynarkę i spodnie z cienkiego materiału. Wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać detektyw. Przepity, wypalony, zniszczony, przegrany.

Ciężkie powieki niemal przykrywały oczy nieokreślonego koloru, bruzdy i gęsta siatka zmarszczek zachodziły na siebie, postarzając twarz. Wyblakła i zszarzała cera, zniechęcająca postura i jakiś przerażający smutek w oczach sprawiały, że od lat nie obejrzała się za nim żadna kobieta.

Nazywał się Rodzki i nie wierzył w sprawiedliwość. Złapał już tylu drani, a oni ciągle wracali i ponownie wpadali w jego ręce. Jedyne, co go naprawdę wkurzało, to przemoc wobec kobiet. Miał córkę i w każdej ofierze w pewnym momencie ją dostrzegał, jak gdyby jego pokreślonemu, wypalonemu umysłowi prowokował go, by wreszcie dał sobie spokój, przystawił pistolet do głowy i skończył z tym raz na zawsze.

Obejrzał miejsce zbrodni nieco dokładniej niż pozostali, pogadał z technikami, zapytał o spóźnionego lekarza sądowego, a potem dołączył do tych, co poszli na kawę i pączki. Zamówił jednak tylko colę light i poprosił o popielniczkę.

– Tu nie wolno palić. Ustawa...

– Daj popielniczkę i nie pierdol.

Barman był wystarczająco zmęczony po nocy, by się kłócić. Gliny przyszły, gdy sprzątał i zamierzał zamykać. Skoro chcieli jarać, to przecież nie dadzą mu mandatu. Niech jarają.

– Co tam u twojej starej, Rodzki? – zapytał niegrzecznie ten od opadających spodni.

Rodzki udął, że nie słyszy. Usiadł przy stoliku obok, ignorując zapraszające gesty.

Po co tracić energię na słowa, które nawet nie mogą zabołec, gdyż ich zwyczajnie nie pojmą. Nie tykaj gówna, bo będzie gorzej śmierdzieć.

Poszli i zostawili go samego.

Rodzki odszukał komórkę i zadzwonił do córki.

- Co jest, tato, znowu znalazłeś jakąś dziewczynę?
- Dziewczynę?
- Trupa – sprecyzowała. – Jak znajdujesz trupa młodej dziewczyny, dzwonisz do mnie.
- Ach tak. Nie, nie znalazłem trupa.
- Nie uwierzyła. Za dobrze go znała.
- Będzie o tym w telewizji?
- W telewizji pewnie nie. Może w gazetach.
- Gazet już nikt nie czyta. Puść farbę w necie.
- Farbę?
- No, daj cynk cwelom z portali sieczkarskich.
- Jakich?
- Ech, tato...

Wyjął notes i wpisał:

„wtorek 2 lipca pierdolony upał chyba ze trzydzieści pięć stopni ósma rano a nie da się wytrzymać. Trup dziewczyna młoda ładna. Nie pojedę dziś do szpitala”.

Nie stosował przecinków, rzadko stawiał kropki.

Kaszlnął, zapalił papierosa i dopił colę light.

Przy skarpie parkowały już dwa nowe samochody. Nad ciałem nachylała się gromadka nowych staruchów. Gliny krążyły, zbierając dowody, fotografując, mierząc ślady butów i odległość psich kup. Kurewska robota.

Rodzki chciał się już zmyć, gdy usłyszał głośne nawoływania.

– Halo, panie nadkomisarzu! Tutaj, proszę do nas.

Kutasiński? Ty tutaj? Od kiedy to ruszasz dupę do jakiejś dziwki? Przecież ciebie interesuje tylko ładowanie się bez wazeliny w tyłek komendanta głównego i doglądanie przetargów, przy których może coś skapnąć i dla ciebie. No i telewizja. Lubisz chodzić do telewizora i mądrzyć się, jakimi to profesjonalistami jesteście. Tak, w mądrzeniu jesteś superprofesjonalistą. Tak jak w obstawianiu wyjazdów służbowych i szkoleń w Ameryce. Praca nie dla ciebie. Co tu robisz, kutasie?

– Inspektorze Kulasieński. – Rodzki podszedł i grzecznie się uklonił.

– Przestań z tym inspektorem, Tadzik. Co myślisz?

Rodzki wzruszył ramionami.

– Poczekajmy, co tam powie doktor po sekcji. Nie ma co się spieszyć.

– Wiesz, o co mi chodzi. To znowu on?

Rodzki chciał odpowiedzieć od razu, ale poszedł za radą doświadczenia. Odczekaj chwilę, policz do dziesięciu i oceń, co ci się bardziej oplaca.

– Nie wiem – mruknął.

– Ostatnim razem zrobiłeś awanturę, że powinniśmy potraktować to poważnie i dać przeciek do mediów. Może zrobiliśmy błąd...

– Może. Pójdę już...

Inspektor nie odpowiedział, więc Rodzki odszedł, powłócząc nogami. Dopiero gdy wsiadał do starej, wysłużonej kii z siedmioletnią gwarancją i serwisem w policyjnych zakładach, za które ktoś już poszedł siedzieć z powodu niegospodarności czy korupcji, inspektor go zawołał.

– Rodzki. U nas nie ma seryjnych. Zapamiętaj to sobie. Oni nie istnieją.

Tia...

Trzy godziny później Kulasieński wezwał go do swojego gabinetu. Nie był sam. W pokoju przy szafce z medalami i pucharami stał drugi mężczyzna – młody, wysoki i postawny. Miał starannie przystrzyżone jasne włosy uczesane na bok, puciołowatą twarz i mały nos. Oczy

o szmaragdowym odcieniu patrzyły odważnie i czujnie.

– Nadkomisarz Rodzki, porucznik Lisicki – przedstawił ich inspektor. – Porucznik Lisicki będzie koordynował nasze śledztwo z pracami prowadzonymi przez ABW.

– Nasze śledztwo?

– W sprawie seryjnego zabójcy kobiet – dokończył jak gdyby nigdy nie Kulasiński. – Wiem, co zamierzasz powiedzieć, Tadzik, ale dobrze ci radzę, nie mów tego. Tak jak mówiłem to wielokrotnie w mediach: seryjni zdarzają się niezwykle rzadko, praktycznie się nie zdarzają. To zupełnie odosobnione, rzadkie przypadki.

Rzadkie to jest gównem po zjedzeniu zbyt wielu czereśni – miał ochotę odpowiedzieć Rodzki, patrząc na nieco nadpsute owoce leżące w pucharze na stole, ale zrezygnował.

Lepiej milcz, milczenie bardziej go zaboli.

No tak, tyle że trzeba jeszcze umieć trzymać język za zębami.

Trzeba umieć...

– Przeszło ci już? – zapytał inspektora.

– Co takiego?

Rodzki uśmiechnął się znacząco do Lisickiego.

– Rozwolnienie. Cały komisariat się martwi, że szef ma rozwolnienie. Nawet Kaśka. A może ona najbardziej...

Kulasiński zbladł, a potem poczerwieniał. Ciekawe, czy z powodu rozwolnienia, czy Kaśki. A może jednego i drugiego. Czyżby buc naprawdę nie słyszał tych żartów o nim i o Kaśce? Trzeba było nie dać się nakryć w kiblu na harcach, to by nie było kawałów o sracze i lodzikach, a także dziwnych ulotek z karykaturą przedstawiającą opasłego, gburowatego szefa w rozpiętym mundurze i przyklejoną doń kobiecą postacią na kolanach, która mówiła:

OMÓWMY JESZCZE KWESTIĘ NAGRÓD I PREMII.

Lisicki popatrzył bez zainteresowania w twarz jednego i drugiego, po czym wyszedł bez słowa.

– Powinien się nazywać „Kutasiński” – powiedział, gdy już znaleźli się sami w korytarzu.

Rodzki uśmiechnął się szeroko. Już cię lubię, młody. Naprawdę wiesz, jak zdobyć serce takiego starego drania jak ja.

Wystarczyło jednak pięć minut w pokoju Rodzkiego, by zmienił zdanie.

Lisicki był jeszcze większym kutasem.

Może największym, jakiego Rodzki miał okazję poznać w swoim długim życiu.

Niebieski odcień i przesuwające się przez ekran pasy trochę przeszkadzały. Jednak jak na kamerę przemysłową obraz był dość wyraźny. Przez parę pierwszych sekund nic się nie działo i Rodzki spojrzął ze zniecierpliwieniem na zegarek. Nie przyszli tu podziwiać szpitalne widoczki. Lekarz uspokajająco uniósł dłoń i pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Spokojnie, zaraz się zacznie”.

I miał rację.

Przez ekran przetoczyły się trzy postaci. Dwie miały białe kitle, trzecia była prawie naga kobietą. Mężczyźni w kitlach wyraźnie nie trzymali pionu, sprawiając wrażenie wstawionych i rozochoconych. Kobieta także wyglądała na rozbawioną. Zniknęli, by po trzech sekundach wrócić na ekran w przedziwnej konstelacji. Jeden miał już zdjęte do kolan spodnie. Kobieta chyba go całowała. Drugi przyciskał się do jej pleców. I wtedy nagle scena miłosna zamieniła się w pełen okrucieństwa balet. Kobieta uderzyła łokciem tego z tyłu, jednocześnie częstując kolanem drugiego z mężczyzn. Złamał się jak scyzoryk i upadł na kolana. Kobieta ruszyła za tym trafionym łokciem, znikając z pola widzenia kamery.

Rodzki znów zerknął na zegarek. Facet trafiony w jądra dobre piętnaście sekund skręcał się przed ich oczami. Wtedy wróciła do niego. Chwyciła go lewą ręką za włosy i zaczęła objąć twarz krótkimi, pozornie lekkimi ciosami prostymi. Gdy leżał już całkowicie pokonany i zniechęcony, użyła jeszcze kolana. A potem nogi.

Lekarz wyłączył wideo.

Nazywał się Krapp. Rodzki zastanawiał się, czy to jakieś niemieckie, a może żydowskie nazwisko, ale nie zapytał o to.

– Temu drugiemu złamała nos i rękę. Chłopak ma zaburzenia widzenia. Biła tak, żeby zostawić jak najwięcej śladów. Potem powiedziała, że chciała zrobić im krzywdę. Dużą krzywdę, żeby ją zapamiętali.

– I twierdzi pan, że nie miała powodu? – zapytał Lisicki.

– Lubi zadawać ból, to jej odpowiedź.

– Ale jednak coś musieli jej zrobić?

– Nie. – Pokręcił głową. – To wzorowi pracownicy.

Rodzki westchnął.

– Jak pan wytłumaczy, że wzorowi pracownicy, jak widzieliśmy, dopuścili się kontaktów cielesnych z pacjentką?

– Sprowokowała ich.

– Wszyscy pańscy wzorowi pracownicy ulegają takim prowokacjom?

Lekarz przełknął ślinę. Lisicki uśmiechnął się wesoło, jak przystało na sadystę. Lubił patrzeć na cierpienie innych.

– Marika jest wyjątkowo przebiegła.

– I to jest wytłumaczenie?

– Nie – przyznał. – Niemniej jednak proszę zrozumieć moje obiekcje. Ta pacjentka powinna zostać pod ścisłym nadzorem i w zamknięciu. W przeciwnym razie...

– Tak?

– Nie ręczę za... jej zachowania.

Lekarz oddał mu kartkę papieru z kilkoma pieczętkami.

– Mam nadzieję, że panowie to przemyślicie.

Lisicki obliznął usta i uprzedził Rodzkiego, odbierając kartkę od lekarza. Spojrzął na nią,

jakby upewniał się, że jest to ten sam dokument, który już znał.

– Jeśli się nie mylę, jest tu wyraźnie napisane, co pan ma zrobić?

– Tak, ale dyrektor i minister zapewne nie wiedzieli o omawianych wypadkach. Nie mogę uwolnić tak niebezpiecznej osoby.

– My ją przejmujemy.

– Jednakże...

Lisicki wstał i podszedł do lekarza na tyle blisko, że ich nosy niemal się stykały. Byli podobnego wzrostu.

– Albo pan się tu podpisze, albo to ja podpiszę się za pana.

Mierzyli się wzrokiem, w końcu lekarz odpuścił.

– Jak pan chce. Nie rękę...

Lisicki wyrwał mu podpisaną karteczkę i ruszył do wyjścia. W innych okolicznościach Rodzki by mu pogratulował, a tak tylko dołączył do agenta, starając się dotrzymać mu kroku. Lisicki szedł na pewniaka, jakby dobrze znał rozkład pokoi w szpitalu.

Izolatki były w drugim segmencie, za pokojem pielęgniarek, a tuż obok kanciapy sanitariuszy. Marika leżała w pierwszej. Lisicki pokazał dokument sanitariuszowi i nakazał mu otwarcie drzwi. Patrzyli przez chwilę na leżącą na łóżku kobietę.

– Dlaczego jest przywiązana? – zapytał Lisicki.

– Hm, robiła sobie krzywdę – rzucił pielęgniarz. – Wie pan, drapała do krwi i tak dalej.

– ...i tak dalej? To gdzie są rany?

– Nie dopuściliśmy, by się poraniła. – Na twarzy pielęgniarza wykwitł drwiący grymas.

Rodzki myślał, że Lisicki poczęstuje chłopaka z główki, ale tylko spojrzał na niego karcąco.

– Uwolnij ją, a potem wyjdź.

Pielęgniarz wzruszył ramionami, po czym uwolnił najpierw nogi dziewczyny, a potem ręce, starając się pozostać poza ich zasięgiem. Na koniec odskoczył, uniemożliwiając ewentualny atak, i ruszył do wyjścia. Rodzki w ostatniej chwili, niby od niechcienia, podstawił mu nogę. Chłopak potknął się i ledwie zdążył osłonić głowę ramieniem, uderzając w ścianę przy drzwiach.

– Co jest, kurwa...

– Chciałeś coś powiedzieć, chłopcze? – Rodzki błyskawicznie stanął naprzeciwko z opuszczonymi rękami i czekał z najbardziej potulną miną, na jaką był w stanie się zdobyć. No proszę, błagam, uderz mnie. Nie jestem groźny. Tylko tak ci się wydaje. Z pewnością mnie pokonasz. Spróbuj mnie uderzyć, błagam.

Ale szczeniak nie był aż taki głupi. Oczy Rodzkiego nie kłamały. Mógł udawać całym ciałem, ale jedno spojrzenie wystarczyło, by wystraszyć najtwardszych motocyklistów z baru dla harleyowców, a co dopiero takiego gogusia.

Pielęgniarz wyszedł bez słowa, trzaskając drzwiami.

Marika usiadła na łóżku i potarła przeguby dłoni.

– Co to za przedstawienie? Jesteście z cyrku?

Rodzki roześmiał się.

– Jesteśmy glinami – powiedział cicho. – A właściwie ja jestem gliną, a ten obok nazywa siebie agentem. Jest z ABW.

– ABW?

Lisicki skinął głową. Podstawił krzeselko i usiadł. Rodzki oparł się o ścianę, pogmerał w poszukiwaniu papierosów, namacał paczkę, lecz nie wyjął jej z kieszeni. „Wytrzymam do wyjścia” – pomyślał.

– I pewnie uważasz się za najlepszego z najlepszych?

Lisicki wzruszył ramionami.



– W pewnych sprawach...

– Kręctwach, oszustwach czy wrabianiu niewinnych? Wy to nazywacie...

– ...bezpieczeństwo narodowe – uzupełnił Rodzki z wyraźnym rozbawieniem. Podobała mu się coraz bardziej ta dziwaczna dziewczyna o niebywale chudych ramionach i nogach, chłopięcych biodrach i kipiącej w całym ciele energii. Miał przeczucie, że mu się spodoba, i nie pomylił się.

– Nadal sprzedajecie naszych obywateli Amerykanom? A może teraz też Ruskim?

Lisicki nie dał wyprowadzić się z równowagi. Zachował całkowicie niewzruszony wyraz twarzy.

– Masz na myśli Agencję Wywiadu, to inna... instytucja.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Mam na myśli ciebie i twoich koleś.

– Skończyłaś?

– Mogłabym tak długo.

– Proszę bardzo, mamy czas.

Marika nabrała mocno powietrza, rozciągając wszystkie mięśnie. Naprężyła je dodatkowo po kolei, badając niczym okręt wojenny zdolność bojową poszczególnych sektorów. Ramiona były w kiepskim stanie, ale za to wolne. Nogi lepiej, nie powinny jej zawieść. Mogłaby teraz doskoczyć do tego siedzącego i założyć mu trójkąta na szyję. Nie, na to by nie pozwolił. No dobrze, to mogłabym zamarkować duszenie i sprzedać mu krótkiego kick-offa w pierś. Nie, lepiej w szczękę. Tak, żeby już nie wstał. Ten drugi pewnie by nawet się ucieszył, nie wyglądali na przyjaciół. Choć może tylko grali przed nią dobrego i złego glinę.

– Nawet nie próbuj, bo pożałujesz – syknął Lisicki.

Miał rację, po tych kilku dniach w izolatce była zbyt osłabiona. Mogła tylko narobić sobie kłopotu. Co prawda nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz. W tej sytuacji atak byłby jednak zwykłą głupotą. A Marika nie była głupia.

– Dobra, mądralo. Mów, czego chcecie, bo chyba nie chodzi o tamtych dwóch typków?

– Jednego o mało nie zabiłaś, ma skomplikowane uszkodzenie mózgu – powiedział chłodno Rodzki.

– Gównu mnie obchodzi. Zasłużył.

– Co ci zrobili?

Marika spojrzała zaczepnie.

– Oni wiedzą, wystarczy. Sprawa zamknięta.

– Nie do końca. Możesz znów stanąć przed sądem.

– Mam to w dupie.

– To już cztery lata – oznajmił Lisicki. – Nie tęsknisz za wolnością?

Rodzki uznał, że jeśli ma się udać, powinien się włączyć, bo Lisicki nie obrał dobrej strategii. Komisarz wyjął paczkę gitanesów, włożył jednego do ust i przypalił zapalką. Zaciągnął się mocno, tak jak lubił. Pierwszy dymek zawsze jest najlepszy. Nawet w przypadku takiego świństwa jak gitanesy.

Skutecznie odwrócił uwagę Mariki od Lisickiego.

– Zapalisz? – zapytał.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do Mariki i podał jej paczkę z papierosami. Może był głupi, a może tylko odważny, ale nie zachował żadnych środków ostrożności. Mogła go teraz obezwładnić, zabrać broń i zastrzelić ich obu. Naprawdę uważasz, że nie jestem do tego zdolna? Naprawdę myślisz, że dam się kupić za jednego papierosa?

– Palisz gitanesy? – zapytała, biorąc fajkę.

Przypalił jej, zanim odpowiedział.

– Nie. Ale wiem, że ty je lubisz.

Także zaciągnęła się mocno. Tak dawno nie paliła czegoś równie dobrego. A potem rzuciła papierosa na ziemię i przydeptała.

– Najpierw powiedzcie, o co chodzi.

– Jesteśmy twoją ostatnią szansą... – zaczął Lisicki.

Rodzki uśmiechnął się i przerwał mu bezceremonialnie:

– Potrzebujemy cię, Mariko. Bardzo cię potrzebujemy.

Mówił głównie Rodzki. Lisicki odzywał się tylko wówczas, jeśli uznał, że policjant zapomniał o jakimś bardziej istotnym szczególe. Marika słuchała, paląc jednego gitanesa za drugim. Po trzecim zebrało jej się na wymioty. Miała wielką ochotę zrobić im niespodziankę. Pusty żołądek jednak nie dał się sprowokować. Szkoda, twój gajerek nieźle by wyglądał tak naznaczony, poruczniku Lisicki.

– Może coś zjesz? – zaproponował Rodzki.

Marika pokręciła głową.

– Zrzygałabym się.

– Musisz używać... takiego języka? – obruszył się Lisicki.

– A ty co? Ze szkółki niedzielnej?

– Nie traćmy czasu na głupoty – zaproponował Rodzki.

Marika westchnęła.

– Dobra, powiedzcie mi teraz, czy dobrze was zrozumiałam. Prowadzicie śledztwo w sprawie serii zabójstw młodych kobiet i chcecie, żebym wzięła w nim udział?

– Tak – potwierdzili obaj zgodnie. – Chcemy cię włączyć do zespołu, a dokładniej, żebyś przeniknęła do środowiska ofiar i pomogła nam złapać mordercę.

– Mam być wabikiem?

– Bardziej researcherem – dodał szybko Rodzki. – Mamy duże trudności z pozyskaniem informacji.

– Dlaczego?

Rodzki stłumił ziewnięcie i spojrzał w ziemię. Marika zobaczyła przed sobą strasznie starego, zmęczonego człowieka. Czyżby chciał ją okłamać i dlatego unika jej wzroku?

– Niewiele wiemy o show-biznesie, a już szczególnie o agencjach modelek, fotografach czy biznesmenach działających w tej branży. Oni nie lubią glin, traktują nas jak wrogów. To zamknięty świat, który pilnie strzeże swoich tajemnic. Namiętności, wielkie pieniądze, antypatie mają pozostać za zamkniętymi drzwiami pałaców z kłamstw. Morderstwo nie jest w żaden sposób powodem, żeby te drzwi dla nas otworzono.

– Nawet seria morderstw?

– Odbijamy się od ściany, Mariko. Nikt nie chce składać zeznań, każdy myśli, że to jakaś ściema, a my szukamy brudów w ich szafach, haków i schowanych pod poduszkami brylantów, które ukryli przed urzędem skarbowym.

– Może mają dużo na sumieniu.

– Pewnie tak i trudno się dziwić, że nie chcą rozmawiać o swoich preferencjach seksualnych, fanaberiach, kaprysach i zabawach dla dorosłych. Pewien artysta gej zapytany o to, czy sypia też z kobietami, złożył przez swojego prawnika skargę i zażądał przeprosin za molestowanie i naruszenie godności. – Rodzki westchnął.

– Nie miał powodu?

Komisarz skrzywił się.

– Nie zrobiłem mu nic złego, chciałem tylko poznać prawdę. Od tego... incydentu mamy jednak same problemy. Wszyscy wzywani na przesłuchania migają się albo wysyłają do nas papugi. Takie drogie papugi w błyszczących lakierkach, garniturach szytych na zamówienie i z notesami popisanymi markowymi piórami, wystawiające rachunki od stu dolarów za godzinę. Znają się na swojej robocie, czyli utrudnianiu glinom życia. Wiesz, co się stało, gdy chcieliśmy przesłuchać pewnego znanego aktora, który spotkał się dzień przed morderstwem z jedną z ofiar?

– No?

– Przyszedł do nas w towarzystwie ochroniarzy z uprawnieniami, którzy chcieli sprawdzić, czy nie jesteśmy uzbrojeni.

– ABW też jest taka cienka? – zaśmiała się Marika.

Lisicki był niewzruszony. Siedział bez ruchu, czekając, aż Rodzki wykona swoje zadanie lub się podda. Ciekawe, jakich ty byś użył argumentów, pomyślała Marika. Jednak nie chciała tego sprawdzać. Rodzkiego zdążyła polubić. Drugi, śliski drań, był jej wrogiem. Czuła to.

– Te dziewczyny – zaczął Rodzki, ale nie dokończył, jakby czekał na pozwolenie Lisickiego na ujawnienie kolejnej partii informacji.

– Powiedz – poprosiła.

Lisicki skinął głową i Rodzki podjął:

– Z tego, co udało nam się ustalić, miały wielu partnerów seksualnych, często ich zmieniały, prowadziły się... dość lekko.

– Po co te ładne słówka? Były dziwkami – dorzucił Lisicki, patrząc wyzywająco Marice w oczy.

Rodzki starał się być delikatny. Czy to przez jej wcześniejsze doświadczenia? Ile o nich wiedział? A może zwyczajnie urabiał Marikę, starał się zagrać przyjaciela, żeby potem boleśnie zdradzić?

– Cóż, ja wolę ubierać prawdę w inne słowa...

– Brały za to pieniądze – warknął Lisicki. Jak już się powiedziało „a”, to trzeba było dojść do „c”. – Były kurwami, prostytutkami, nazywajcie to sobie, jak chcecie, ale taka jest prawda.

Marika nie pozwoliła ponieść się emocjom.

– Rozwiąż to nie prostytutką – zaoponowała spokojnie.

– Porucznik może powiedział o kilka słów za dużo – rzekł pojednawczo Rodzki. – Nie mamy pewności, że ofiary pobierały pieniądze za usługi seksualne.

– Mamy – zaprzeczył Lisicki. Nadal grał tego złego. – Jedna miała na koncie prawie trzysta tysięcy, a zarobki z sesji czy wybiegów deklarowała na poziomie poniżej dziesięciu procent tej kwoty. Inne były mądrzejsze i czasem brały jakieś lewe umowy albo rozkładały pieniądze na inne konta czy inwestycje. Ale to były pieniądze za seks. Jesteśmy tego pewni. Jak widzisz, nie jesteśmy tacy ciency.

Czyżby...

– W każdym razie – przyznał Rodzki – to właśnie może być główny problem dla badania tej sprawy. Prostitution to temat tabu, a już szczególnie jej luksusowa odmiana. Gdyby jedna z drugą miały po prostu kochanków, a nawet uczestniczyły w orgiach, sektach seksualnych, bawiły się jakimiś fetyszami, ludzie nie mieliby takich oporów, by o tym mówić. A płacenie za seks? Dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach. Nikt się nie chce do tego przyznać, wszyscy drżą przed fałszywymi oskarżeniami i wyciekami informacji do tabloidów. To byłaby dopiero gratka dla mediów.

– Dlatego działamy ostrożnie i w najwyższej tajemnicy – dorzucił Lisicki. – Dlatego... nie ma nawet oficjalnego śledztwa, a ty będziesz działać pod przykryciem.

– Jeszcze się nie zgodziłam.

– Potrzebujemy cię, Mariko – powtórzył swoją śpiewkę Rodzki.

Marika przez dłuższą chwilę analizowała informacje. Wiedziała już, że się zgodzi, oni też to wiedzieli. Reszta pozostaje kwestią negocjacji szczegółów. Tylko tyle albo aż tyle. Zastanawiała się, do jakiego stopnia są skłonni do ustępstw, żeby ją pozyskać. I czy istotnie jest taka niezastąpiona, czy też po prostu była najbliższą.

– A to – wskazała na posiniaczone od więzów przeguby – wam nie przeszkadza?

– Nic a nic.

Sięgnęła po leżące na stoliku szpitalnym zdjęcia, które Rodzki rozłożył w trakcie rozmowy. Wszystkie przedstawiały młodziutkie i piękne kobiety. Fotografie były jak z żurnalu mody. W istocie mogłyby być. Fotki na drugim końcu stołu wyglądały już zupełnie inaczej. Te same kobiety w brudzie, krwi, z obitymi, wręcz zmasakrowanymi buziami i ciałami w rozkładzie.

– I za to chcecie mi zaoferować uwolnienie od wszystkich poprzednich win i możliwość powrotu do społeczeństwa, a nawet do policji?

– Do policji... nie do końca – sprostował Rodzki. – Nasza oferta obejmuje wolność i zatrudnienie cię w charakterze konsultanta. Tylko do czasu złapania mordercy. Potem możesz robić, co chcesz.

– Czyli do policji nie mam powrotu?

– Niestety.

– To może ABW się skusi? – rzuciła w kierunku Lisickiego.

– Może.

– Ale tego nie oferujecie?

– Nie.

– No dobra, mądrale, więc w końcu powiedzcie mi, o co tu naprawdę chodzi?

Spojrzeni po sobie.

– Co jeszcze macie w worku z tajemnicami? No już, czekam.

– Tak jak mówiłem – Rodzki wyszedł przed Lisickiego – potrzebujemy cię, Mariko. Nie znamy tego środowiska, wszelkie próby jego spenetrowania i zrozumienia zakończyły się porażką. Odbijamy się od ściany, bo nikt nam nie ufa, nie chce z nami szczerze rozmawiać. Mówiąc wprost: nic nie wiemy, poruszamy się po omacku, nie mamy nawet znikomego punktu zaczepienia i w żaden sposób nie możemy przebić się przez mur niechęci.

– I mnie ma się to udać?

– Bez agentki pod przykryciem sobie nie poradzimy, a ty jesteś do tego zadania idealna.

Przenikniesz do środowiska show-biznesu i odegrasz podwójną rolę: wabika i researchera. Dzięki tobie złapiemy mordercę.

Lisicki uśmiechnął się pod nosem i dodał:

– I rozpoznamy środowisko dziwek i alfonsów.

Marika nie skomentowała jego słów i głupkowatej miny.

– Dlaczego ja? – zapytała.

– Spójrz na siebie i sama odpowiedz.

Wzięła lustro i zerknęła w swoje odbicie. Patrzył na nią wyniszczony wrak kobiety. Zapadnięta blada twarz, nierówno przycięte czarne włosy sterczące w nieładzie na wszystkie strony, wysokie czoło i głęboko osadzone, ogromne oczy. Czarne i błyszczące jak niezwykle szlachetne kamienie. Tylko one wciąż były piękne. Tylko one świadczyły o tym, że się nie pomylili.

Kobieta z takimi oczami może wszystko.

– Patrę i widzę kogoś po takich przejściach, że żaden rozsądny agent nie weźmie tego na poważnie. Poszukajcie kogoś w szkołach policyjnych.

– Nawet gdybyśmy znaleźli równie atrakcyjną kandydatkę, to nie miałaby twojego doświadczenia i umiejętności. Nie masz konkurencji i dobrze o tym wiemy.

– Nie podlizuj się.

– To prawda. – Rodzki wyciągnął z kieszeni inną fotografię. Przedstawiała Marikę sprzed czterech lat. Niesamowicie zgrabna, trochę zadziorna, drapieżna i harda dziewczyna patrzyła kusząco z diablkami w oczach. Miała na sobie kimono, a obok stał najlepszy ekspert od sambo,

jakiego znała. Niestety i on trafił na lepszego od siebie. Zginął rok później od kuli. „Nigdy nie wygrasz z kulą, pamiętaj” – powtarzał, a sam padł jej ofiarą, bo myślał, że się uda. W tej branży jeden błąd jest zwykle ostatnim.

– To ty, pamiętasz? – podpowiedział komisarz. – Tak wyglądałaś i tak znowu możesz wyglądać.

Pokręciła głową przecząco.

– Nikt się na to nie nabierze.

– Spróbuj, zobaczysz. Poza tym...

– Tak?

Rodzki spojrzął na Lisickiego. Ten skinął głową, zezwalając na ujawnienie ich ostatniego argumentu.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego się do ciebie zwróciliśmy.

– Jaki?

Rodzki odetchnął głęboko, a potem przypalił kolejnego gitanesa. Lisicki zakaszłał z protestem.

– Mamy pięć trupów modelek, ale sądzimy, że jest jeszcze jedna ofiara.

– No i?

– Ta dziewczyna – Rodzki wyszukał zdjęcie trupa, a potem dopasował do niego twarz sympatycznej szatynki – zginęła jako przedostatnia. Miała na imię Katia i pochodziła z Wilna. Piękna, prawda?

– Do rzeczy.

– Katia z Wilna zginęła miesiąc temu. Ciało znaleziono w stanie rozkładu po tygodniu.

Śledztwo wykazało, że Katia mieszkała razem z modelką z Polski.

Kap, kap, kap. Słowo do słowa. Cedzenie prawdy...

...lub kłamstw.

– Mów dalej – powiedziała z westchnieniem.

– Ta modelka... też zniknęła.

– No i?

– Sądzimy, że jest kolejną ofiarą. Tyle że nie znaleziono jeszcze ciała.

– Wciąż nie wiem, co chcesz powiedzieć – głos Mariki był coraz cichszy. Tak naprawdę wiedziała. I modliła się już, żeby tym razem nie miała racji. Bardzo chciała się pomylić.

– Być może ta dziewczyna żyje i jest przetrzymywana przez zabójcę. Może być kluczem do rozwikłania tej sprawy. Kto wie, może udało jej się uciec, ale ze strachu się ukrywa? Jeśli tak... myślimy, że możesz ją dla nas znaleźć, a przez to... znaleźć zabójcę.

– Dlaczego właśnie ja? – zapytała resztką sił.

– Bo znasz tę zaginioną dziewczynę.

Marika zamarła. Wiedziała, co chcą jej powiedzieć. Nie pomyliła się. Do diabła, dlaczego się nie pomyliła? Dlaczego świat zawsze musi mieć dla niej takie niespodzianki?

Coś w jej głowie pękło, zaszumiało, obilo się o ścianki umysłu, zawirowało szaleńczo i krzyknęło rozdzierająco.

Nie, błagam, nie mówcie tego. Tylko nie to.

Rodzki wstał i sprężył się. Lisicki udawał, że nic go to nie obchodzi.

– Tak, Mariko, dobrze przeczuwasz. Ta zaginiona dziewczyna to Olga.

Marika wrzasnęła, a potem rzuciła się na niego, starając się trafić w oczy lub krtań. Była za słaba, by się udało. Jej ciało wpadło na komisarza bez impetu i zwiotczało w jego ramionach. Straciła przytomność, zanim zdążył przytulić ją mocno i delikatnie zarazem, niczym ojciec witający po latach zagubioną, wyrodną córkę.

To nic, dziecino. To dopiero początek. Musisz być twarda.  
Czeka cię jeszcze wiele prób.  
Ta była jedną z łatwiejszych.

Pięć dziewczyn, pięć trupów. I Olga. Zaginiona, nieodnaleziona. Prawdopodobnie jednak martwa.

Marika mocno zacisnęła powieki.

To nie może być prawda.

Nie ona.

Nie po tym, co się wydarzyło.

– Jeśli chcesz, możesz palić – rzucił do tyłu Rodzki.

Jechali drogą krajową, która przypominała niemal autostradę. Prowadził Lisicki, Rodzki siedział obok. Ona z tyłu. Bez kajdanek, kaftana bezpieczeństwa, żadnych zabezpieczeń. Wolna. Po czterech latach oglądała świat zza nieokratowanej szyby pędzącego auta. Mogła rzucić się na nich i pozabijać.

Byli tacy nieostrożni.

Przymknęła oczy i ponownie wyobraziła sobie Olę. Starszą o te cztery lata, piękną i dojrzałą. Kobieta, a nie dziewczynkę, którą знаła. Ona i pięć trupów. Olga jako szósty nieodnaleziony. Chyba że się pomylili.

Ona nie mogła umrzeć.

Marika otworzyła teczkę z aktami i przeczytała uważnie całą dokumentację.

Pierwsza ofiara nazywała się Łucja Krychowiak. Znalaziona martwa w lesie w Wolińskim Parku Narodowym, w niewielkim, zapomnianym ośrodku wczasowym. Jej chłopak, niejaki Michał Zwara, niewiele potrafił wnieść do sprawy. Upił się i pokłócił z dziewczyną, zostawiając ją samą na plaży. Wrócił do domu, a rano wraz z przyjaciółmi zaczęli jej szukać. Ciało znaleziono dopiero późnym popołudniem. Dziewczyna miała zmasakrowaną twarz, jakby ktoś chciał zemścić się za urodę, jaką obdarzył ją los.

Marika przyjrzała się zdjęciu wspaniałej blondynki o szmaragdowych oczach. Była niezwykle, zjawiskowo piękna. Mogłaby daleko zajść na wybiegu i na okładkach wysokonakładowych pism kobiecych. Zapierająca dech, niezwykle, zjawiskowa. Pasująca zarówno do subtelnych reklam kosmetyków, jak i ostrych kampanii dla prawdziwych facetów.

A jednak musiała umrzeć.

Nie wykorzystała danej od losu szansy, bo ktoś namówił ją na szybszą drogę do wielkiej kasy.

Sledztwo ciągnęło się przez kolejne miesiące bez żadnych efektów, aż zostało wygrzebane przez kogoś z komendy stołecznej i włączone do sprawy zabójstwa, które miało miejsce ponad pół roku później, w kwietniu, w Warszawie. Ofiara – Kaja Bartol – została znaleziona w Lasku Bielańskim, także z całkowicie zmasakrowaną twarzą. Zgodnie z informacjami z wywiadu środowiskowego Kaja uczestniczyła w jakimś zlocie sekty biznesowej, co początkowo uznano za ważny ślad, jednak ustalono, że z całą pewnością opuściła imprezę cała i zdrowa w towarzystwie japońskiego dyplomaty. Spędziła z nim dwie godziny w jego służbowym domu, co dyplomata przyznał, nad ranem wyszła i ślad po niej zaginął.

Aż do odnalezienia ciała...

Spotkanie sekty biznesowej... Marika przypominała sobie sny, w których widziała Olę na scenie jakiegoś sekciarskiego przedstawienia. Olga i człowiek byk uprawiający seks. Czyżby to był proroczy sen? Ale skoro policja twierdziła, że sekta nie miała związku z zabójstwem, to dlaczego miałby być proroczy?

Kaja i Łucja. Dlaczego połączono te sprawy?



Obie kobiety były modelkami, obie zostały dotkliwie pobite, obie brutalnie zgwałcone.  
Dużo punktów wspólnych.

Kolejna dziewczyna zginęła na początku maja w swoim domu w Milanówku. Pracowała w agencji reklamowej, jednak próbowała sił także na wybiegu. Jej nazwisko i zdjęcia widniały w katalogu agencji PromoArt. Anna Starak nie wyróżniała się niczym szczególnym poza wzrostem. Myszowata, chuda, zwyczajna. Rude, ogniste włosy. Prawie metr dziewięćdziesiąt bez obcasów. Dziewczyna dla koszykarza.

Podobnie jak w dwóch poprzednich przypadkach i tym razem morderca używał jedynie pięści jako narzędzia zbrodni i zakatował dziewczynę na śmierć.

Marika z trudem przejrzała zdjęcia opuchniętej do granic możliwości twarzy.

Jakim trzeba być potworem, by zrobić coś takiego?

Przerzuciła kartkę, by spojrzeć w oczy przepięknej szatynce. Maria Maidana. Mulatka o oliwkowej cerze i wspaniałym, mocnym ciele. Córka Kubańczyka i Polki. Kolejna dziewczyna o niezwyklej urodzie. Aż bała się przewrócić kartkę i zobaczyć zdjęcia policyjne. Tym razem morderca jednak był odrobinę mniej okrutny. Twarz, w przeciwieństwie do poprzednich przypadków, można było nawet rozpoznać. Być może dlatego, że zabójcę spłoszyli grzybiarze, którzy przed szóstą rano znaleźli ofiarę w pobliżu Grodziska. Żyła jeszcze, gdy przewieziono ją do szpitala. Dwie godziny, żadnych zeznań. Pielęgniarki twierdziły, że majaczyła, wypowiadając niezrozumiałe słowa.

Żadnych śladów, poszlak i innych świadków.

Nikt nic nie widział, nikt nie słyszał.

Cicho sza. Zastłona milczenia.

Jak to mówił Rodzki: „Nic dziwnego. Dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach”. „A damy o prostytutce” – dodała Marika. W tym sztucznym świecie pozornych przyjaciół, fałszywych uśmiechów, oszukańczego blichtru i wszechobecnej buty niepopartej żadnymi umiejętnościami to norma.

Łzy często zamieniają się w perły, a grymasy w uśmiechy.

Wystarczy odpowiednia suma na koncie.

Mile widziana płatność złotą kartą.

W świecie pozorów gotówki nie wkłada się za kuse majteczki.

Każdemu wolno udawać.

Czy przez to zachowują tę resztkę godności?

Kaja, Anna, Maria.

Wszystkie trzy były modelkami, więc nic dziwnego, że ich sprawy połączono z zabójstwem Łucji. Wszystkie dotkliwie pobito i zgwałcono. Wszystkie sprzedawały się za pieniądze.

Cholera, czy to takie pewne?

Czy wystarczy jeden anonimowy sygnał, że dziewczyny źle się prowadziły i na tym zarabiały, by uznać to za śledczą hipotezę? Pod nazwiskiem nikt tego nie potwierdził.

Ale to nie wszystko.

Marika otworzyła kolejny dokument, tym razem pełen cyferek, wykresów i zielono-czerwonych słupków. Analiza przepływów pieniężnych za pomocą jakiegoś komputerowego programu, którego nazwę widziała pierwszy raz w życiu, nie pozostawiała wątpliwości. Zabitym dziewczynom nie brakowało pieniędzy, kwoty na ich kontach lub większe wydatki pojawiały się zwykle po weekendzie, przepływy nijak się miały do dokumentów wystawianych oficjalnie przez agencje, a wartość rzeczy i środków znacznie przekraczała zadeklarowane podatkowo kwoty. Wniosek był jasny. Zarabiały na czarno. Dużo zarabiały. Więcej niż w fabrykach i na polach truskawkowych, lepiej niż na wybiegu i podczas przeпоconych sesji fotograficznych, więcej

nawet niż za występy w programach telewizyjnych.

Były paniami do towarzystwa.

Luksusowymi prostytutkami.

*Escort girls.*

Dziewczynami na telefon.

*Super call girls.*

Do diabła, jakkolwiek to nazwiemy, wiadomo, o co chodzi.

Ten zawód zawsze kwitowano znaczącym uśmiechem lub pąsowymi policzkami.

Od wieków. Od kiedy ludzkość wynalazła pieniądź, a pewnie i wcześniej też.

A Olga? Czy ona też uprawiała prostytucję?

W analizie nie było mowy o jej finansach czy przepływach na koncie. Więc może nie była jedną z nich. Może się mylili.

Dlaczego zatem zniknęła?

Czy jej twarz jest dziś równie zmasakrowana, tak koszmarnie zbrukana i splugawiona? Leży gdzieś głęboko pod ziemią albo w niedostępnych chaszczach? A może przywiązana do ciężkiego odważnika zniknęła w brzuchach podwodnych stworzeń.

Marika odłożyła analizę i spojrzała na niezbyt ostre zdjęcie zmaltretowanego oblicza kolejnej ofiary.

– Co za potwór – szepnęła. Twarz Katii Husin, Litwinki z Wilna, przypominała skrzyżowanie plakatu z filmu *Słoń* z obrazem Muncha. Rozmazana, opuchnięta. Trudno było rozpoznać w niej piękną dziewczynę, którą była na kolejnym zdjęciu.

– Podłączyły cię do prądu? – zapytał Lisicki.

Rodzki odwrócił się i patrzył jej w oczy. Jego twarz wydała jej się wręcz miła mimo zniszczeń, jakie pozostawił na niej czas i pewnie masa mocnych przeżyć. Tak, on był po jej stronie. Można mu zaufać.

– Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego nie przyszliście wcześniej?

– Nie było śledztwa – wyjaśnił Rodzki.

– Jak to?

– Mówiliśmy ci już, że sprawa jest dość drażliwa z powodu profesji, którą się zajmowały. Pewnie dlatego nie powiązano tych... wątków. Szefostwo uznało, że się ze sobą nie łączą.

– Przecież... związek jest oczywisty.

Wzruszył ramionami.

– Mimo to każda prowadzona była oddzielnie przez innych śledczych, a ich wnioski o połączenie postępowań zbywano milczeniem.

– Plotki o seryjnych zabójcach źle działają na sondaże polityczne – dodał drwiąco Lisicki.

– A zwykle okazują się nieprawdziwe. Ileż to już mieliśmy takich podejrzeń, a wyjaśnienie okazywało się zadziwiająco proste.

– Akurat.

Rodzki spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem. Był za stary na tę robotę. Miał dość świecenia oczami za nie swoje winy.

– To były niewygodne śledztwa, z gatunku tych, które przydziela się młodym policjantom i niedoświadczonym prokuratorom, a ofiar nikt specjalnie nie szuka. Podobno w sprawie jednej z tych dziewczyn dzwoniła prezydentowa czy córka premiera. Ktoś prosił o... szczególną delikatność, bo dotyczyliśmy osób ze świecznika, wpływowych, czystych, poza podejrzeniem.

Lisicki ożywił się gwałtownie.

– Nie było żadnych telefonów prezydentowej. To bzdura.

– Morderstwa też nie było? Kilku morderstw? – zapytała Marika.

Rodzki uniósł dłoń pojednawczo.

– Musisz zrozumieć takie dmuchanie na zimne. Portale internetowe kipią od plotek w takich sprawach, szukają na siłę sensacji, prowokują błędy policji i potem się z nich nabijają. Ich nie obchodzi prawda, oni szukają tylko afer. Łatwo przy tym kogoś skrzywdzić, pomówić, niesłusznie oskarżyć. A potem nie przyznawać się do winy, powielać bzdury latami, nie prostując niczego, bo przecież tak można, nikt im nie zabrania. Bo można kogoś obrzucić błotem, które się zawsze chętnie przyklei i nawet gdy odpadnie, to część brudu zostanie. Tu mamy wszystkie składniki bardzo delikatnej potrawy: pieniądze, seks, i to seks płatny, władzę, piękno i... morderstwo.

– Lepiej zatem schować ją do szafki z brudami?

– Nie, zjeść po cichu. Należy po prostu ostrożnie postępować z informacjami. Tu doszło do takiego przypadku. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby w eter poszedł news o seryjnym grasującym w wyższych sferach show-biznesu? Na dodatek zabijającym luksusowe prostytutki udające aktorki i modelki? Dobry temat na skandal roku, nieprawdaż?

– Może nawet na kilka skandali...

– Właśnie.

Marika przerzuciła wszystkie zdjęcia. Wróciła do najbardziej interesującej jąteczki. Olga Barańska, data urodzenia, imiona rodziców, trzy krótkie zdania o ich śmierci, dwa zdania o Marice i załączone ksero artykułów o niej i o tym, co zrobiła. Zgłoszenie o zaginięciu przyjęte w czerwcu. Zgłaszająca: Sylwia Mlecz, przyjaciółka, która potem zeznając, powiedziała, że była kochanką Olgi. Pomieszkiwały razem od kilku miesięcy. Pewnego dnia Olga nie wróciła na noc, potem nie odbierała telefonów i e-maili.

Zniknęła.

– Mówiliście, że Olga mieszkała z jedną z zamordowanych, Katią Husin. Tu jest napisane inaczej.

Spojrzeli po sobie.

– To skomplikowane – powiedział w końcu Rodzki. – Jeśli dobrze zrozumieliśmy, Olga normalnie mieszkała z Katią, ale dość często nocowała u Sylwii, by w końcu się do niej przenieść. W momencie śmierci Katii wiedzieliśmy jedynie od sąsiadów, że mieszkała z nią jakaś dziewczyna, ale od dawna jej tam nie widywano. Dopiero potem to skojarzyliśmy. Sylwia zgłosiła zaginięcie przyjaciółki, która okazała się współlokatorką Katii.

– Nie potraktowaliście poważnie zniknięcia Olgi – szepnęła Marika.

– A ty byś potraktowała? – odparł z nieskrywanym sarkazmem Lisicki. – Lesba mówi, że druga lesba nie wraca na noc.

– Na trzy noce – poprawiła go Marika.

– Pełnoletnia lesba. Takich się nie szuka. To nie jest temat dla glin.

– Połączyliśmy to zaginięcie – wtrącił Rodzki – gdyż Olga pracowała w tej samej agencji, co trzy inne dziewczyny, i znała pozostałe ofiary. Jest niestety duże prawdopodobieństwo, że też nie żyje.

– Przesłuchano tę Sylwię? – Marika nie znalazła nawet zdania na ten temat.

– Lesba jak lesba – mruknął Lisicki.

Rodzki westchnął.

– Nic nie wiedziała. Nie znała pozostałych ofiar. Dwa przesłuchania, żadnych informacji.

– Chcę z nią pogadać.

– Pewnie. Masz tam adres. Możesz się umówić choćby jutro.

Lisicki spojrzał na niego, jakby chciał zaprotestować.

– Jak już zbadasz nasze... wyższe sfery – powiedział tylko.

– Te dziewczyny... to chyba jeszcze nie wyższe sfery.

– Miały wpływowych znajomych. – Lisicki zwolnił przed ciężarówką i rozpoczął manewr gwałtownego wyprzedzania, nie zważając na trąbienie z tyłu. – I obracały się w bardzo wpływowych kręgach.

– Dlatego tu jesteś? – zgađła Marika.

– Można tak powiedzieć. – Roześmiał się.

Marika zamierzała już powiedzieć coś niemiłego, ale zrezygnowała. Nie polubimy się z panem Lisickim, co nie znaczy, że należy go od razu prowokować. Lepiej przygotować grunt i dopiero potem zaatakować z całą siłą. Ciężka jazda utopi się w błocie, zanim dotrze do dobrze okopanego przeciwnika. Znacznie rozsądniej zaatakować z rozpędu na twardej nawierzchni.

Marika nie była rozsądna. Nie mogła więc się oprzeć, by nie zadać tego jednego, istotnego pytania:

– A jakie ty masz zadanie? Znaleźć zabójcę czy uchronić go przed znalezieniem?

Lisicki obejrzał się i puścił do niej oko.

– To zależy, partnerko.

Rodzki przymknął oczy i postanowił udawać, że utnie sobie drzemkę. Sprawa, która w ciągu dwóch miesięcy napsuła mu krwi, nabrała nieoczekiwanego przyspieszenia dzięki dwóm nowym kartom o nazwach „Lisicki” i „Marika”. Kto wie, co z tego wyniknie. Kto okaże się dzokerem, a kto blotką.

Cóż, lepsze to niż ciągle udawanie, że nie mają do czynienia z wampirem. Pozyskanie Mariki dobrze rokowało. Dziewczyna miała głowę na karku i była... wyjątkowa. Takie atutowe karty często przesądzają o wygranej. Przeczucia rzadko go zwoziły. Będzie dobrze, musi być.

Złapiemy drania.

Marika go złapie.

A potem?

Spojrzał na Lisickiego.

Potem przyjdzie czas na dokonanie wyboru.

Ciągle go męczyło jeszcze jedno pytanie, którego nie chciał zadać nawet w myślach.

– Wyśpij się, zaczynasz jutro – powiedział Rodzki, wręczając jej kluczyki.

Mansarda na Miodowej była specyficznym ciągiem wąskich pokoi i korytarzy, przedzielonych skosami i schodami, z masą drewnianych wstawek, skrzypiącą, uginającą się podłogą, starymi zapadniętymi łóżkami i nierównymi ścianami, na których powieszono najbrzydsze obrazy, jakie kiedykolwiek widziała.

– Poprzedni właściciel był artystą – dodał, widząc, jak pociera jeden z obrazów palcem. Jakby chciała się upewnić, że są rzeczywistością, a nie omamem umysłu.

– Strzelił sobie w łeb o tam, w drugim pokoju – dodał z sadystycznym uśmiechem Lisicki.

– Jego mózg eksplodował jak nagazowany, zabrudził cały pokój, pół dnia technicy musieli go zbierać ze ścian i tych przeklętych obrazów. Co niektórzy twierdzą, że zabił się, bo tu straszyles. Duchy. Wierzysz w duchy, Mariko?

Rodzki zacisnął mocno szczękę. Po co to mówisz, kutasie? Ona i tak ma dość.

– Nieprawda – powiedział. – Zabił się z miłości. Był nieszczęśliwie zakochany.

– Widać po obrazach. – Marika obejrzała je dość dokładnie w czasie, gdy tamci otwierali lodówkę, uruchamiali telewizor i robili inne bzdury.

– Tak? – zaciekawil się Lisicki.

– Pociągnięcia są pełne pasji, barwy niezbyt dokładnie zmieszane i intensywne, nieco rwany rytm, ale taki być musi, jak się chce prawdziwie opowiedzieć o miłości. Wcale nie są złe. Może nawet dobre. Bardzo dobre.

Rodzki nalał sobie szklanke wody i rozsiadł się w kuchni.

– Porozmawiajmy o sprawie – zaproponował.

Marika usiadła naprzeciwko.

– A jest jeszcze o czym rozmawiać? Wszystko wiadomo.

– Wszystko to znaczy nic. Nie mamy nawet cienia podejrzenia, kim może być zabójca.

– Wiemy, że to facet – uściśliła Marika.

– Dlaczego?

– Gwałty.

Rodzki zamyślił się.

– No tak – przyznał. – Poza tym okrucieństwo, wręcz bestialstwo, z jakim działał napastnik, wyklucza kobietę.

– Jednak się zawahałeś. Dlaczego?

Rodzki nie odpowiedział od razu. Marika zauważyła, że to go zdecydowanie odróżniało od Lisickiego, który był raczej impulsywny, bezrefleksyjny i skory do zachowań psychopatycznych. Rodzki w swojej słamazarności wydał jej się mądrzejszy i znacznie ciekawszy niż młody pistolet z ABW. Dobrze weszli w swoje role. Rodzki był dobrym gliną, Lisicki złym. I tak też było w życiu. Chyba że się myliła.

– W części przypadków nie znaleziono materiału biologicznego, żadnej spermy, śliny, śladów naskórka za paznokciami czy w ranach, nic.

– W części?

– Tak. Niektóre dziewczyny przed śmiercią uprawiały seks ze swoimi klientami – wyjaśnił.

– Ten materiał musieliśmy oddzielić, choć oczywiście klienci mogą być podejrzani.

– Jak ten Japończyk?

– Na przykład.

– Coś jeszcze?

– Patolog stwierdził, że rany głowy nie zostały z pewnością zadane gołą pięścią, i obstawia coś w rodzaju twardej rękawicy bokserskiej. Wymyślił tę rękawicę, bo jest fanem boksu. Wziął mnie do gabinetu i pokazał rękawicę, którą kupił na jakimś pchlim targu, bardzo twardą i jedynie w niewielkim stopniu amortyzującą uderzenia. Zrobili też eksperyment i okazało się, że podobne rany powstają w wyniku uderzenia stosunkowo miękkim młotem gumowym. Takim, którym trenują na przykład bokserzy. Na pewno widziałas to na policyjnej siłowni.

– Tak. – Skinęła głową, przypominając sobie, jak kilka lat temu próbowała ćwiczyć, uderzając młotem w dużą oponę. Nie lubiła tego, wolała zadania bez obciążenia czy dodatkowych narzędzi. Ciało najlepiej ćwiczy się, gdy to ono jest jedynym obciążeniem.

– Ktoś relatywnie słaby mógłby do ich zadania użyć takiego młotka. Mogłaby to być również kobieta.

– Ale kobieta nie zgwałciłaby kobiety.

Oczy Rodzkiego zabłyśły niczym perły.

– Kobieta mogłaby użyć wibratora lub sztucznego penisa albo jakiegoś zwyczajnego przedmiotu o zbliżonym kształcie z założoną nań prezerwatywą. Bierzemy to pod uwagę.

– Na poważnie?

– Raczej nie. Ale nauczyliśmy się w tej robocie, żeby nie wykluczać hipotez, których nie eliminują dowody.

– A więc kobiety też są podejrzane?

Lisicki, który przez dłuższy czas wpatrywał się w coś za oknem, ożywił się.

– Przestań ją zwodzić, partnerze. Żadna kobieta nie zadałaby takich ran innej kobiecie. To facet.

– Mówiłem tylko o hipotezach.

– No tak, hipotetycznie to dziś nieraz trudno rozpoznać, kto jest kobietą, a kto nie.

– Jasne – zakończyła Marika. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie Olgę ze zmasakrowaną twarzą. Piękna i oszpecona, taka jak inne. – Sądzicie, że to ma znaczenie?

– Co takiego? – zawołali obaj i dopiero wtedy Marika się zorientowała, że nie zadała właściwie pytania.

– To że były piękne – wyjaśniła. – Były piękne, a ktoś je zmasakrował. Może zazdrościł im urody, może sam jest oszpecony?

Rodzki odetchnął głęboko.

– To jedna z hipotez – przyznał. – Ale równie dobrze może to być zasłona dymna albo odwrotność tej sytuacji.

– Jak to?

– Morderca może być na przykład postrzegany jako bardzo atrakcyjny zewnątrz, a zepsuty w środku. Tak samo może postrzegać te kobiety i na przykład chce wydobyć na zewnątrz ich wewnętrzną brzydotę. To opinia psychologa.

– Aha.

– Równie prawdopodobna jak każda inna.

– Więc tak naprawdę nic nie wiecie? Nic nie macie?

– Nic – przyznał Rodzki i dodał szybko: – Tylko ciebie.

Marika spojrzała w podłogę. Przed oczami zobaczyła mroczki, jakby za długo wpatrywała się w telewizor czy jakiś emiter światła.

– To jaki jest plan?

– Postaramy się o angaż dla ciebie w jednej z agencji. Słyszałaś o PromoArcie?

Wzruszyła ramionami.

– Nie.

- To nowa firma Iwo Kocjana. Wiesz, kto to?
- Obiło mi się o uszy...
- Dawniej stylistą gwiazd, fotograf i straszny kobieciarz, który nagle zrozumiał, że jednak pociągają go głównie faceci. Podobno każdy mężczyzna jest potencjalnym gejem, ale wychowanie nie pozwala mu na przyznanie się do tego. Jednak jeśli w snach dobierasz się do facetów, to masz przechłapanie. – Spojrzał na Lisickiego. – Dobierasz się... partnerze?
- Porucznik nic nie odpowiedział.
- Kocjan musiał mieć bardzo intensywne sny. Gustuje w prawdziwych facetach. Takich z dużymi... no wiesz... mięśniami, wielkim ego, wspaniałą, oliwkową cerą. Męscy, mocni, silni goście mają u niego duże szanse. Mam wrażenie, że lubi bywać ofiarą przemocy.
- I ja mam go... uwieść?
- Wobec kobiet jest raczej oschły, przy tym jednak uczciwy. Modelki go szanują, oceniają pozytywnie i mówią o nim w samych superlatywach. Mam wrażenie, że szczerze.
- Dlaczego akurat on was... nas interesuje?
- W PromoArcie były kiedyś zatrudnione trzy z tych zabitych dziewczyn. Łucja, Katia i Anna Starak, a także... zaginiona Olga.
- Marika nie okazała żadnych emocji.
- Kiedyś? – zapytała chłodno.
- Kocjan twierdzi, że rozwiązał z nimi umowę na długo przed tym, zanim zaginęły czy padły ofiarą zabójcy.
- Podał powody?
- Nie. Odmówił składania zeznań. Nie lubi policji, z którą jak dotąd miał tylko kłopoty, i w żaden sposób nie dał się przekonać do zmiany zdania. Również przez takich orłów jak ten tam. – Nadkomisarz wskazał na Lisickiego, który zareagował błyskawicznie.
- Pierdol się, Rodzki.
- Tak czy inaczej – Rodzki podjął wątek Kocjana – po demonstracji siły podkuliliśmy ogony. Mimo to było za późno, niczego już nie uzyskaliśmy. Kocjan zatrudnił jednego z najlepszych prawników i porozumiewamy się od tego czasu za jego pośrednictwem. Ile razy już mówiłem, że naprawdę cię potrzebujemy?
- Ale masz jakieś podejrzenia, dlaczego się pozbył tych dziewczyn? To nie jest normalna sytuacja? Często przecież pracują dla różnych agentów?
- Owszem, mam podejrzenia. Kocjan prawdopodobnie dowiedział się o ich drugim zawodzie i nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Bardzo dba o *publicity*. Tak to się nazywa?
- Mniej więcej.
- Pod warunkiem oczywiście, że nie kłamie i nie zrobił takiej specjalnej ustawki. Wiesz, biznes czysty zostaje w PromoArcie, biznes brudny idzie gdzie indziej.
- Co dalej stało się z dziewczynami?
- Złożyły swoje portfolio w kilku agencjach. Bez praw na wyłączność. Najwięcej zleceń dostawały ze StarBook. Jednak pieniądze, które zarabiały w tej agencji, w żaden sposób nie odpowiadają ich rzeczywistym dochodom w tym czasie. Na zleceniach z prostytutki kosiły znacznie więcej.
- Czyli zaczynam od Kocjana? – upewniła się.
- Spróbujesz go wy badać i pójść drogą tych dziewczyn. Jeśli się uda, będziemy mieli postęp.
- To może potrwać.
- Trudno. Niektórych morderców ścigano przez trzydzieści lat.
- Wielu nie znaleziono nigdy – odparła cicho. – Nie mam całego życia na ściganie ducha...
- Nawet jeśli zabił Olgę?

Nie odpowiedziała.

Rodzki westchnął.

– Cóż. My też będziemy robić swoje.

Lisicki klasnął w dłoń.

– To jak, my lecimy, prawda, Rodzki?! Będziemy w kontakcie, Mariko. Powodzenia.

Nie wiedziała, czy drwi, czy mówi poważnie. Skinęła więc tylko głową.

Rodzki podał jej biały kartonik z adresem.

– Pojedź tam jutro, gdy wstaniesz. Julia poprowadzi cię dalej.

– Julia?

– Musimy jakoś wprowadzić cię do branży. Julia będzie do tego najlepsza.

– Julia – powtórzyła.

– Julia Szamocka. Znasz?

Marika ukryła zmieszanie. Nie, nie znała jej. Dużo jednak słyszała i dlatego miała obawy. Szamocka dość często występowała na jedynekach gazet i raczej rzadko prezentowano ją w pozytywnym świetle. Mimo że w gruncie rzeczy robiła więcej dobrego niż złego. Kontrowersje lepiej się sprzedają. Pytanie tylko, czy to mediom na nich zależało, czy Szamockiej.

Marika postanowiła ukryć swoje wątpliwości.

– Szamocka prowadzi fundację Mysz – podjął Rodzki. – Współpracujemy z nią w specjalnym programie publiczno-prywatnym, oddając tam pod opiekę młode dziewczyny, które zbłądziły. Narkomanki, złodziejki... prostytutki.

– I ona im pomaga?

Rodzki skinął głową.

– Stara się znaleźć dziewczynom dobrą pracę, wyprowadzić je na prostą. Ma dużo ofert z branży kosmetycznej i reklamowej, od fryzjerów, marketingowców i różnych innych typów. To praca, w której pachnie wielkim światem, dzięki czemu pociąga dziewczyny, ożywia je, motywuje. Sprawia, że bardziej im się chce wrócić do społeczeństwa niż w warsztatach tkackich.

– Taka hipoterapia – zadrwił Lisicki. – Tylko same klacze bez ogierów.

Rodzki zignorował uwagę.

– Mamy świetne wyniki. Dziewięćdziesiąt pięć procent dziewczyn od Julii nie wraca na drogę przestępstwa. Oczywiście nie wszystkim udaje się zabłysnąć, większość dostaje po prostu dobrą pracę gdzieś w usługach dla wyższych sfer.

– Chcecie, żebym została fryzjerką?

– Julia ściśle współpracuje też z agencjami modelek. Najładniejsze dziewczyny dostają swoją wielką szansę, a agencje starają się je promować u znanych projektantów. Wszyscy chcemy pomóc tym dziewczynom.

Marika zamyśliła się. To było co najmniej dyskusyjne w kontekście tego, co robiły ofiary. Czyżby...

– Czy te zamordowane dziewczyny przechodziły przez fundację Julii?

– Nie – zaprzeczył nieco zbyt szybko Rodzki. – To nie tak. Żadna z nich nie przeszła tej drogi. Chodzi nam tylko o uwiarygodnienie twojej osoby.

– Kłamiesz – powiedziała spokojnie Marika. Przynajmniej w jednym przypadku Rodzki skłamał.

Wiedział, o czym mówi Marika, ale nie dał się zbić z tropu.

– Nie – zaprzeczył. – Nie kłamię. Olga rzeczywiście była uczestniczką programu, lecz ty pytałaś o zamordowane dziewczyny. Ciało Olgi nie znaleziono. Uznajemy ją za zaginioną. Mariko, ja nie próbuję z tobą w żaden sposób pogrywać.



– A on? – Wskazała na Lisickiego, który prychnął niegrzecznie i spojrzął na zegarek, dając Rodzkiemu znać, że na nich czas.

– Musisz nam uwierzyć, Julia Szamocka nie brała udziału w tym procederze – powiedział z naciskiem Rodzki. – Nie prowadziła żadnego przesiewu, nie stręczyła dziewczyn, nie namawiała do prostytucji. Dobrze to sprawdziliśmy, zanim poprosiliśmy ją o wprowadzenie cię do PromoArtu.

Marika zrezygnowała z dalszych słownych gier.

– Dobra, niech będzie. Ile wie o mnie Szamocka?

– Nic – wtrącił nieoczekiwanie Lisicki, jakby chciał dać znać Rodzkiemu, żeby trzymał się tej linii.

Komisarz machnął na niego ręką i oznajmił:

– Powiedzieliśmy jej w zasadzie... prawdę. To znaczy jej część. Jesteś dziewczyną po przejściach, którą niesłusznie zamknięto na cztery lata w psychiatryku i której staramy się pomóc. Nie powiedzieliśmy jej tylko, że kiedyś byłaś policjantką.

– Obiecującą policjantką – dodał Lisicki – która wolała zejść na złą drogę.

– Jak zareagowała? – spytała Marika.

– Obejrzała twoje zdjęcia i... – znów to porozumiewawcze spojrzenie z Lisickim – ... początkowo była wręcz zachwycona. Powiedziała, że może zrobić z ciebie gwiazdę.

Marika uśmiechnęła się. Ja i gwiazda. Niedoczekanie.

– I co wy na to?

Rodzki ledwie dostrzegalnie obliznął wargi.

– Jak się domyślasz, niespecjalnie nam to pasowało. Nie chcemy, żebyś aż tak rzucała się w oczy. Musisz być oczywiście na tyle atrakcyjna, by znaleźć się jak najbliżej Kocjana, a potem zainteresować ludzi od dziewczyn za pieniądze, jednak zbyt wybijanie się z tłumu może nam i tobie zaszkodzić, sprowokować zainteresowanie mediów, grozi zwyczajnie zdemaskowaniem. Powiedzieliśmy więc Szamockiej o twoich problemach... hm, emocjonalnych, wciąż niepokonanej agresji i doszliśmy wspólnie do wniosku, że lepiej nie wyzywać losu i nie próbować cię zbyt promować. To ma być terapia, nie kariera. Nie chcemy żadnej telewizji, okładek i słynnych fotografów.

Rodzki zamilkł na sekundę, spojrzął w okno, chrząknął i zakończył, podkreślając:

– Lepiej, żebyś szła po cichu i trochę w cieniu. Julia początkowo oponowała. W końcu uznała, że w twoim wieku i tak by nic z tego nie wyszło. Jesteś za stara.

– Jasne.

– I za krnąbrna. O tym Julia nie wie. Pewnie dowie się wkrótce.

– Pewnie.

– Tak czy inaczej, Szamocka nie ma pojęcia o twojej misji. Wie, że jesteś bardzo niegrzeczna, bardzo niesubordynowana, bardzo niebezpieczna i zła. Nie zawieź nas. Dobra, spadamy.

Rodzki nie czekał na jej reakcję. Poprawił marynarkę i wyszedł z mieszkania. Lisicki uśmiechnął się pod nosem. Mierzył wzrokiem Marikę. Tak, niewątpliwie kiedyś nadejdzie moment, że zostaniemy sam na sam. Ale nie dzisiaj.

– Baw się dobrze, mała.

– Spierdalaj.

– Lubię takie niegrzeczne kocice.

Marika uśmiechnęła się tylko drwiąco. Jeszcze nie czas. Jeszcze nie.

Została sama.

Jedynie ona, odzyskana nieoczekiwanie wolność, mansarda w okolicach Starego Miasta

i cała masa niepewności.

Sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte, i założyła łańcuch na klamkę. Stare dobre zabezpieczenie. Potem uważnie obejrzała mieszkanie. Nie znalazła żadnych kamer czy podsłuchów. Albo były bardzo dobrze ukryte, albo rzeczywiście jej odpuścili. Czy to możliwe? Nie. Rodzki, draniu, gdzie schowałeś pluskwy? A może to Lisicki za nie odpowiadał. Może teraz produkują takie, które ukrywa się bezpośrednio w ścianach, nie dając żadnych szans ich odkrycia.

Potem położyła się na łóżku i leżała tak do zmierzchu, wpatrując się w sufit.

Była wolna. Sama w pachnącym normalnie mieszkaniu. Dotykała rzeczy, które nie miały faktury szpitalnych ścian, barierek, łóżek i posadzek. Normalnie. I pachniały normalnie. To było takie niesamowite. Cztery lata katorgi i nagły ratunek. Nawet jeśli okaże się pułapką. Była szczęśliwa. Dawno nie była tak szczęśliwa.

Lecz szybko posmutniała.

Olga. Gdzie jesteś, dziewczynko? Dlaczego znów mnie potrzebujesz? Czy nie mogłaś znaleźć normalnej pracy, zwyczajnego chłopca do kochania, urodzić dzieci, żyć tak po prostu? Musiało cię ciągnąć do świata pustych słów i sztucznego blasku? Dlaczego, do cholery, to zrobiłaś? I co się z tobą stało?

Znajdę ją.

Rodzki miał rację, wybierając ją do tego zadania. Zrobi wszystko, by znaleźć Olgę i tego cholernego mordercę. Jeśli Olga nie żyje, tym bardziej. Znajdzie go i wymierzy sprawiedliwość. Bez względu na to, co będzie jej grozić. Nie oglądając się na Rodzkiego i Lisickiego.

Tego ostatniego zostawi na deser.

Mamy do pogadania, draniu.

Wzięła prysznic, a potem wyszła na miasto.

Było koło dwudziestej pierwszej. Za późno, by jechać do byłej współlokatorki Olgi. Jutro, jutro do niej zajrzy. Spacerowała godzinę, a potem poszła do baru. Gdy wróciła do domu, wybiła północ.

Julia Szamocka czekała na nią w siedzibie fundacji Mysz. Na drzwiach i przy domofonie widniał napis:

Fundacja Mysz. Julia Szamocka. Jeśli potrzebujesz pomocy, dzwoń. Jeśli jesteś akwizytorem, dziennikarzem, maklerem albo bankierem, zapraszamy, gdy zbankrutujesz. No chyba że chcesz nam oddać jeden procent :)

Fundacja Mysz. Szamocka nie zdradziła mediom, dlaczego tak dziwacznie nazwała fundację. Podejrzewano, że to przez jej upodobanie do alkoholu. „Szamocka nieustająco widzi białe myszki” – żartował jeden z prześmiewców w felietonach drukowanych w znanym tygodniku.

Była bardzo wysoka i mimo prawie pięćdziesięciu lat – wciąż piękna.

– Jesteś starsza, niż myślałam. Ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć – odparła Marika, dopowiadając w duchu: przecież dobrze wiesz. Sprawdzasz mnie, badasz? A może po prostu musisz odbębnić pozorowaną rozmowę, w której będziesz udawać moją przyjaciółkę?

Patrzyły na siebie badawczo. Julia miała czekoladowe oczy i opaloną twarz, w której wszystko wydawało się dość naturalne. Nos, policzki, brwi, usta – wszystko stworzone przez naturę, a nie technologów i specjalistów od operacji plastycznych i wizerunku najbardziej w danej chwili odpowiadającego masowym potrzebom. Była szczera i emitowała emocje jak projektor, dzięki czemu Marika od razu się zorientowała, że Julia nie jest przekonana do pomysłu Rodzkiego.

– Nie nadają się? – zapytała.

Ciepły uśmiech Julii nie był odpowiedzią.

– Tego nie powiedziałam. Nadajesz.

– Ale myślisz, że sobie nie poradzę?

– Nie wyglądasz najlepiej, jesteś przemęczona i zaniedbana. Naprawimy to bez trudu. Mam wątpliwości... hm, innej natury.

– Jestem za stara?

– Niektórzy mówią, że dwadzieścia pięć lat w tym zawodzie to czas na emeryturę.

– Niektórzy...

– Ja się z nimi nie zgadzam – mruknęła Julia. – Branża coraz częściej sięga po dojrzałe kobiety tak w modelingu, jak reklamie. Słyszałaś, kto ma reklamować bieliznę Calvina Kleina? To już nie jest czas nastolatek, przynajmniej nie wszędzie. Niemniej jednak...

– Powiedz wreszcie. – Marika próbowała przyciągnąć uciekający wzrok Julii.

– Chodzi o twój typ urody... hm, bardzo specyficzny, odważny i taki młodzieńczo buntowniczy. Jest wspaniały i mogłabyś zrobić wielką karierę, gdybyś była trochę młodsza.

– Nie chcę robić kariery.

– No właśnie w tym problem. Przekazano mi, że mam z ciebie zrobić zwyczajną, atrakcyjną laskę, przeciętną, jak tylko się da, żeby twój... temperament nie eksplodował. No i jak teraz patrzę, to chyba... się nie da.

– Dlaczego?

– Nie zrobię z ciebie grzecznej dziewczynki, nie ułożę. Masz diabła pod skórą, dziewczyno. Wylazi bez względu na to, jakie przebranie przybierzesz. Rzeczywiście nie potrafisz nad tym panować?

– Nad czym?

– Nad... emocjami. – Julia chyba chciała powiedzieć coś innego. – Jesteś taką emocjonalną

bombą, jak mówił Rodzki?

Marika przygryzła wargę z prawej strony i cmoknęła przez zęby.

– Nie miałaś tu takich jak ja?

Julia uśmiechnęła się.

– Miałam różne, ale takiej jak ty nigdy. Podzieliłabym je na dwie grupy. Jedne były wyciszone, niby delikatne, starające się trzymać na uboczu. Drugie wyzywające i głośne. Wszystkie w gruncie rzeczy takie same. Mocno dostały po dupie i nie wierzyły nikomu. Strach lub nadmierna, efekciarska egzaltacja były ich grą, sposobem odreagowania tego, co je spotkało. I jedne, i drugie w głowach tworzyły swoje światy, do których nikt nie miał dostępu.

– Jestem inna?

– One w gruncie rzeczy chciały do tego swojego świata kogoś zaprosić. Prosiły o pomoc, krzyczały wręcz o nią. Chciały być zrozumiane, chciały się zaprzyjaźnić, zakochać, być inne. A ty...

– Powiedz.

– Ty nikogo nie zapraszasz, stawiasz znak ostrzegawczy, a zanim ktoś zdąży przeczytać, co na nim napisano, już dostaje w dziób.

– No nie...

– Nawet teraz szykujesz się do ataku, mierzysz z broni i czekasz na najlepszą okazję do strzału.

– Nie zastrzelę cię. – Marika zaczęła lubić Julię. Jej analiza była trafna.

– Tylko dlatego, że mnie potrzebujesz. Potem...

– Potem też cię nie zastrzelę. Zawsze pamiętam, jeśli ktoś zrobił coś dla mnie.

– Dobre i złe rzeczy – powiedziała z uśmiechem Julia. – Pamiętasz wszystko, prawda?

– Właśnie. – Marika również posłała jej uśmiech.

Julia klasnęła w dłonie.

– Cóż, spróbujmy zatem coś popchnąć do przodu. Zacznijmy... może od fryzury.

Fryzjer mieścił się trzy przecznice dalej, poszły więc na piechotę. Za Julią oglądał się każdy mężczyzna i co druga kobieta. Marika skuliła się, zgarbiła i rzucała ostrzegawcze spojrzenia. Lepiej nie podchodź i się nie patrz, dobry człowieku, bo mogę od niechcenia wyłupić ci gały.

– Jeśli chcesz pracować dla Kocjana, to chyba nie jest dobra strategia.

– A jaka jest właściwa?

– Cycki do przodu, tyłek do tyłu. Kroki pewne i sprężyste, głowa do góry, czoło odkryte. Musisz nabrać pewności siebie. Pokazać władzę. Bo to ty ją masz. Cała jesteś władzą, siłą, mądrością. Wszystkie najważniejsze cechy kobiety. Symbole władzy i piękna...

– Gdy będzie trzeba, nabiorę.

Fryzjer uśmiechnął się na ich widok i zaczął rozpląwać się w zachwytach nad Julią, jej figurą, postawą, fryzurą, ubiorem, czólenkami i oczkiem w rajstopach.

– To celowe? Och, jakież wspaniałe oczko.

Marika nie miała nic do gejów, ale trochę przesadzał z autopromocją.

Hola, gościu, tu są same kobiety.

Łypnął na nią okiem z uśmiechem szerszym niż wiecznie zamknięty tunel na Wisłostradzie.

– Cóż my tu mamy, ślicznotko. Wspaniała, doskonała, piękna. Tylko te włosy. No ale już my coś poradzimy. Siadaj, złotko.

Marika usiadła i rzuciła w lustro długo trenowane w szpitalu spojrzenie, które miało oznaczać: „Lepiej tego nie spieprz, stary, bo uknęę ci jaja i zjem na surowo”.

– Ech, chyba mnie nie lubisz, złotko.

– Lubię swoje włosy.

- Ja też je polubię.
- Takie jakie są, bez zmian.
- Ale przecież chcesz, żeby były piękne.

Julia skinęła mu głową, a Marika zamknęła oczy. Lepiej, żeby tego nie widziała. I lepiej, żeby trzymali ostre narzędzia z dala od niej.

Skończył po prawie dwóch godzinach. Zdążyła wymyślić opowiadanie fantastyczne, na którego końcu pojawił się gość o rysach i posturze Lisickiego. Główny bohater mordował go finalnie w szczególnie spektakularny sposób, obcinając mu wszystkie członki i na końcu głowę. Rodzki przeżył. Dla Julii nie wyznaczyła jeszcze roli.

Nie było tam też miejsca dla Olgi.

Do diabła, gdzie jesteś, dziewczynko?

– Już – zawołał fryzjer. – Możesz spojrzeć. Spójrz, czyż nie pięknie wyszło?

O dziwo spodobało jej się. Wygładzone, ułożone włosy sprawiły, że jej twarz straciła sporo ostrości i wyzywających rysów, ale jednocześnie zachowała oryginalny charakter.

– Dwa w jednym. Teraz jesteś muzą każdego pięknego Greka, a wystarczy, że użyjesz lakieru, o tak, i wraca twój stary styl, z którym podbijasz serca wszystkich klubów dla gejów w południowym Londynie. – Rozpylił trochę lakieru, potargał jej włosy i znów była sobą. – I co? Jak brzmi wyrok?

– Jesteś geniuszem. – Marika uśmiechnęła się szczerze i spojrzała ciepło na Julię. – Dziękuję.

– Myślałaś, że naprawdę będę próbowała zrobić z ciebie grzeczną licealistkę? Chodź, wypożyczymy coś na wieczór. Mamy pokaz.

– Pokaz?

– Nie mówiłam ci? Impreza u Paprockiego i Brzozowskiego. Należą do najlepszych. Bardzo dobrzy, by cię pokazać na początek. Na pokazie będą wszyscy ważni. Cała śmietanka.

– Nie za wcześnie?

– Boisz się?

Marika nie odpowiedziała. Patrzyła przez szybę na rosnący ruch na ulicach. Dochodziła trzecia po południu. Dla części urzędników powoli kończył się dzień pracy. Normalni ludzie wracali do domów, rodzinnego ciepła, dzieci i pachnących przyprawami kuchni. Normalni ludzie nie gwałcili małych dziewczynek, nie przychodzili do nich w nocy po pijaku i nie tłumaczyli złożoności świata dorosłych, chuchając płonącym od wody oddechem. Normalnym ludziom nie odrąbywano głów siekierami. Nie znała zbyt wielu normalnych ludzi.

– Dobrze, ale mam coś jeszcze do załatwienia.

Tłum urzędników wysypał się z biura Ministerstwa Finansów punkt szesnasta. Rzeka ludzi ruszyła do zaparkowanych na dziedzińcu samochodów, na przystanki autobusowe i do metra. Marika wyłowiła Sylwię bez trudu. Wyraźnie odstawała od pozostałych dziewczyn w garsonkach, białych koszulach i spódnicach przykrywających kolana.

Czarne włosy, twarz o dość ostrych, wyzywających rysach, surowa uroda bez makijażu, pudru, długich rzęs i odpicowanych brwi.

Mała, chuda i drobna wydawała się... niemal miniaturową kopią Mariki.

Kopia Mariki, tylko niższa o głowę.

Czego innego mogła się spodziewać po Oldze? Wyraźnie odróżniały je jednak kolczyki w brwiach Sylwii, sposób chodzenia i ubiór. Dziewczyna miała na sobie obcisłe czarne dżinsy, skórzaną dopasowaną kurtkę i przerzuconą na skos przez ramię szmacianą torbę licealistki. Szła ze wzrokiem wbitym w ziemię i pochyloną głową, jakby starając się nie rzucić nikomu w oczy. Skulona, niewidzialna.

Marika wyzywała cały świat, Sylwia błagała, by dał jej spokój.

Ale to były tylko pozory. Gra. Oszustwo.

Gdy tylko Marika stanęła przed nią, Sylwia naprężyła mięśnie i przygotowała się do ataku. Marika spostrzegła, jak tamta zaciska dłoń na czymś, co trzymała w kieszeni. Gaz albo inna broń.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedziała.

– Tak? A może ja ci zrobię? – syknęła Sylwia. – Czego chcesz?

– Szukam Olgi.

Na twarzy dziewczyny pojawiło się zaciekawienie i szybko znikło. Marika dostrzegła w jej oczach coś jeszcze. Jakby nadzieję. Chyba musiała ją lubić.

– Jestem jej przyjaciółką z dawnych lat – dodała szybko Marika. – Wiem, że zaginęła i... wiem coś jeszcze. Chcę ją odnaleźć.

Sylwia wyczuła, że Marika jest po dobrej stronie. Puściła to coś w kieszeni i wyjęła rękę.

– Jestem Sylwia.

– Marika.

– Nie masz nic przeciwko komunikacji miejskiej?

– Nie.

Pół godziny później wchodziły przez podwórko koło teatru do niewielkiej kamieniczki. Przy wejściu obok jakieś dzieciaki w białych koszulach i wygniecionych marynarkach paliły papierosy.

– Obok jest wyższa uczelnia – wyjaśniła Sylwia.

– Tutaj? – zdziwiła się Marika.

Sylwia wydeła wargi.

– To dobry biznes. Dziś wyższą uczelnię można założyć nawet w piwnicy. Zatrudniasz paru ledwie czających bazę belfrów, wynajmujesz kawałek kamienicy i już masz superszkołę dla głabów, którzy uważają, że papierek wszystko załatwi. Ta tu ma już dużo sukcesów. Rektor na przykład został oskarżony o molestowanie studentek, ale się nie przejmuje, bo ma znajomości w rządzie i wśród polityków. Jeżdżą razem na wakacje.

Nie było windy. Weszły na drugie piętro i Sylwia wyłowiła z pęku kluczy ten właściwy. Szczęk zamka poniósł się echem po klatce.

W mieszkaniu było bardzo dużo kwiatów i unosił się wspaniały zapach.

– Olga lubiła kwiaty – wyjaśniła Sylwia. – Napijesz się kawy?

Marika skinęła głową. Mieszkanie było maleńkie, miało zaledwie dwa niewielkie pokoje. Umieszczone w każdej wolnej przestrzeni donice z kaktusami, paprociami i storczykami dodatkowo przytłaczały je i czyniły optycznie mniejszym. Po ścianie wiło się jakieś zielone pnącze, wpadając za starą kanapę oraz stojące obok biurko z komputerem. Na biurku były dwa monitory, jeden większy, drugi mniejszy. Oba podłączono do komputera z otwartą obudową. Marika pierwszy raz widziała „bebechy” komputera. Myślała, że wyglądają inaczej.

– Lubisz komputery? – zapytała.

– Pracuję w tej działce – Sylwia odkrzyknęła z kuchni. – Jestem administratorem i serwisantem.

– W ministerstwie? Musisz być dobra!

– Żartujesz? W ministerstwie są same spady i leszcze. – Dziewczyna uśmiechnęła się, wchodząc z kawą.

– Ale ty jesteś dobra, prawda?

Sylwia kiwnęła głową.

– Trochę się na tym znam – powiedziała tajemniczo, uruchamiając komputer. – Próbowałam odszukać Olgę dzięki kontaktom w sieci, ale nic to nie dało. Jej zdjęcie trafiło na miliony kompów w całym kraju, szukamy jej przez społecznościówki i wszystkie możliwe miejsca oraz organizacje. Na próżno.

– Niczego nie znaleźliście? – zapytała Marika, zyskując na czasie.

– Nic. Pustka. Oczywiście było sporo fałszywek, ale szkoda opowiadać. Sprawdziłam wszystkie.

Marika wciąż zastanawiała się, jak to rozegrać. Jaka strategia będzie najlepsza, żeby czegoś nie spieprzyć. Ze względu na łączący je związek, sprawa była delikatna. Mimo że rozmawiały sympatycznie, wyczuwała postawioną przez Sylwię niewidzialną barierę.

Podeszła do półki z książkami i przeczytała w myślach parę tytułów. Podręczniki do matematyki i książki historyczne. Żadnej powieści.

– Nie lubisz beletrystyki?

– Beletrystyka jest nudna.

Marika pokiwała głową ze zrozumieniem. No dobra, trzeba zaczynać.

– Gliny uważają, że Olga nie żyje.

– Wiem, nie jestem głupia.

– Myślę, że mogła paść ofiarą seryjnego zabójcy.

Sylwia pokręciła przecząco głową.

– Nie, wątpię.

– Zginęło kilka innych dziewczyn – dodała Marika.

Sylwia otworzyła i zamknęła usta. Chciała coś powiedzieć, lecz zrezygnowała.

– Masz jakieś podejrzenia? – zapytała Marika.

– Nie – skłamała Sylwia. Marika była pewna, że kłamie.

– Możesz mi zaufać – poprosiła.

– Nic nie wiem.

– Ktoś kręcił się koło niej, poznała kogoś? Może czegoś się bała?

– Nie.

– A jej rzeczy? Mogę je zobaczyć?

Sylwia wyraźnie się spięła.

– Mamy... nasze rzeczy są wspólne. Pomieszane.

– A książki? Lubiła beletrystykę. Gdzie są jej książki?

– Spakowane.

– Gdzie?

– Nie pamiętam.

– Olga pisała; masz jej notes czy też spakowałaś?

Sylwia wstała i popatrzyła na nią chłodno.

– Myślę, że powiedziałam ci już wszystko. Nic nie wiem. Zostaw mnie.

Marika zapisała jej numer telefonu, który dostała od Rodzkiego.

– Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz chciała pogadać.

– Dobrze. – Sylwia wzięła kartkę.

Marika spojrzała błagalnie. Zaufaj mi, dziewczyno, jestem po twojej stronie. Jestem przyjaciółką Olgi. Jeśli ty też, to powinnaś zadzwonić. Obu nam powinno zależeć na jej odnalezieniu. Nawet jeśli znajdziemy tylko ciało.

– Zadzwoń, proszę.

Sylwia ledwie dostrzegalnie skinęła głową.



Morderca szukał kolejnej ofiary.

Stanął przed lustrem, poprawił marynarkę, muszkę na białej koszuli i przyglądał fryzurę. W rzeczywistości wylądował w odbiciu wchodzące po czerwonym dywanie kobiety. Twarz i ramię. Na to zwracał uwagę. Jego ofiara musiała mieć to coś w obliczu i czerwoną nitkę na przegubie dłoni. Jeszcze żadna z wchodzących kobiet nie spełniła obu warunków.

Wyszedł do toalety, poczekał, aż będzie sam, zamknął się w kabinie i kilka razy głośno odetchnął.

Nie możesz tak ryzykować.

Nie wolno ci dać im pretekstu, nie pozwól na zwrócenie na ciebie uwagi.

Jesteś jak powietrze.

Nikt cię nie widzi. Wszyscy udają, że cię nie ma.

I dobrze.

Tak musi zostać.

Nie ma strachu, nie ma zła.

Jesteś tylko częścią ciemności.

Tylko ona się liczy.

Ona i zadanie.

Tak, śmierć jest zadaniem.

To nic osobistego.

Wykonujesz tylko rozkazy.

Nie jesteś chory.

Choroba nie ma tu nic do rzeczy.

Gdy nadchodzi śmierć, ona się chowa w ciemności, umyka.

Wtedy czujesz się tak wspaniale.

Jak bóg.

Możesz wszystko.

Jesteś wszystkim.

Kosmosem pełnym spokoju.

Kosmos to spokój.

Zawsze po tym otwiera się brama Drogi Mlecznej.

Trafiasz do pustki i lewitujesz w niej.

Jest wspaniale.

Dlatego warto. Warto, by było wspaniale.

Wyszedł i zakręcił się przy stolikach zastawionych wysokimi kieliszkami z białym i czerwonym winem. Kelner uklonił się grzecznie i zaprosił gestem, by się poczęstował. Wziął kieliszek i udając, że pije, znów patrzył na wchodzących.

Kobiety w niewielkich grupach, pary, samotne osoby. Ci ostatni w mniejszości. Głównie dziennikarze i krytycy. Paru mniej znanych stylistów. Gwiazdy w otoczeniu fanów, agentów, przyjaciół i zwykłych pijawek. Schował się za plecy kelnera, unikając wzroku znakomitego tancerza, zasłużenie mianowanego na telewizyjnego celebrytę.

Wciąż nie czuł się w tym środowisku zbyt dobrze, mimo że przyjaciel wprowadził go i zapoznał z zasadami, przedstawił go niektórym aktorom i sportowcom. Coraz częściej poznawał teraz znanych ludzi, a czasem udawało mu się zamienić z kimś parę zdań.

Musiał wtedy bardzo się pilnować, żeby nie pokazać, kim jest naprawdę.

Wyciszyć i udawać kogoś mało znaczącego.

Uśpić zabójczą, dominującą część natury.

Być nikim.

Jak wielu tutaj.

Tyle że oni udawali coś zupełnie innego. Sam fakt, że ich tu wpuszczono, wystarczał, by się cieszyć. Nie potrzebowali prawdziwych sukcesów, nie dążyli do nich, bo one... nie miały znaczenia. Liczyło się tylko bycie dla bycia. Tylko pozory.

Uff, jakże on ich nienawidził.

Wszystkich.

Nawet tych, którzy zasługiwali na poklask.

Nie mniej utalentowany stylistą stanął na ścianie, pozując fotografom do zdjęć, a potem przeszedł na bok, żeby udzielić wywiadu reporterce podrzędnego brukowca. Pijawka.

Kolejna wredna, nic nieumiejąca i nieznająca pijawka.

Znów błysnął flesz.

Znana piosenkarka uśmiechnęła się szeroko do stłoczonych naprzeciwko dziennikarzy. Plotkarskie media twierdziły, że przy próbie samobójstwa omal nie straciła głosu i przez wiele miesięcy była skazana na playback, ale on w to nie wierzył.

Wszystkie te sensacyjne newsy zwykle okazywały się kłamstwem.

Przy wejściu zakotłowało się i na salę wszedł znany aktor filmów akcji w towarzystwie nie mniej znanej, pięknej żony. Mimo że to film go wywindował, on wolał teatr. Wypili kiedyś razem kieliszek przy barze w Piekielku podczas festiwalu filmowego i wówczas okazało się, że facet jest naprawdę sympatycznym, fajnym gościem. Zupełnie nie dał mu odczuć, że jest zerem.

Kto wie, może przez to ocalał życie.

Jego żona, piękna mimo wieku. Wspaniała. Dziś mocno naburmuszona.

Nic dziwnego; po tym, co mogła przeczytać wczoraj w gazetach, aż dziw, że w ogóle się tu pojawiła. Wiele z tych dziwek na jej miejscu od razu by się zemściło.

– Ciekawe – usłyszał głos obok. – Czyżby nie czytała gazet? Niesamowite, przyjaciel jej męża opowiada, jak to nakrył go w łóżku ze swoją żoną i w ten sposób zakończyła się ich przyjaźń, a ona wygląda, jakby jej to nie ruszało. Dziwne...

Morderca obejrzał się powoli. Głos należał do niezbyt znanego dziennikarza radiowego. Był już nieźle wcięty i zapewne nie zamierzał na tym poprzestać. Morderca poznał go przez przyjaciela, który opowiedział mu, że ów dziennikarz kiedyś w Madrycie na dużej biznesowej konferencji tak zapisał, że musieli go odstawiać specjalnym samolotem. Ale nic mu nie zrobili, bo to przecież nasza norma. Polscy politycy robili krajowi podobną reklamę, waląc ostro w gaz w samolotach i dukając w nikomu nieznanym językach podczas odpraw paszportowych. Trzeci świat.

Za aktorem cichcem przemknął znany satyryk, przesympatyczny gość, z którym mógłby się zaprzyjaźnić. W końcu gustowali w podobnych tematach. Tamten nawet napisał kiedyś oficjalnie, że kupuje sobie miłość u prostytutek i zażywa narkotyki.

Morderca spał się. Chętnie zapodałby sobie działkę.

Od kiedy wszedł w to środowisko, coraz częściej jej potrzebował.

Biała pani była przyjazna, kojąca, równie dobra jak dziwki.

Znów przy wejściu zrobił się szum.

Tym razem znów aktor, choć może raczej komik. Klaun. „Niby sympatyczny, ale w sumie drań” – tak mawiał przyjaciel mordercy. Swego czasu gdy miał problem, to mieszkał u jednej znanej modelki chyba przez miesiąc, a gdy owa modelka potrzebowała pomocy przy organizacji imprez charytatywnych, odesłał ją do swojego menedżera.

Taki jest ten świat.

Liczy się tylko kasa. Jest kontrakt, są uśmiechy. Nie ma pieniędzy, nie ma przyjaźni.

Znana, stara piosenkarka, która pojawiła się za nim, wzbudziła chyba największe zainteresowanie mediów i fotoreporterów. Zasłużenie. Nie dość, że wspaniała kobieta, to jeszcze miała w młodości pod górkę. Może dzięki temu odniosła taki sukces. Coś, co nie przychodzi łatwo, znacznie lepiej smakuje.

Flesz.

Tym razem fotoreporter wyłapał małego, chudego, łysiejącego i nieogolonego mężczyznę. Kultowy piosenkarz, średni aktor, teraz uważany za postrzelonego z powodu zaangażowania w politykę.

– Kolejny kurwiarz – powiedział zapijaczony dziennikarz. – Myśli, że wszystkich zmyli, że rzeczywiście taki święty i zależy mu na kraju i dzieciach, a żonę zdradza na potęgę.

Morderca nie odpowiedział. Lubił piosenkarza i szanował jego ostatnią aktywność. Naprawdę mu zależało. A że chodził na boki z dziwkami... Kto nie chodzi.

– Podobno ta aktorka z filmu pobiła się kiedyś o niego z pewną modelką. Wszystkie to kurwy.

Morderca odszedł na drugi koniec sali, żeby nie wysłuchiwać dłużej pijusa, i ukrył się trochę w cieniu. Obok stanęła młoda dziewczyna, którą wypromowano podczas Euro. Uśmiechnęła się tak zachęcająco, że pomyślał przez chwilę, żeby zmienić zasadę i zrezygnować z wymogu czerwonej nitki.

Nie, to byłoby wbrew regułom.

Spojrzał na wejście, w którym stanęła prezenterka telewizyjna w towarzystwie piosenkarza i restauratora. Tabloidy spekulowały, który z nich ją posuwa, czasem sugerując, że obydwaj. A ona przyjmowała owe spekulacje z wrodzonym wdziękiem.

O tak, ona by się nadawała na następny punkt programu...

Nie miała czerwonej nitki, nie mogła więc stać się jego ofiarą.

Upił wina i odprowadził wzrokiem aktora, który ostatnio więcej pił, niż grał, wciąż za to utrzymując się na szczycie zainteresowania mediów.

W końcu pojawiła się pierwsza dziewczyna z czerwoną nitką na nadgarstku. Przeszła koło ścianki, ale wobec braku zainteresowania fotoreporterów szybko znikła w głównym pomieszczeniu, gdzie miał odbyć się pokaz. Hol i sala balowa powoli się zapełniały i morderca zaczął odczuwać dyskomfort. Nie lubił tego momentu, gdy wszyscy byli jeszcze dość niepewni, podenerwowani, tkwiąc w oczekiwaniu na oficjalną część, podczas której jeszcze powinni być trzeźwi. Potem rzucą się na stoły z żarciem i alkoholem, nie dbając o pozory.

Poszedł za nią, ale szybko zrezygnował.

Nie spodobała mu się. Była zbyt wulgarna, wyzywająca, nieciekawa. Za prosta.

Odszedł w kierunku wejścia.

Dziewczyna, zupełnie nieświadoma, że właśnie ocaliła życie, wzięła do ust oliwkę i bawiła się nią językiem.

Pokaz trwał prawie dwie godziny. Modelki efektownie prezentowały stroje z najnowszej kolekcji, a Marika starała się nie ziewać i udawać zainteresowanie. Siedząca obok Julia z trudem zachowywała powagę.

– Udawanie nie wychodzi ci najlepiej. Postaraj się bardziej – szepnęła w przerwie.

– Aż tak to widać?

Uśmiechnęła się zamiast powiedzieć: jak cholera.

– Skoro moda cię nie interesuje, czemu chcesz to robić? – zapytała.

– Może po drugiej stronie – Marika wskazała na wybieg – jest inaczej.

– Jeszcze gorzej. Trzeba się spieszyć, sprzęzać, walczyć z różnymi niedogodnościami. To ciężka, wymagająca wielu wyrzeczeń praca.

– Aha.

– Więc po co chcesz to robić?

„Żeby złapać pieprzonego zabójcę” – odparła w myślach, spoglądając ostro na Szamocką. Julia nie pozwoliła się zdominować. Odpowiedziała równie ostrym spojrzeniem.

Mów, do cholery! Czego tu chcesz?

– Dla pieniędzy – powiedziała głośno Marika.

– Myślisz, że to takie łatwe?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Potrzebuję pieniędzy.

– Znajdź uczciwą pracę.

– Ta nie jest uczciwa?

– Jest, ale pieniądze zarabiają najlepsi. Ci, którzy rzeczywiście się poświęcą, zaangażują. To praca dla pasjonatów, a nie wyrobników.

– To dlaczego promujesz dziewczyny w tej akcji?

– Dlatego że one ją mają. Nawet jeśli brakuje im pewności siebie, umiejętności i urody, mają pasję. Ty masz wszystko, co trzeba, za to chyba nami... pogardzasz. Nie lubisz mody, to co tu robisz?

– Przepraszam. – Marika wystraszyła się, że przesadziła, i rzeczywiście przybrała zupełnie inną pozę. Chyba w roli kameleona nie była taka zła, bo Julia troszkę spuściła z wojowniczego tonu.

– To za mało.

– A więc mi nie pomożesz?

Julia chyba znów zamierzała powiedzieć coś ostrego, ale zrezygnowała. Może przypomniły jej się opowieści Rodzkiego o Marice, o jej kłopotach i drodze pełnej pułapek, którą przeszła. Może zadziały jakieś własne doświadczenia, artykuły z gazet, książki, filmy. Może coś wzruszającego albo zwyczajnie prawdziwego.

A może po prostu jeszcze nie wiedziała, co zrobić.

Nagle Marika poczuła dziwną potrzebę, żeby jej to powiedzieć. Jakby chciała zwymiotować na ten przekłety pokaz próżności, na te wszystkie światelka, gwiazdy, wspaniałości prężące się wkoło.

– Przychodził zawsze koło drugiej. Pierwszy raz mnie obudził. Potem już nie spałam, bo wiedziałam, że przyjdzie. Cuchnął wódką, nigdy nie przyszedł na trzeźwo. Wcześniej śmiał się i żartował. Potem usypiał mamę i w końcu przychodził. Otwierał drzwi tak cicho, jak tylko umiał, zamykał, odkrywał kołdrę...

– Przestań, to nie jest dobre miejsce...

– Na co? Na zwierzenia?

– Na takie opowieści. – Julia rozejrzała się niespokojnie. Nikt nie zwracał na nie uwagi.

Muzyka była głośna. Ludzie oglądali pokaz. Nikt nie wsłuchiwał się w ich rozmowę.

– Boisz się, że ktoś usłyszy? Ja nie. Ja się nie boję. Nie wstydę się powiedzieć, że dymał mnie własny ojciec. Moja matka się wstydziła, więc udawała, że nie słyszy. A ja się nie wstydzę.

– Przestań.

– No to nie mów mi, że nie mam pasji. Moja pasja została na czwartym piętrze bloku osiedlowego koło kopalni węgla.

Marika nagle poczuła się strasznie słaba, a Julia objęła ją ramieniem.

– Już dobrze. Pomogę ci.

„Jestem chorą dziwką – pomyślała Marika. – Wszystko muszę zepsuć. Pieprzona, głupia dziwka, która nie umie wykonać prostego zadania, bo zbiera jej się na wspominki”.

– Pomogę ci – powtórzyła Julia.

Na koniec pokazu Paprocki i Brzozowski wyszli na scenę i otoczeni modelkami tonęli w oklaskach i błyskach fleszy. Julia wstała i głośno klaskała. Marika również.

– Lubisz ich?

– Bardzo – szepnęła Julia.

– Przepraszam.

– Już dobrze.

Na bankiecie stanęły nieco z boku. Nikt do nich nie podchodził. Marika rozglądała się, rozmyślając, jak może wyglądać morderca i czy jest tu gdzieś w pobliżu. Policja nie miała żadnej, nawet najmniejszej wskazówki, nie mówiąc już o rysopisach czy nawet niewyraźnych zdjęciach z monitoringu. Rodzki przekazał jej wprawdzie profil zrobiony przez policyjnego psychologa, jednak zaznaczył, że jego wnioski mogą być całkowicie błędne, więc nie powinna się sugerować.

Przypomniała sobie teraz wyliczone w punktach cechy i szukała mężczyzny w wieku od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, silnego i wysportowanego, raczej bogatego, jeżdżącego dobrym samochodem, schludnie ubranego, starannie uczesanego, z włosami raczej krótkimi i ciemnymi lub też średnio długimi i blond, jeśli zaś długimi, to związanymi w kucyk, a może łysego, ale wówczas z wypiełgnowaną na łysinie skórą.

Do diabła, to mógł być każdy z nich.

Bełkot profilerka brzmiał jak życzenia z ogłoszenia matrymonialnego urzędniczki miejskiej w okolicach sześćdziesiątki.

Julia wzięła ze stolika dwie szklanki soku.

– Wolę wino – powiedziała Marika i zatrzymała kelnera, płynnym ruchem ściągając mu z tacy dwa kieliszki.

– Jak chcesz.

– Ty nie pijesz? – Podała Julii jeden z kieliszków.

Julia spojrzała zaskoczona, odsuwając dłoń towarzyszki.

– Nic nie wiesz? – zapytała, a wobec zdziwionego wzroku Mariki odpowiedziała sobie sama:

– No tak, przecież byłaś w szpitalu. Nie, nie piję. Jestem niepijącą alkoholiczką.

– Aha.

– Zrobiłam w życiu parę głupot i dostałam nauczkę. Pewnie jak ty?

Marika spojrzała ostro. Nie, nie zrobiłam żadnej głupoty. Należało się im. Wszystko, co zrobiłam, im się należało. Oberwali tylko ci, którzy zasłużyli. A jak było w twoim przypadku? Czy na pewno tylko winni ponieśli konsekwencje?

– Skończmy te podjazdy. Zobacz, jest Kocjan. – Wskazała na przystojnego mężczyznę ze starannie przystrzyżonym zarostem, w towarzystwie dwóch atrakcyjnych kobiet. – Jak się od nich uwolni, pójdę cię przedstawić.

– Kim one są?

– Te kobiety? Jedna to reporterka z brukowca, druga jest była żoną znanego prezentera telewizyjnego. Jej mąż stoi o tam, zaledwie kilka metrów dalej, z obecną żoną. Oficjalnie się unikają, ale na takich imprezach się nie da. Zabawne, że ta reporterka od Kocjana przyjaźni się z była żoną, więc wymyśla teksty szkalujące obecną, a my wszyscy to czytamy albo i nie. Zresztą bzdury wymyślane w mediach to norma wpisana w ten zawód, powinnaś się od razu przyzwyczaić. Nie oczekuj tutaj rzetelności czy sprawiedliwości. Liczy się tylko to, kto obsmaruje cię szybciej i bardziej sensacyjnie, wyciągając do tego najgorsze możliwe wnioski.

– Jak to?

– Celebryci są jak terroryści. Bez mediów nie istnieją. Media to wykorzystują i wymyślają różne głupoty. Działa to na wszystkie strony.

– Nie mogą pisać po prostu prawdy?

– A kogo interesuje prawda? Jest za mało ciekawa, rzadko kiedy ma smak skandalu i odpowiedni koloryt. Żeby news był ciekawy, trzeba go ubarwić, podlać ostrym sosem, wyrwać coś z kontekstu, podkreślić. Wtedy zainteresuje ludzi, przyciągnie innych dziennikarzy, będą mogli w kółko to maglować. Bez względu na to, czy za prezentowaną informacją kryją się ludzki dramat i cierpienie. One są nieistotne. Krew w newsach ma barwę drukarskiej farby. Pachnie tylko atramentem, nie powoduje omdleń i wymiotów, a jedynie pusty śmiech i radość tłumu. Przyciąga, prowokuje, ciekawi.

– A co na to gwiazdy?

– Mogą iść do sądu, ale jeśli nawet wygrają, to wskórają niewiele poza odszkodowaniem, które potem ciężko wyegzekwować. Dlatego lepiej przyjąć reguły gry i udawać przyjaźń, nawet jeśli w środku gotujesz się od nienawiści. O, zobacz, te dwie kobiety tam. Jedna jest reporterką, która notorycznie kłamie w gazecie. Druga często bywa ofiarą tych kłamstw. A teraz obie udają przyjaciółki. Kto wie, może nawet nie udają.

– Nie rozumiem. – Marika rozglądała się po tych wszystkich świecących szerokimi uśmiechami ludziach. – Czyżby tu było więcej dziennikarzy niż... gwiazd?

– Dziennikarze to też gwiazdy. Oni je głównie kreują. Posiedzisz w tym dłużej, to zrozumiesz. Słyszałaś o ustawkach?

– Kibiców? – zdziwiła się Marika.

– Nie – Julia roześmiała się szczerze. – Gwiazdy udają, że oburzają się na zainteresowanie mediów, a tymczasem same prokurują różne zdarzenia i informują o tym media. W praktyce wygląda to tak, że gwiazda wychodzi na spacer z dzieckiem albo umawia się na randce czy w sklepie, a dobrze poinformowany dzwoni lub wysyła esemesa do dziennikarzy i paparazzich, informując o tym. Potem gwiazda zamieszcza linki na blogu, oburzając się, że nie ma za grosz intymności i prywatności. Jak oni mnie znaleźli? Dlaczego nie dają mi spokoju? A tak naprawdę cieszą się z tego.

– Ale po co jest im to potrzebne? – Marika nie mogła zrozumieć.

– Niektórzy bez mediów nie istnieją, inni mogą podnieść swoją wartość, przypomnieć o sobie, a czasem wymusić angaż. Bywa tak, że aktorka, która nie ma szans na jakąś rolę, puszcza takiego newsa do gazet, które się rozpisują: „Ta i ta zagra wielką noblistkę w głośnej adaptacji”. Potem reżyser czy producent prostuje, że nigdy nie było takich planów, a aktorka się żali: „Przez media nie dostałam roli”. Albo rzuca rękawicę rywalce: „Myślałam, że jest moja przyjaciółką, a zabrała mi rolę”. Taki to światek.

– Okropne.

– Okropne – przyznała Julia. – Tym bardziej że daje duże pole do manipulacji, z którą ciężko w takim świecie walczyć. Pamiętam, jak jedną z celebrytek oskarżono, że wysyłała esemesy o pogrzebie swojego ojca, żeby ją sfotografowano. Nie robiła tego, ale jak miała udowodnić, że mówi prawdę? Innej wmówiono, że nie zapłaciła za operację plastyczną, a gdy pokazała dowód, reporterzy zaczęli się rozpisywać o szczegółach umieszczonych na rachunku. Zresztą... kto wie, może jednak to one były winne. Granice pomiędzy prawdą a fałszem w tym świecie dawno się zatarty. Dobrze się zastanów, czy chcesz wejść do tej rzeki.

„Chyba nie mam wyjścia” – Marika niespecjalnie się przejęła opowieściami Julii. Skoro to taki syf, tym bardziej będzie mogła narozrabiać. Nie musi się przejmować, że kogoś urazi. Z drugiej strony, czy ma prawo do przedmiotowego potraktowania tych ludzi?

– Tu nie ma dobrych i złych – podjęła Julia. – Wszyscy są siebie warci. W branży krąży taka historyjka. Pewna znana celebrytka wygrała w sądzie z mężczyzną, który twierdził w gazetach, że ją uwiódł i potem porzucił. Gwiazda wytoczyła gazetce i temu mężczyźnie proces, który wygrała, bo facet nie był w stanie niczego udowodnić, a w końcu odwołał swoje wcześniejsze tezy. Powiedział, że musiał pomylić kobiety. Wyrok nie pozostawiał wątpliwości. Gazeta i gość mieli zapłacić odszkodowanie, a gwiazdzie należały się przeprosiny. Dostała je. Kiedy natomiast wysłała do swoich oponentów komornika, żeby odzyskał pieniądze, gazeta napisała nowego newsa. Zgadnij, jaki był tytuł?

– „Słynnej gwiazdzie brakuje kasy, dlatego nasyła na nas komornika”? – strzeliła Marika. Julia prychnęła.

– Też dobry, ale nie, oni napisali: „Gwiazda mści się na byłym kochanku i chce go puścić z torbami”.

– Przecież przegrali już jeden proces za takie opowieści.

– Co z tego? Tak można w kółko.

– Niesamowite.

Julia uśmiechnęła się pod nosem. Skinęła komuś głową, a potem nachyliła się do Mariki i szepnęła:

– A wiesz, co było najlepsze w tej historii? Ta gwiazda uknuła to wszystko z tym kochasiem. Wymyślili sobie taką akcję, żeby podgrzać wokół siebie atmosferę, a przy okazji zarobić. Mówiłam ci: tu nie ma dobrych i złych. Wszyscy są... jak kryształki rozbitego szkła, które kiedyś było czymś wartościowym. Strasznie nam tego szkoda i z żalem to sprzątam, a potem wyrzucamy do śmieci. Chodź, Kocjan jest już wolny.

Rzeczywiście, kobiety właśnie zostawiły przystojnego mężczyznę, który rozglądał się teraz w poszukiwaniu nowego towarzystwa. Gdy zobaczył Julię, Marika miała wrażenie, że chce uciec, ale ostatecznie uśmiechnął się szeroko i ucałował Szamocką w oba policzki.

– Pięknie wyglądasz, Julio.

– Dziękuję. Chciałabym, żebyś kogoś poznał. To Marika.

– Nowa podopieczna? – Choć Kocjan nie miał chyba niczego złego na myśli, Marika się zaperzyła. Nawet mało spostrzegawczy psychologicznie dyletant by to zauważył. – Och, przepraszam, że to tak zabrzmiało.

– Nie jestem pieskiem do pokazywania – mruknęła Marika.

– Tak, a kim?

Marika napięła mięśnie. Julia objęła ją na wszelki wypadek.

– Marika dość już przeszła – powiedziała. – Szuka pracy. Nie wzięłyś jej do siebie?

Kocjan wpatrywał się w nią badawczo, po czym odparł, kiwając wolno głową:

– Czemu nie. Właściwie czemu nie...





Mało co się nie porzygała.

W ciągu dwóch godzin wypaliła pół paczki fajek, wypila cztery drinki i piwo. Już po trzech miała dosyć. Potem tańczyła i znów zachciało jej się pić. Wypiła to cholerne piwo prawie duszkiem. Barman patrzył na nią jak na szmatę. Ale polewał bez protestu. Wróciła na parkiet i robiła to coś, co miało być tańcem, ale w żaden sposób go nie przypominało.

– Na pewno nie zrobisz mi krzywdy? – zapytał jakiś chłopak, na którego wpadła i do którego niemal natychmiast się przytuliła.

Tylko żeby odpocząć. Dwa oddechy i sobie pójdę.

Ale jej ciało nie chciało nigdzie iść.

Chłopak objął ją i przytrzymał najpierw trochę niechętnie, a potem jak stary, dobry kochanek. Kołysali się zupełnie nie do rytmu, podczas gdy cała sala podskakiwała szaleńczo przy ostrym kawałku Grizzly Bear.

– Czuję się jak niedźwiedź. Przepraszam.

– Chodź, postawię ci drinka.

I tak wypila swojego ostatniego, po którym musiała wyjść na papierosa, żeby jeszcze cokolwiek czaić. Ale jak zapaliła, to znów było jej niedobrze.

Cholera. To będzie ciężki wieczór i ciężki poranek.

Pierdolony pierwszy tydzień wolności.

– Na pewno wszystko dobrze?

Przyjrzała mu się. Jak na przypadek, to całkiem nieźle trafiła, choć wyglądał nieco zbyt młodo. Dwadzieścia pięć lat, może rok więcej albo mniej. Studenciak. Koszula w kratę, pod nią T-shirt, dżinsy i trampki. Ale za to ładnie pachniał. Ładnie i odważnie. Kenzo albo Lancôme.

Zapach dla odważnego faceta.

„Pierdolę was wszystkich!” – krzyczał. Albo wam się podoba, albo spierdalać.

– Ładnie pachniesz.

– Dzięki.

– Dziewczyna?

– Co?

– Perfumy kupuje ci dziewczyna?

Zmieszał się.

– Nie jesteśmy już razem.

– Spokojnie – roześmiała się. – Nie szukam faceta do chodzenia...

– Okay. – Także się uśmiechnął.

– ...tylko do pieprzenia. Na jedną noc. Jesteś dobry na jedną noc?

Oniemiał. Wahał się przez chwilę, a potem tylko pokiwał głową. Bez słowa ruszyli w kierunku wyjścia. Na dworze było chłodniej i zrobiło się jej lepiej.

Chłopak nie kłamał. Był naprawdę dobry. Przynajmniej na tę jedną noc.

Nie pomyliła się też co do drugiej kwestii.

Rano głowa bolała ją jak skurwysyn. Nie znajdowała na to, jak się czuła, lepszego określenia.

– Trzeba było wypić wodę!

Myślała, że to Romeo, ale Romeo spał jak niemowlak. Rodzki podał jej butelkę i powtórzył radę:

– Następnym razem wypij całą butelkę przed snem.

– Zsikałabym się.  
– Za to głowa by nie bolała. – Spojrzał na chłopaka. – Ale ty wolałaś robić coś innego niż pić wodę. Pamiętasz cokolwiek? Użyłaś prezerwatywy?  
– Zapytaj swojej córki.  
– Zawsze ją pytam. – Uśmiechnął się.  
– Gównu cię to obchodzi.  
Wzruszył ramionami.  
– Ubierz się. Mamy do pogadania.  
Romeo otworzył oczy, gdy wkładała już bluzkę. Uśmiechnął się promiennie, wystawił w jej kierunku swój imponujący poranny wzwód i wtedy zobaczył zakazaną gębę Rodzkiego.  
Krzyknął.  
– Spokojnie, mały, schowaj świtańca. – Rodzki zarzucił nań koszulę.  
– Kim jesteś?  
– To mój mąż – powiedziała spokojnie Marika. – Ale nie martw się. Zanim cię zamorduje, pozwoli nam wypić kawę, prawda, kochanie?  
Rodzki podjął grę.  
– Pewnie. Ale tylko jedną. Potem jesteś trupem. – Puścił do chłopaka oko.  
– Nic nie mówiła, że jest mężatką – powiedział nieśmiało Romeo.  
– A to nie widać?  
Roześmiali się. Romeo pokręcił głową, co miało oznaczać: „Nie no, ale dałem się wkręcić”.  
– Co najwyżej mógłbyś być jej starym, na pewno nie mężem.  
– I myślisz, że to dla ciebie lepiej? – Rodzki wstał, przeciągnął się, poprawił spodnie i wyjął z kabury walthera P-99. Położył pistolet na stoliku. Gdyby chłopak miał słabsze serce, pewnie byłby jeden trup więcej. – Dobra, mały. Zamykam oczy i liczę do dziesięciu. Jeśli cię nie będzie, to przeżyjesz.  
Romeo zniknął przy pięciu.  
Rodzki roześmiał się głośno.  
– Wisisz mi śniadanie. Ten natręt nie będzie cię już nachodził.  
Marika wzruszyła ramionami i wstawiła wodę na kawę.  
– Nie był natrętem. Był całkiem miły.  
– Czemu więc mu powiedziałaś, że jestem twoim mężem?  
– Bo na pewno stałby się natrętem. Poza tym aż tak miły nie był, żeby przedstawiła cię jako brata czy przyjaciela.  
– Nie mam na to szans?  
– Nie wiem. – Otworzyła lodówkę. – Masz szansę na jajecznicę. Jeśli jajka są świeże.  
– Wszystko, co masz w lodówce, kupiliśmy przedwczoraj. Ze specjalnego funduszu.  
– Okay.  
Wyjęła jajka i wrzuciła je na patelnię.  
– A propos kasy, mam nadzieję, że wczoraj nie wydałaś za dużo. Mamy ograniczony budżet.  
– Najwyżej mi pożyczysz. Wkrótce zacznę zarabiać sama.  
– Tylko nie wczuj się za bardzo. Założyliśmy ci konto w banku, tu masz numer. Jest na nim niewielka kwota, żeby nikt się nie przyczepił. – Wyjął karteczkę z kieszeni i zostawił na stoliku.  
– A tu masz kartę bankomatową. Co z tymi jajkami?  
Marika rozłożyła jajecznicę na dwa talerze i nałała kawę do filiżanek. Wyjęła z lodówki szczypiorek, pokroiła drobno i posypała jajka.  
– Pomidor?  
– Nienawidzę pomidorów.

Wzruszyła ramionami i odłożyła pozostałe warzywa.

Rodzki usiadł i zaczął pałaszować ochoczo. Patrzyła na niego i poczuła nagły przypływ sympatii. Nie przypominał jej cholernego ojca ani tego wała wuefisty. Był porządnym facetem. Rzadko ktoś taki się zdarza, ale się zdarza. Tak jak Romeo, który też nie był zły i z pewnością nie zasłużył na taki poranek. Ale hartowanie uszlachetnia.

Odbezpieczyła pod stołem pistolet, który po cichu zwinęła Rodzkiemu, i zrobiła naprawdę groźną minę.

– No dobra, panie oficerze. Mam na muszce pana najlepszego przyjaciela.

– I co zrobisz? – Rodzki nie przerwał jedzenia.

– Nie boisz się mnie?

– Dlaczego miałbym się bać?

– Jestem wariatką, zapomniałeś? Wyciągnąłeś mnie z psychiatryka.

– Tylko udawałaś – mruknął.

– Racja. – Wyjęła broń i położyła na stole.

Rodzki wziął pistolet, zabezpieczył i schował.

– Lepiej nie mierz do nikogo, jeśli nie masz zamiaru strzelić.

– Dlaczego?

– Taka zasada. Mądra.

Rodzki zjadł, ona dopiero zaczynała. Wstał i podszedł do okna. Piękny widok na świeżo wybrukowaną uliczkę, rząd kawiarni naprzeciwko, stare kamieniczki pełne galerii, kancelarii prawnych i biur dobrych finansistów. Spojrzał w lewo na kościół Świętej Anny i pomyślał, że gdyby tu mieszkał, może nawet by się nawrócił. Lubił kościoły, szczególnie puste po gorące nabożeństw i święceń.

– Piękny widok.

Przełknęła kolejny kęs i powiedziała mu o swoich snach, w których widzi Olgę uprawiającą seks z człowiekiem bykiem na jakichś masońskich zlotach.

– To tylko sny – odparł cicho. – Może niepotrzebnie opowiadałem ci o podejrzaniach dotyczących sekt i dziwacznych stowarzyszeń działających w tym środowisku. To tylko sny – powtórzył.

Tak, chore, beznadziejnie dołujące sny kaskadowe, w których z jednego koszmaru nagle wpada się w drugi, gdzie nic nie okazuje się prawdą, a za kolejną kotarą ułudy czeka namalowany na białym płótnie fałszywy drogowskaz do następnej pułapki. Wszystko było na niby. Może i ona jest na niby. Nie istnieje, nie ma jej.

– Spotkałam się z Kocjanem.

– Szybko – pochwalił. – Jakie odniosłaś wrażenie?

– W porządku, raczej w porządku, ale zobaczymy. Mam się dziś zgłosić do PromoArtu...

– Pierwszy stopień zaliczony. Zobaczymy, czy coś da.

– Jakież nowe wieści w sprawie?

– Dziennikarze wężą – powiedział bardzo powoli.

– Wiedzą o seryjnym?

– Wiedzą, że coś się dzieje. Pytają, czy to prawda, że mamy jakieś zaginięcia i ciała młodych kobiet. Ale na razie nikt nie składa wszystkiego do kupy. Wcześniej czy później jednak ktoś się wygada. Nie wiem, czego się dowiesz, ale podobno w branży jest cisza. Jakby komuś udawało się skutecznie tłumić plotki, bo przecież one muszą być. Gdy ginie kilka osób, nie sposób utrzymać tajemnicy. Wieści szybko się rozchodzą.

– Seryjny morderca mógłby wywołać panikę – szepnęła.

– To dziwna branża. Morderca mógłby stać się całkiem niezłym celebrytą – zażartował.

– Musiałby się ujawnić.

– Mam wrażenie, że oni, żeby nie dostrzegać problemu, zamykają oczy. Przechodzą obok, zamykają, otwierają dopiero za następnym rogiem. W ten sposób udaje im się ochronić. Czego nie widać, tego nie ma. Bogaci ludzie dla spokoju sumienia oddają czasem wielkie pieniądze na fundacje i różne akcje charytatywne, ale gdy trzeba spojrzeć w oczy choremu dziecku, potrafią się naprawdę przerazić. Im się udało, mają wszystko, więc świadomość, że los może im to tak nagle, niesprawiedliwie zabrać, pogrążyć ich, upokorzyć, byłaby dla nich zabójcza. Oszpeciłaby ich gładkie oblicza i puste dusze.

– Chyba nie jesteś sprawiedliwy...

– Czyżby?

Marika westchnęła. Tak naprawdę mało wiedziała o świecie wielkich pieniędzy. Co mogła odpowiedzieć? Tylko tyle, że impreza, na której była z Szamocką, jej się nie podobała. Przynajmniej jeśli chodzi o party po pokazie, bo sam pokaz nie był zły i ci dwaj projektanci chyba rzeczywiście mieli talent. Ale później... wszystko wydawało się takie sztuczne i nieprawdziwe.

– Może powinnam zapytać o to Kocjana wprost? – zasugerowała.

– O co?

– O te dziewczyny. Cztery pracowały dla niego, jak sam mówiłeś. Trzy zabite i... Olga. Może powinnam powiedzieć, że słyszałam jakieś plotki? Zasugerować, że coś wiem?

– Nie. Stanie się czujny. Udawaj, że nic nie wiesz. Dopiero później możesz zacząć delikatnie wypytywać. Ale nic wprost, bo staną się nieufni. Jeśli Kocjan zaproponuje ci pracę, będzie wspaniale.

– Oczywiście.

Rodzki zawahał się, a potem powiedział:

– Kocjan ma kilka służbowych mieszkań, w których umieszcza swoje dziewczyny. Może uda ci się dostać do któregoś. To byłby też postęp.

– Dopiero co daliście mi to mieszkanie – powiedziała zaskoczona.

– Cały czas jest do twojej dyspozycji. Chodzi mi o to, że będąc bliżej dziewczyn, będziesz mogła dowiedzieć się więcej. Jedynie tyle. No i... jeśli czujesz się na siłach. Może nie być łatwo w takim miejscu.

– Myślisz, że w samotności jest łatwiej?

– Nie wiem.

Zmienili temat. Rodzki opowiedział jej o przesłuchaniach osób przy ostatnim przypadku Katii Husin, badaniach laboratoryjnych i wszystkich najnowszych cudach techniki wykorzystanych przy sprawie.

– I nic. Nic nie mamy. Żadnych naocznych świadków. Dziewczyny nikt nie szuka. Nikt nie widział podejrzanego w okolicach miejsca zdarzenia. Kamery monitoringu w pobliżu także nie zarejestrowały żadnego samotnego podejrzanego. Nic, podobnie jak wcześniej. Wszystkie te cholerne przypadki są bez sensu. Te dziewczyny... jakby były niepotrzebne.

– Może to jest odpowiedź. Może dlatego zginęły. Były niepotrzebne. – Marika pomyślała o Oldze. Też stała się niepotrzebna, dziecińko. Zostawiłam cię, zawiodłam.

– Morderca wybiera je według jakiegoś klucza – powiedział cicho Rodzki. – Może takiego. Ty...

– ...jestem taka jak one. Jestem niepotrzebna. Dobrze postawiłeś.

– To nie ja – mruknął nadkomisarz.

– Ten drugi?

Nic nie odpowiedział.

– Muszę lecieć. – Uciekł wzrokiem, gdy stanęła naprzeciwko, i przemknął koło niej.  
Usłyszała trzask zamka i drzwi.

Wyszedł.

Została sama. Czowała się dziwnie. Skacowana, zerżnięta przez przypadkowego Romea, wymaglowana psychicznie przez starego faceta, z którym zadziwiająco dobrze jej się rozmawiało, i z jajecznicą w żołądku, stanowczo protestującym teraz argumentami nie do zbiccia.

Mówiłem przecież, żebyś nic nie jadła.

Ledwie dobiegła do łazienki.

Pięć godzin później Marika poprawiała fryzurę przed wejściem do PromoArtu. Agencja mieściła się w niewielkim zabytkowym budynku w jednej z uliczek dobiegających do Nowego Świata. Wnętrze przypominało połączenie galerii sztuki z poczekalnią nowoczesnej kliniki. Gładkie ściany i posadzki wypełniały meble i gadżety tak bardzo do siebie niepasujące, że to nie mogło się nie podobać. Ktoś, kto to projektował, naprawdę miał dużą odwagę i wyobraźnię.

Dziewczyna siedząca przy biurku służącym za coś w rodzaju recepcji oderwała spojrzenie od jakiejś książki i poprosiła, by Marika usiadła na kanapie, która wyglądała na mocno połamaną, jakby ktoś zrzucił ją z kilku pięter.

Iwo Kocjan nie dał jej długo czekać. Miał na sobie jaskraworóżową koszulkę, czerwone spodnie i masę skórzanych ozdobników na nadgarstkach i szyi. Wielki tatuaż kruka otulającego kobietę węża wylewał mu się z piersi na szyję i ramię. Dziwnie to wyglądało, ale jednocześnie miało klasę. Facet potrafił się ubierać i ozdabiać swoje ciało. Odważnie i prowokująco, a przy tym z wyraźnym wyczuciem. Kto miałby lepiej sobie radzić, jeśli nie szef agencji modelek i znany stylistka zarazem?

Poczuła zapach podobny do wody kolońskiej Romea. Wyzywający i intensywny.

– Cześć – powiedziała.

– Siadaj. – Iwo przeglądał dwa duże zdjęcia czarnowłosej dziewczyny w skórze. Na jednym leżała na ziemi z rozrzuconymi włosami i ramionami, jak trup. Na drugim siedziała na całkowicie białej podłodze z podkulonymi nogami i spoglądała w obiektyw, jakby ktoś ją właśnie zawołał.

– Które lepsze?

Marika przyjrzała się fotografiom.

– Oba są dobre.

– Tłuścioch to geniusz.

– Tłuścioch?

– Robi tak dobre zdjęcia, że naprawdę nie mogę wybrać. Oba są doskonałe.

– To prawda. Mają być wykorzystane w konkretnym celu?

Iwo oparł się na fotelu i przymknął oczy. Przysypiał tak dobrą minutę. W końcu rzekł:

– Tak. To zamówienie na okładkę nowej książki o wampirach. Międzynarodowy przetarg.

Marika zawahała się. Czyżby ją sprawdzał? Zainscenizował to specjalnie?

– W takim razie obie są złe. Żadna się nie nadaje.

– Żadna? Nie znasz się.

– To tylko moje zdanie.

– A ta? Ta też się nie nadaje?

Podniósł z biurka najbardziej klimatyczną fotkę, jaką w życiu widziała. Ta sama modelka zlewała się z ciemnością w pozie godnej bogini Kali. Wszystko w jej postaci sprawiało wrażenie śliskości i pełzającego zła. Wszystko wyglądało jak wąż. Było wspaniałe. Na okładkę książki o wampirach wprost doskonałe.

– Świetne.

– Pewnie i tak przegramy, ale zdjęcie jest w dechę. Te ujęcia, które widziałas na początku, Tłuścioch robił już do naszego portfolio. Cóż, masz dobry gust.

– Dzięki.

Spojrzał na kartkę przed sobą.

– To list od Julii z twoimi danymi – powiedział jakby do siebie. – Wydrukowałem z e-maila, bo nie czytam niczego na monitorze. Muszę dbać o wzrok.

Chrząknął i przez chwilę czytał list, pewnie nie pierwszy raz.

– Nie masz żadnych zdjęć, żadnego doświadczenia. Tylko... – przykuł ją nagle wzrokiem

– ...urodę. Jesteś piękna.

– Dziękuję – bąknęła, nie wiedząc, jak zareagować na taką pochwałę. Jeśli to była pochwała.

– Naprawdę zjawiskowa. Gdybyś trafiła do mnie dziesięć lat temu...

– Dziesięć lat temu byłam dzieckiem.

– Piętnaście lat to nie dziecko.

– A kto?

Kocjan spojrzał wrogo, ale szybko się uspokoił.

– W porządku. Wiesz, w tej branży rodzice wciskają nam dzieci.

– A wy je bierzecie.

– Dajemy szansę.

– Albo niszczyć życie.

– Może. Czego więc u nas szukasz?

– Ja jestem dorosła.

– Tak, z pewnością. – Oparł się wygodnie i taksował ją wzrokiem. Mimo że jego spojrzenie zdawało się wpełzać pod ubranie, ciekawe i nieproszone zaglądać w każdy intymny zakamarek, paliło wręcz jej skórę, nie czuła się skrzepowana. To nie było spojrzenie samca, który ocenia zdobycz. Profesjonalna, chłodna ocena. – Nie krępuje cię to, że tak patrzę?!

– Od tego jesteś – mruknęła.

Uśmiechnął się szczerze i klasnął w dłonie.

– Cóż, naprawdę mi się podobasz. Możesz zacząć od jutra?

Wzruszyła ramionami.

– Nawet od dziś.

– Wystarczy jutro. Jedziemy na sesję plenerową. Ubierz się wygodnie, ma być upał.

– Dobrze.

Iwo zapisał jej coś na kartce.

– Bądź jutro rano pod tym adresem. O piątej.

– O piątej rano? – powtórzyła z protestem w głosie.

– Wyspana – dodał. – I trzeźwa... bez kaca.

Wstał gwałtownie i wyszedł bez pożegnania.

## Część druga – Przynęta



13

– To się nazywa zapierdol – westchnęła Fashion. – Masz fajkę?

Marika wyciągnęła paczkę i podała jej gitanesa.

– Nie mogłabyś palić czegoś słabszego?

– Ty w ogóle nie powinnaś palić.

Fashion miała szesnaście lat, twierdziła, że jest pełnoletnia, a mężczyźni dawali jej dwudziestkę. Chciała uchodzić za seksualnie wyzwoloną i pewnie dlatego wszystko porównywała do seksu. Uwodziła też każdego, od zwykłych ochroniarzy na planie, poprzez modeli, na przypadkowych przechodniach kończąc. Nawet do Tłusciocha robiła maślane oczy.

Velvet i Rossie – dwie dziewczyny od dawna pracujące u Kocjana i trzymające się razem – chyba jej nie lubiły i próbowały przeciągnąć Marikę na swoją stronę. Łatwiej byłoby dołączyć do większości i zostawić Fashion samą. Ale nie dla Mariki.

Tak jest dwa na dwa.

Dwie głupie cipy kontra dwie szurnięte.

Praca na planie rzeczywiście nie należała do najłżejszych. Na ekranie czy zdjęciach widać w kilkusekundowym fragmencie czy ujęciu pięknie uśmiechniętą lalunię i wszyscy myślą, że to jest takie super i przychodzi bez trudu. A tymczasem na ten efekt trzeba czasem godzinami poddawać się zabiegom lepszych i gorszych fachowców i setki razy odgrywać zaplanowane akcje.

Czasem było to wyjątkowo monotonne i zwyczajnie nudne.

Pierdolony zapierdol, jak mówiła Fashion. Święta racja.

Marika zerknęła w kierunku Kocjana.

Uśmiechnął się.

Przez ten niecały miesiąc wspólnej pracy chyba zdobyła jego zaufanie, przekonała do siebie, zyskała sympatię i wciąż nieco chłodną przyjaźń.

Była dojrzała od jego dziewczyn, lecz wciąż świeża i nowa dla świata mody. Wykonywała polecenia bez protestów, a czasem proponowała rozwiązania, które okazywały się znacznie lepsze niż te zapisane w scenariuszach czy skryptach copywriterów.

Odeszła na bok i przypaliła papierosa.

– Psujesz mi dziewczyny. – Kocjan stanął za nią. – Dojrzewają za szybko.

– Fashion paliła, zanim się pojawiłam – zaprotestowała.

– Ale nie strzelała takimi zaczepnymi spojrzeniami.

– To przeze mnie?

– Nie widzisz? To tobie próbuje zaimponować. Ciebie uwodzi.

Odwrociła głowę. Fashion patrzyła na nią intensywnie, jakby rzeczywiście w myślach wypowiadała jakieś młodzieńcze, głupie zaklęcia. Marika nie dostrzegła tego wcześniej.

– Znam się na tym – szepnął Iwo z uśmiechem.

– No tak.

– Lepsze to, niż żeby sypiała z pomocnikami Tłusciocha.

– Albo z samym Tłusciochem.

– Właśnie. – Kocjan otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował.

– Chciałeś coś dodać?

Westchnął. Cholerna baba. Naprawdę jest dobra w odgadywaniu intencji.

– Cóż, dobrze nam się pracuje – powiedział. – Masz niezwykle pozytywny wpływ na dziewczyny, nawet na te dwie pindy, które od dawna działają mi na nerwy. Od kiedy u nas jesteś, wszystko działa sprawniej, dziewczyny wydają się bardziej zmotywowane, świeższe, lepiej wyglądają i wypadają na sesjach. A ja mogę rozwijać firmę.

– Dziękuję. Miłe słowa.

– No i... jak wiesz, PromoArt jest stosunkowo młodą marką.

– Ale już ma parę znaczących sukcesów – pochwaliła.

– Tak. – Kocjan miał wciąż zamyśloną minę, jakby ciągle się wahał, czy chce powiedzieć to, co ma na końcu języka. – No i coraz więcej dziewczyn się do nas zgłasza, mamy już pokazną bazę, która wymaga właściwej obsługi. Pomyślałem więc... że może chciałabyś bardziej włączyć się w prace firmy.

Marika oniemiała. On to powiedział na poważnie? Miesiąc pracy, miesiąc znajomości, a szef proponuje jej... no właśnie, co?

– Nie rozumiem.

– Och, nie mam nic złego na myśli.

– Nie wątpię. Powiedz, co dokładnie mi proponujesz.

– Pracę mojej asystentki – wypalił. – Formalnie. W rzeczywistości kierowałabyś agencją podczas mojej nieobecności, ustawiała sesje, zajmowała się całą stroną produkcyjną i organizacyjną.

– A ty?

– Ja skupiłbym się na negocjacjach i pozyskiwaniu kontraktów.

Marika oniemiała. Nie była pewna, czy to wszystko nie jest jakimś kiepskim żartem. Miesiąc, tylko tyle mnie znasz, i już taka propozycja? Coś tu było nie tak. Nie, to nie było możliwe. Z drugiej strony Kocjan naprawdę zyskał jej uznanie i sympatię. Był wspaniałym szefem i doskonałym organizatorem. Wszystko grało jak trzeba. Zupełnie inny świat niż ten, z którym dotąd miała do czynienia, gdzie nie działało dosłownie nic. Nawet z pozoru doskonale zorganizowana policja była w rzeczywistości jednym wielkim chaotycznym tworem układów i nieporozumień, gdzie wszystkie te procedury, rozkazy i ustawy miały w rzeczywistości jedynie przykryć prawdziwy obraz nienadający się do cenzuralnego opisanie. A jej życie sprzed... wypadku? Cała ta rodzinna gehenna – czy ona była lepsza? Nie, podobnie jak niczego dobrego nie mogła napisać o szpitalu czy swoim pobycie w poprawczaku.

Firma Kocjana funkcjonowała zupełnie inaczej.

– Zaskoczyłem cię? – zapytał Iwo. Widać było, że zeszło z niego powietrze, pozbył się jakiegoś strasznie ciężkiego kamienia leżącego na sercu.

Marika zagryzła wargę. Nagle tak bardzo zapragnęła być zwyczajną dziewczyną bez przejsć, której się udało. Zgodzić się, zostać partnerką Kocjana, zaangażować w coś, co zaczęło się jej już podobać. Nie mówiąc o tym, że jako jego asystentka miałaby dostęp do akt firmy i zamordowanych dziewczyn. Z pewnością przybliżyłoby to ją do rozwiązania zagadki.

Tylko co na to Kocjan?

– Nie mogę przyjąć twojej propozycji – szepnęła.

Tego się nie spodziewał. Patrzył, jakby się przesłyszał.

Przecież nie mogła odmówić.

– Mariko... to szansa, której szukałaś. Uwierz mi.

Pokręciła głową.

– Przepraszam, Iwo. Naprawdę nie mogę.

– Dlaczego? – Posmutniał, widać było, że oberwał porządny, nokautujący psychicznie cios.

Spojrzała odważnie.

– Zawiodłabym cię.

– To moje ryzyko i moja decyzja.

– Mimo to, nie.

Opadły mu ręce, a jej się zrobiło tak strasznie przykro. Odwrócił się i odszedł.

Długo patrzyła na jego znikającą postać.

Wieczorem zadzwoniła do Rodzkiego, wzięła prysznic, a potem wyszła pobiegać. Czekał na ławce, w za dużej marynarce, w której w ten upał wyglądał jak lump.

– Mógłbyś zacząć się lepiej ubierać, skoro pracujesz w świecie mody – upomniała.

– To ty w nim pracujesz. Po co dzwoniłaś?

Rodzki był zmęczony, wyglądał na zmęczonego, czuł się zmęczony. Zmęczenie wyzierało z każdego zakamarka jego ciała. Chyba go zawiodła, spodziewał się więcej. Zawiodła też siebie. Nie znalazła niczego, co pomogłoby odnaleźć Olę.

– To wszystko bez sensu – szepnęła.

Wzruszył ramionami.

– No – mruknął.

– Nie zbliżyliśmy się ani trochę do rozwiązania zagadki, prawda?

– Ani trochę – przyznał. – Kurewscy seryjni. To nie pierwsza sprawa, w której nie ma żadnych śladów naprowadzających na trop.

– Wciąż pozostaję waszą jedyną nadzieją?

– Pewnie. – Zrobił grymas, który chyba oznaczał coś brzydkiego. – Zrobiłaś, co mogłaś.

I robisz dalej.

Tak, prześledziła drogę, którą przeszła Olga, odwiedziła jej kochankę, przepytowała innych znajomych, potem dziewczyny, partnerów, zleceniodawców, drobnych pomagierów na dziesiątkach planów, które odwiedziła, wreszcie scenarzystów, różnych wymyślaczy i cwaniaków. Wszystko na nic. Olga była w PromoArcie, następnie zaczęła przyjmować jakieś inne zlecenia. Nikt nie wie, od kogo i jakie. Zniknęła. Tyle. Niczego więcej nie mogła się dowiedzieć. Może powinna porozmawiać szczerze z Kocjanem? Może to był sposób.

– Iwo zaproponował mi bliższą współpracę – szepnęła.

– Jak to? – zaciekał się Rodzki.

– Chce, żebym kierowała firmą.

– Co?

– Słyszałeś.

– To wspaniale – ucieszył się. – Będziesz miała dostęp do dokumentacji firmowej, kont, innych rzeczy. Po prostu wspaniale. Wiedziałem, że można na ciebie liczyć. Do cholery... to doprawdy przełom. Niesamowite. Powinniśmy to opić.

Marika pokręciła głową.

– Odmówiłam – wyrzuciła z siebie.

– Co zrobiłaś?

– Odmówiłam – powtórzyła. – To byłoby świństwo.

– Kurwa – przeklął Rodzki.

– Chcę z tym skończyć. Dziś w nocy pojadę do firmy i przejrzę dokumentację. A jutro odchodzę z PromoArtu. Bez względu na to, czy coś znajdę, czy nie.

Westchnął ciężko. Co ja się z tobą mam, dziewczyno?

– I co dalej?

– Może Julia coś wymyśli. Ta uliczka jest ślepa.

Rodzki początkowo wyglądał na zdruzgotanego, a po sekundzie już jakby było mu wszystko jedno. Podobno jego córka znów uciekła z jakimś chłopakiem. Kilka dni temu do Mariki przyszedł Lisicki i przekazał, że być może Rodzki nie będzie już z nią pracował. Wtedy opowiedział też jej o problemach komisarza, jego puszczańskiej córce, z której śmieje się cała komenda, i innych rzeczach. Nie wyglądało, żeby mu współczuł. Wręcz... miała wrażenie, że się cieszy. Ładny partner. Kolega, kurwa twoja mać.

Rodzki jednak nie zniknął z jej życia, nikt go nie zastąpił.

Cieszyła się i miała teraz wielką ochotę zapytać o małą. Nie zrobiła tego. Nie chciała dodatkowo go przytłaczać, może była zbyt wielkim tchórzem, a może po prostu nic jej to nie obchodziło.

Była pieprzonym samolubem.

– Jak chcesz. – Wstał i ruszył w kierunku centrum.

Nie powinna dać mu tak odejść. To nie fair. Powinna zapytać o nią...

– A co z twoim partnerem? – rzuciła, zaskakując sama siebie. Dlaczego zapytała o tego fiuta Lisickiego, zamiast o dziewczynkę?

Odwrócił się.

– Nie odzywa się.

– To chyba dobrze?

– Gdyby zniknął na zawsze, pewnie tak. Ale obawiam się, że to nie takie proste. Cześć.

– Cześć.

Wahała się pół nocy, w końcu włożyła lekką kurtkę przeciwdeszczową, założyła na głowę czapkę z daszkiem i ruszyła do PromoArtu. Bieg nocą przez pół miasta dla większości kobiet może nie byłby zbyt rozsądnym pomysłem, jednak Marika uwielbiała wcielić się w rolę tajemniczego prowokatora-mściciela. „Jesteś jak postać z komiksu” – mówiła sobie i wychodziła badać noc. Jak zwykle nikt jej nie zaczepił. Warszawa to niebezpieczne miasto? Chyba jednak nie. Wszyscy dranie mieli dziś szczęście. Klucze podrobiła już dawno. Otworzyła drzwi. Nie było alarmu. Przeszła korytarzem do gabinetu Kocjana, w którym składowano kopie dokumentacji księgowej i wszystkie archiwa. W szafie z aktami osobowymi nie znalazła teczek żadnej z dziewczyn, których poszukiwała. Nie było tam ani dokumentów Olgi, ani Łucji Krychowiak, Ani Starak czy Katii Husin.

Cholera, znów nic.

Przejrzała inne szafki i pomyślała, żeby zajrzeć do ostatniej szuflady osobowej. Może przełożono je na koniec?

Otworzyła szufladę i wtedy ktoś zapalił światło.

Kocjan stał w wejściu, blady jak ściana. Trzymał coś w dłoni, jakiś niewielki pojemniczek, wyglądający jak mały dezodorant. Gaz?

– To ty? – zdziwił się, a może wcale nie. Może jej oczekiwał. Grymas na twarzy wyrażał wszystko. Od nienawiści przez rozczarowanie i zwątpienie do zwykłej pogardy.

Mówiłam, że cię zawiodę.

– Przepraszam – szepnęła.

– Co tu robisz?

– Nie jestem tym, za kogo się podawałam – powiedziała, powoli cedząc słowa.

– Nie jesteś? Więc... kim jesteś?

Marika zrezygnowana usiadła za biurkiem prezesa, oparła łokcie o blat, zakrywając dłońmi usta.

– Szukam dziewczyn, które u ciebie pracowały – szepnęła.

– Nie mogłaś po prostu zapytać?

– Pewnie mogłam. Pomożesz mi?  
– O kogo chodzi?  
Podszedł do ściany i zapalił światło. Zanim usiadł naprzeciwko niej, wyjął z lodówki colę.  
– Chcesz?  
– Tak.  
Podał jej butelkę i usiadł.  
– No więc? O co chodzi?  
– Szukam tych dziewczyn. – Podała mu kartkę z wypisanymi czterema nazwiskami.  
– Wszystkie pracowały u ciebie. Trzy z nich dziś już nie żyją, jedna zaginęła.  
Dopisała dwa nazwiska i dopowiedziała:  
– A to są dziewczyny z innych firm, które także nie żyją.  
Kocjan patrzył badawczo. Przeczytał uważnie każde nazwisko, po czym oddał jej kartkę.  
– Jesteś policjantką?  
– Nie.  
– Więc kim?  
– Ta ostatnia dziewczyna – wskazała na nazwisko Olgi – była moją... Znałam ją bardzo dobrze. Szukam jej.  
– Tylko tyle?  
– Olga była dla mnie kimś więcej niż siostrą. Muszę ją znaleźć, ją albo tego, kto zrobił jej krzywdę.  
– I myślisz, że odgrywając jakąś rolę, uzyskasz efekt?  
Przymknęła oczy.  
– Tak.  
– Czemu po prostu nie przysłaś i nie powiedziałaś?  
– Policji nic nie powiedziałaś.  
– Policja chciała mnie zaszlachtować. Ty mogłaś przyjść i zapytać.  
– Nie chciałam ryzykować. Pomożesz mi?  
Iwo wpatrywał się w jej twarz przez dobre pół minuty. Dopił colę.  
– Mój adwokat powie, że to głupota, ale niech będzie. Co chcesz wiedzieć?  
– Wszystko. – Wzruszyła ramionami. – O co chodzi? Co wiesz? Może masz jakieś podejrzenia? Pomóż mi. Pokaż, gdzie i czego mam szukać.  
Pokiwał głową i patrzył w podłogę, jakby wciąż się zastanawiał albo układał sobie w myślach gładkie zdania. Gdy mówisz prawdę, nie musisz się zastanawiać. Czyżby chciał ją okłamać?  
– Dlaczego wyjąłeś karty osobowe tych dziewczyn z katalogu?  
Zdziwił się.  
– Jak to dlaczego? Nie pracują już dla mnie. Karty dziewczyn, które odchodzą, wyrzucam.  
– Tych nie wyrzuciłeś. Przeniosłeś na koniec.  
Wzruszył ramionami.  
– No tak.  
– Dlaczego? Powiedz mi.  
Iwo westchnął głośno.  
– Dobrze, zagrajmy w otwarte karty.  
Marika skinęła głową.  
– Łucja, Anna, Katia i Olga – westchnął głośno Iwo – wszystkie były z górnej półki, należały do moich najlepszych dziewczyn. Wszystkim wróżyłem niezłą karierę. Może nie na topie, może nie zrobiłbym z nich wielkich gwiazd światowego formatu, ale spokojnie mogły przepracować

parę lat, a potem zakreślić się wokół pokazów i sesji, ułożyć sobie życie, sporo zarobić i korzystać z tego.

– Dlaczego odeszły?

– Za mało zarabiał. Banalne – mruknął Iwo. – Tłumaczyłem im, że z czasem przyjdą duże kontrakty, poważne zlecenia, klienci na lata, ale one... były niecierpliwe, chciały szybko, już, teraz. Poprosiły mnie o rozwiązanie umowy na wyłączność, a potem... potem ja poprosiłem, żeby zabrały w ogóle swoje papiery.

– Dlaczego?

– Przecież wiesz.

– Z powodu prostytutki?

– One to nazywały sponsoringiem. Uważały, że to nic złego. Tyle znanych osób przecież daje dupy za pieniądze.

– Ty byłeś innego zdania?

– Nie o to chodzi. Ja prowadzę porządną agencję, tradycyjną, a nie świadcząca... inne usługi. Nie chciałem zmieniać profilu, choć w dzisiejszych czasach nie jest łatwo. Cały ten pieprzony show-biznes można o kant dupy potłuc. Piosenkarze zarabiają grosze i tylko na koncertach, bo z płyt nie dostają praktycznie nic, aktorzy bez ról w serialach prawie nie istnieją, talk-show premiują miernoty, młodzież jest zepsuta i chce mieć wszystko od razu, a modelkom się wydaje, że jak mają piękne ciała, to już git i nic więcej nie trzeba. Dlatego czują się zawiedzione, gdy zamiast na nowe porsche muszą szukać kredytu na fiata. To podatny grunt dla tych, których stać na płacenie za towar z najwyższej półki. Wiesz, ile razy moi partnerzy pytali, którą z dziewczyn mogą zaprosić na noc i zapłacić ekstra?

– Może to nic złego... sprzedawać się jak towar?

– Naprawdę tak myślisz?

– Pytam.

– Więc odpowiem krótko: to zło. Nie żadne małe zło. Zwyczajne, pierdolone zło. Dajesz dupy, to jesteś kurwą. Nie żadną nowoczesną laską, tylko kurwą.

– Sam mówisz, że czasy się zmieniły.

– Nie potępiam ich, niech robią, co chcą. Mówię, co myślę.

– No to w czym ci przeszkadzało, że dorabiały na boku?

– Po prostu... nie lubię takich sytuacji. Bałem się o inne dziewczyny, które chciały iść normalną drogą, poza tym... poza tym nie lubię Brochwicza.

– Kogo?

– Brochwicza. To on je w to wciągnął.

– Kim jest Brochwicz?

– Nigdy o nim nie słyszałaś?

– Nie.

Nabrał głęboko powietrza i wypuścił je z sykiem, nadymając policzki jak trębac.

– Gdzieś ty się uchowała, dziewczyno? Wpisz go sobie w wyszukiwarke i wszystko będziesz wiedzieć.

– I to tyle?

– A czego chcesz więcej?

Marika patrzyła badawczo. Iwo mówił prawdę. Tak podpowiadała jej intuicja. Jego oczy patrzyły na nią z rozżaleniem i zawodem. Nic więcej nie mógł dla niej zrobić. I ona dla niego.

– Czy ta rozmowa może pozostać między nami? – zapytała.

Pokiwał głową.

– Masz telefon do tego Brochwicza?



„Pierdolony stręczyciel, oto kim jest, nikim więcej. Zwykły, pieprzony kurwiarz”. Julia nie przebiegała w słowach, opisując jej Brochwicza.

– Tylko nie to, nie daj się w to wciągnąć – poprosiła.

– W co?

– Dobrze wiesz.

– Powiedz mi, Julio.

Julia obrzuciła ją szklistym spojrzeniem.

– Mariko, proszę cię, nie rób tego. Nie dzwoń do Brochwicza. To będzie moja osobista porażka, jeśli zadzwonisz. Kolejna porażka. Proszę cię, tylko nie ty.

– Kolejna? – wychyliła Marika.

– Tak, kolejna. Brochwicz to sęp, pasożyt żerujący na innych. Ukrywa się w cieniu i atakuje znienacka, zabiera co najlepsze... kaski. Modeling to trudny biznes, ale nie warto iść na skrót, nie warto podczepiać się pod kogoś takiego jak Brochwicz. To zło, rozumiesz? Zło.

Jakby słyszała Kocjana.

– Daj mi do niego telefon – poprosiła.

– Nie, błagam.

– Kocjan mówił, że od ciebie go dostanę – warknęła Marika.

Szamocka zamarała i nagle ucichła. Nie było jej. Błada twarz ze szklistymi oczami nie była już tym samym żarliwym obliczem obrończyni bezbronych, kalekich istot, które same nie dają sobie w życiu rady.

– Masz jak zapisać?

– Zapamiętam. Powiedz. Wystarczy, że powiesz.

Marika wychodziła, wystukując numer. Zbyt dużo czasu straciła na grę pozorów. Może Olga w tym czasie cierpiała? Może potrzebowała jej pomocy, a ona zamiast działać po swojemu, słuchała idiotów z komendy głównej i nie wiadomo skąd. Lisicki, draniu, kim jesteś?

Brochwicz nie odebrał.

Odetchnęła.

Chyba nie była gotowa na tę rozmowę. Dzwonek komórki wyrwał ją z odrętwienia. Numer przychodzący nieznanym – oświadczał komunikat na niebieskawym ekraniku.

– Halo?

– Dzwoniła pani do mnie? – usłyszała nieco zachrypnięty głos.

Serce Mariki zabiło głośniejsze.

– Pan Brochwicz? To pan?

– Z kim rozmawiam?

– Mam na imię Marika.

Słyszała, jak przełyka ślinę.

– No i?

– Chciałabym się z panem spotkać.

– Po co?

Kurwa, myśl! Co powiedzieć, żeby go nie spłoszyć? Jaka kartą zagrać? Mówić wprost czy może silić się na jakieś zagadkowe ściemy? Myśl, myśl, myśl!

– Halo, jest pani tam?

– Tak, przepraszam, jestem trochę zaskoczona. Ktoś dał mi numer do pana, mówiąc, że może mi pan pomóc. Nie wiem, jak zacząć tę rozmowę.



– Kto?

Raz kozie śmierć.

– Julia Szamocka. Jestem... podopieczną jej fundacji.

– I Julia dała pani numer do mnie?

– Nie chciała, ale dała – powiedziała Marika zgodnie z prawdą.

– I czego pani ode mnie chce?

Dobrze wiesz, draniu. Po co to ciagniesz? Albo mnie spław, albo zaproś do tej swojej cholernej galerii.

– Potrzebuję pomocy – szepnęła.

Milczenie. Nicco zbyt długie. W końcu jednak Brochwicz chrząknął i rzekł:

– Zna pani galerię ZZ?

– Tak. – Marika o mało nie krzyknęła z radości. Udało się. Złapał haczyk, drań. Złapał.

– Proszę tam przyjść przed zamknięciem. Przed osiemnastą.

– Będę.

– Ale nic nie obiecuję.

– Oczywiście.

Odłożyła telefon, oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Udało się. Tylko co dalej?

Brochwicz miał sześćdziesiąt pięć lat, czerwone plamy na policzkach, przerzedzone włosy i popielatą cerę, ale poza tym trzymał się całkiem nieźle. Szczupłe wyćwiczone ciało, silne ramiona i barki, dobrze dobrane ciuchy, spodnie szyte na miarę, podobnie jak sportowa marynarka. To wszystko w połączeniu z wypielęgowanymi dłońmi, zapachem drogich kosmetyków oraz władczyimi gestami sprawiało, że roztaczał wokół aureę playboya. Dziesięć lat temu bez wątpienia nim był. Potem wpadł pod pantofel żony i trochę się uspokoił. Wiek pewnie też robił swoje. Rodzki przez pół wieczoru przekonywał Marikę, że właśnie dokonali skoku w śledztwie, i z podnieceniem opowiadał o Brochwiczu i tym, co się z nim wiązało.

– To cholerny przełom w sprawie – mówił. – Pieprzony przełom. W niektórych kręgach od lat mówiono, że Brochwicz uczestniczy w handlu żywym towarem, ale nie było na to żadnego potwierdzenia. Dokonałaś cudu, dziewczyno.

– Jeszcze nic nie mamy.

– Mam, mamy. Jestem pewien. Jeśli dobrze to poprowadzisz... znajdziemy odpowiedzi.

– Wątpię.

– Nie spieprz tego.

Spojrzała jeszcze raz na zdjęcie Brochwicza i przeczytała załączone dossier.

Sześćdziesiąt pięć lat, wielkie sukcesy w polo i rajdach samochodowych w latach siedemdziesiątych. W przerwach pisał poradniki, a nawet powieści. W Singapurze wydano z nim wywiad-rzekę, który rozszedł się w jakimś kosmicznym nakładzie. Przyjaźnił się z wielkimi, sławnymi, bogatymi i awanturującymi się skandalistami. Podobno odstąpił jedną z żon pisarzowi Kosińskiemu, a w Paryżu sprzedał dla żartu niczego nieświadomą kochankę do burdelu. Wygrywane wyścigi, puchary, sława i splendor. Komunistyczne władze pozwoliły mu wyjechać do Paryża i kolaborować z kapitalizmem. Może był agentem, ale nie zachowały się na to żadne dowody. Szpieg bez teczki. Tym mógł być. Przyjaciel księcia Yorku i dworu w Monako, towarzysz arystokratów i artystów. Cała plejada gwiazd w otoczeniu. Nieudane inwestycje w biochemię i nieco lepsze na polu sztuki. Domy w Cannes, Malibu i Londynie. Mieszkanie w Nowym Jorku wynajmowane przez jeden z uniwersytetów. Szerokie kontakty, władza, splendor. Bardzo wpływowa postać.

– Baaaardzo – podkreślił Rodzki.

– Dlaczego nie ma tu Lisickiego? – zapytała Marika.

– Ma sraczkę. – Rodzki roześmiał się i zrobił niewinną minę. – Przecież nie będę go budził po nocy. Jutro się dowie.

– Boję się, że nie będzie tryskał entuzjazmem.

– W takim razie może dowie się dopiero pojutrze. Zobaczymy, co uzyskasz.

– Okay.

Galeria mieściła się w rzędzie kamienic w drogim zakątku Muranowa. Dalej tylko banki, drogie butiki, agendy marszandów i biur podróży, następnie park oraz teatr. Wspaniałe miejsce na galerię.

Marika weszła do środka i przedstawiła się recepcjonistce. Młoda dziewczyna spojrzała bez zainteresowania na jej twarz, wpisała nazwisko w notesie i kazała czekać. Gdy zadzwonił telefon, słuchała przez dziesięć sekund, a potem poprosiła, by Marika sama poszła na górę.

– Pan Roman czeka.

Stał przed obrazem przedstawiającym narodziny wszechświata. Wielki wybuch rodził kolejne gwiazdy i planety, a Bóg patrzył na zjawisko bez entuzjazmu, z zadumą czy wręcz powątpiewaniem. Jakby chciał powiedzieć: i tak ci się nie uda bez mojego małego palca, bez tchnięcia w twoje dzieło duszy, naturo.

– Starowski. Zapamiętaj to nazwisko. Kiedyś będzie wart majątek.

– Dobry – szepnęła Marika. Obraz był rzeczywiście dobry, choć jej się nie podobał.

– Lubisz malarstwo?

– Tylko stare. Nowego nie rozumiem.

– Dlatego mnie potrzebujesz. – Roześmiał się i błyskawicznie spoważniał. – Nowa sztuka wymaga przewodników. W innym wypadku można przeoczyć geniusza lub przepłacić za błazna.

– A kim pan jest? Geniuszem czy błaznem?

Taksował ją wzrokiem z każdej strony. Miała wrażenie, że za chwilę poprosi o otwarcie buzi i obejrzy jej wszystkie zęby. Zęby to bardzo ważna część twarzy. W zasadzie mówią wszystko o człowieku. Potrafią przekazać nam jego historię, upodobania, skłonności, traumy, a nawet kod genetyczny. Jeśli chorują, człowiek też jest chory. Traci wartość.

Czytała pani Hitlera, Mariko?

Nie, może trzeba było przeczytać. Warto krytykować tylko to, co się pozna.

Mnie wystarczą filmy. Są czarno-białe i dość sugestywne.

Ot, wydumany dialog.

Brochwicz chrząknął.

– Miło mi panią poznać, Mariko – powiedział.

– Mariko. Mówił mi pan już po imieniu – zauważyła.

– No tak. W moim wieku... – Roześmiał się szelmowsko. – Stara dobra Julia naprawdę ma oko. Dobrze, że mi cię przysłała, dziewczyno.

– Również się cieszę. – Wymuszony uśmiech miał z niej zrobić zahukaną, zagubioną dziewczynkę. Wyszło średnio. Brochwicz nie dał się nabrać.

– Zrobisz karierę. Jestem tego pewien. Zjawiskowa. Po prostu zjawiskowa. Wyobraź sobie, jaki zbieg okoliczności. Akurat dziś dzwonił do mnie przyjaciel z Nowego Jorku i pytał, czy nie znam kogoś odpowiedniego dla niego. Przyjaciółki z klasą. Ten mój przyjaciel to prawdziwy artysta. Wielka sława. Będziesz zachwycona.

– Przyjedzie tutaj?

– Przyjedzie? Do Polski? Co to to nie! On nie uważa takich krajów jak Polska, w jego poczuciu estetyki i wrażliwości nie istnieją. Już lepiej pokazać się w Afryce czy Azji, bo wtedy gazety napiszą. Oto słynny artysta jedzie wspomóc biedne dzieci i pozować do zdjęć w Kenii albo Zimbabwie. A w Polsce? Co by go czekało w Polsce? Tylko antysemityzm, katolickie stopy

i księży pedofile. Tak sobie wyobraża nasz kraj, biedak, a może szczęściarz. Powiesz: „Polska”, a on ucieka od razu do łazienki, skarżąc się na pęcherz. Taki to drań. Ale na pewno chętnie zobaczy cię w Nowym Jorku. Byłaś już w stolicy świata? Naprawdę niesamowite wrażenia...

– Nie mogę wyjechać.

Brochwicz zrobił urażoną minę.

– To najwspanialsze miasto na świecie.

– Wiem, ale nie mogę wyjechać z Warszawy.

– Co, do licha? Masz dziecko, rodzinę na utrzymaniu? Nie martw się, zaopiekujemy się nimi.

– Po prostu nie mogę – ucięła. – Możesz mi pomóc w inny sposób.

Sięgnął ręką do jej twarzy, jakby chciał powiedzieć: „W sumie, czemu nie?”. Przyniósł się.

Poczula jego zapach i nagle zrobiło jej się niedobrze.

Cholera, nie przyszedłam tu pieprzyć się z Brochwiczem.

Odrzuciła rękę mężczyzny.

– Nie boisz się, że żona zainstalowała kamery? – spytała.

Chrząknął, poprawił marynarkę.

– Czemu miałaby je instalować?

– Podobno się rozwodzą. Tak piszą w gazetach.

– Nie wierz gazetom. Choć tym razem... nie kłamią.

– Na pewno szuka na ciebie haka, żeby więcej wyciągnąć z twojego majątku. Ja bym tak zrobiła.

– Co?

– Zainstalowała kamery. – Rozejrzała się.

Brochwicz westchnął.

– Dobra, czego ty chcesz, dziewczyno?

Zacisnęła szczękę. Wóz albo przewóz.

– Zarobić – powiedziała. – Ale nie interesują mnie stałe związki i wyjazd za granicę.

– Rozumiem.

– Możesz mi pomóc?

– Zastanowię się.

Patrzyli na siebie w milczeniu, aż Marika zrozumiała, że powinna już sobie pójść. Audiencja u starego lubieżnego satyra zakończona, musisz czekać na wyrok. Może będzie pozytywny, może nie. Zresztą, dostałaś przecież szansę, nie skorzystałaś. Mogłaś już jutro być w Nowym Jorku i głąkać po pomarszczonym brzuchu sławnego artystę, który brzydzi się Polską, ale zupełnie nie brzydzi Polkami. Jeden całus w członek i tysiąc dolarów na koncie, liźnięcie za perłę, pozorowany orgazm za specjalną premię. A może tylko wystarczyłoby być? Może wcale nie chodziło o seks. Tak czy inaczej, parę lat i będzie cię stać na własny apartament. A jak będziesz mądra, możesz zostać nie tylko utrzymanką, ale kimś więcej. Tylko wtedy musisz znaleźć dobrego prawnika, żeby mąż artysta nie oszukał cię przy spisaniu intercyzy i testamentu. No i dobrze jest przepytwać doradców finansowych, czy czasem nie wychodzi się za bankruta.

A ty czego chcesz, dziewczyno?

Marika ruszyła przed siebie, targana różnymi myślami. Nie odeszła daleko, bo zakręciło się jej w głowie od tego wszystkiego, od atakujących ją wątpliwości i pytań. Niedobrze, gdy jest dużo pytań. Wchodzą w każdy zakamarek, wwiercają się w szczeliny mózgu i dźgają go nieustannie, aż krew szumi w uszach. A może Brochwicz po prostu jest uczciwym gościem i wszystko, co o nim mówią, to nieprawda. Może tylko stara się być pomocny. Ludzie lubią wyciągać proste wnioski, szkalować i sądzić po pozorach. Łatwiej kogoś skreślić na podstawie plotki niż przeczytać cały tekst o nim. W świecie e-maili i krótkich wiadomości tekstowych liczą

się tylko sentencje i podsumowania. Cytat na dwa zdania i mamy życiowe motto. Tak prosto skazać, tak niewiele kosztuje obelga. Zresztą świat coraz mniej od nas wymaga, staje się zbiorem prostych prawd. Nikogo nie interesują skomplikowane wzory i zależności. Nikt nie chce sięgać do głębi, zastanawiać się nad motywami, poszukiwać odpowiedzi. Wchodzisz na Wikipedię i ją masz. A że nieprawdziwą? Kogo obchodzi prawda? Liczy się fakt, nawet jeśli to gówno fakt. Sprawa zamknięta, odłożona na półkę. Jeden hejt więcej, jeden mniej. Jesteśmy tylko maleńkimi pikselami na cyfrowej mapie bezsensu.

– Wszystko w porządku?

Jakiś starszy mężczyzna. Miły, sympatyczny dziadek. Tylko tacy zatrzymują się jeszcze przy człowieku, jeśli wygląda na potrzebującego pomocy.

– Nic ci nie jest, dziecko?

Inni pędzą do przodu. Do swoich kredytów i mrówkowców, do mieszkań o zawyżonej wartości i źle obliczonych rat, które rosną nawet, gdy stopy procentowe spadają. Bankierzy i maklerzy pędzą jeszcze szybciej. Spiesz im się na rauty i do podliczania zysków z oszukanych klientów.

– Może wezwać pogotowie?

Otrząsnęła się.

– Nie, dziękuję. Miły z pana człowiek.

Staruszek uśmiechnął się anielsko.

– Cieszę się, że nic ci nie jest, dziecino. Taka piękna dziecina.

„Nie jestem twoją dzieciną” – warknęło coś w jej umyśle. Ale Marika na zewnątrz musiała być miła. Przecież nie mogła zawieść tego ostatniego życzliwego.

– Dziękuję – szepnęła.

Staruszek oblizwał się.

– A powiedz, dziecino, nie masz niepotrzebnej dwójki? Piwo bym sobie kupił...

Pewnie, czemu nie. Sięgnęła do torebki, ale portfela nie było. Musiał zostać w mansardzie albo w biurze agencji. A może ktoś ukradł? Mała strata. Nie nosiła przecież karty ze sobą. Ile mogła mieć gotówki? Sto złotych, może trochę więcej.

– Przepraszam, nie mam portfela.

– ...E... a... no tak.

– Naprawdę mi przykro.

Staruszek pokiwał głową, ale zaraz coś w jego twarzy się zmieniło i uśmiechnął się nieszczercze.

– Dziwka, wygląda na starą lodziarę, a szkoda jej dwóch złotych.

– Nie mam... – zaczęła i zacisnęła zęby ze złością.

– Pierdolona zdzira. Pierdolisz się pewnie za kasę, dlatego tak ci szkoda, co?

Nie wiedziała, czy to on powiedział, czy może jej chory umysł dośpiewał sobie to wszystko, sam mówił zamiast starca, ale ciało zareagowało błyskawicznie, jak automat. Ramię wystrzeliło, dłoń chwyciła wycelowany w nią palec, wykręciła do góry, a potem szybko w dół. Coś strzyknęło, a staruszek zawył przeciągle.

– Pierdolona suka! Złamałaś mi palec!

– Nic ci nie będzie, tylko skręciłam.

– Suka.

Poszła w swoją stronę. Przeklinała tego parszywego, zapitego starca, siebie i Brochwicza. Tak, wszystko przez jebanego Brochwicza. Gdyby jej nie splawił, nie rozkleiłaby się. Może powinna go przycisnąć i zapytać wprost o Olgę i inne dziewczyny. Może to była właściwa strategia.

Lepsza od tej, którą wymyślili dla niej Rodzki i Lisicki.  
Dawanie dupy to żadna strategia.

Rodzki przyjechał do parku po kwadransie.

– Jak poszło?

– Nijak, chciał mnie przelecieć, a potem wysłać za ocean. Zrobiłabym wam numer, gdybym się zgodziła, co?

Nie odpowiedział.

– Co powiedziałaś Lisickiemu?

– Wszystko.

– I jak zareagował?

– To biurokrata. Zapisuje informacje, nie komentuje ich. Biurokratów interesują przepisy i cyferki. Człowiek się dla nich nie liczy, nie istnieje, właściwie mogłoby go nie być. Wtedy jednak nie byłoby sensu stosować przepisów, paragrafów i cyferek. W zasadzie nawet oni, biurokraci, nie musieliby istnieć. Dochodząc do takiego wniosku, biurokrata potrafi nawet zauważyć człowieka.

– I zauważył?

– Tak, docenił również informacje...

– Nie powinno tak być, prawda?

– Jak?

– Powinna być duża grupa śledcza, codzienne narady, ekspertyzy, szczegółowe analizy miejsc zbrodni, wałkowanie wszystkiego po trzy razy, przeloty helikopterem i szukanie dziury w całym, kilkanaście, a może kilkadziesiąt agentów pod przykryciem, wabików, prowokacji, akcji. Tak to powinno wyglądać, prawda? Coś powinno się dziać, podczas gdy nie dzieje się nic...

Pogmerał językiem w zębach. Mruknął coś pod nosem, jednak nic nie powiedział. Marika więc kontynuowała:

– Dlaczego go nie szukasz? Dlaczego nie masz w pokoju tysiąca zdjęć potencjalnych morderców, nie chodzisz po mrocznych zakamarkach, do jasnowidzów i psychiatrów? Dlaczego nie masz brygady profilerów, którzy stworzą ci twojego mordercę, model, do którego będziesz dążył, którego wychwycisz w końcu ze stogu siana?

– Stworzyli i co z tego? Pomógł ci?

– Taki model to nie model, to ściema...

Rodzki prychnął głośno.

– Skończyłaś?

– Mogłabym tak długo.

– Chodź, pokażę ci coś.

Zaprowadził ją do samochodu. Jeździł starym rozklekotanym peugeotem z kierownicą obłożoną jakimś materiałem. Pogładziła go.

– Dobrze, że nie jest ze skóry węża albo że nie ma frędzelków.

– Takie oddałem do prania – odparł z grymasem przypominającym uśmiech.

Wbili się w popołudniowy korek, a Rodzki nie wyjął żadnego koguta. Wydawał się całkiem spokojny i pogodzony z tym, że musi poczekać w kolejce do świateł. Jak nie glina.

– Nie spieszy nam się?

– A spieszy?

– Nie.

– No właśnie.

– Dokąd jedziemy?

– Zobaczysz.

Otworzył schowek po stronie pasażera i wyjął z niego napęczniały segregator pełen kartek z zeszytu, zdjęć, mapek, obliczeń i innych dziwactw.

– Myślisz, że nic nie robisz? I myślisz, że tak łatwo wyciągać wnioski? Seryjni zdarzają się naprawdę rzadko, ale jak już się pojawiają, to złapać ich niezwykle trudno. Szukamy latami, próbujemy wszystkiego, a i tak szanse są jak sto do jednego, że złapiemy właściwy trop. Nawet teraz, gdy technika tak bardzo pomaga. Po prostu możliwości jest zbyt wiele. Zodiaka w Stanach szukano trzydzieści lat. Umknął. Pewnie od dawna nie żyje i nikt nie wie, kim był. Naszego najsłynniejszego wampira osiem, a mówią, że skazano niewinnego, zaś prawdziwy zbrodniarz się uchowal. Bundy, Gacy, Bishop, dziesiątki innych... grasowali latami. A ty chciałaś, żebym w pół roku miał efekty i prowadził zakrojoną na całą Polskę akcję z tysiącem agentów.

– Ale powinniście puścić przeciek do mediów.

– Na razie je tamujemy. Media zasiałyby panikę, a panika to zło. Tylko zaszkodzi.

Spojrzała z wyrzutem.

– Może komuś uratowałaś życie.

– Albo kogoś zabiła.

– To znaczy, że należy to olać?

– To znaczy, że należy skupić się na najlepszej opcji. Na tobie, Mariko. Ty możesz go dorwać, kimkolwiek jest.

– W jaki sposób?

Rodzki zawahał się, po czym szepnął z naciskiem:

– Musisz znaleźć Olę. Ona doprowadzi nas do zabójcy.

– A jeśli ona także nie żyje?

– Musimy wierzyć, że żyje i nam pomoże.

– Nawet jeśli nie będzie to pasowało Lisickiemu?

Pół godziny później parkował na podwórku na Pradze. Stare kamienice wyglądały, jakby pochylały głowy ku ziemi, straszyły wybitymi szybami, obłazącymi murami i niedbałymi graffiti na śmietnikach. Stos starych mebli piętrzył się przed piaskownicą, w której mały chłopiec w krótkich portkach kończył budowę warownej fortecy. Marika uśmiechnęła się do niego, na co pokazał język i uciekł. Kilku starszych chłopców na ławce przy klatce schodowej buchnęło śmiechem. Jeden z nich chwycił się za krocze i zrobił parę wulgarnych gestów.

– Chodź. – Rodzki popchnął ją w drugą stronę.

Weszli do kamienicy. Cuchnęło szczynami i starą szmatą. Krzywe schody zaprowadziły ich do mieszkania z zadziwiająco dobrze utrzymanymi drzwiami.

– Jakaś wyrocznia? – mruknęła Marika.

Rodzki przeczesał włosy i zapukał.

Kobieta, która otworzyła im drzwi, była bardzo niska. Miała na oko około osiemdziesięciu lat. Zmęczone, stare oczy szukały wokół nich czegoś niewidzialnego. Jasny sweterek i długa szara spódnica kryły kogoś zadziwiająco zgrabnego jak na ten wiek.

– Dzień dobry, pani Sweizzer – powiedział Rodzki.

– A to pan, komisarzu. Znalazł pan zabójcę mojej Łucji?

– Nie, pani Sweizzer.

– Szkoda, że mi pan powiedział, że to była zbrodnia. Wolałabym usłyszeć o wypadku.

– Ja też bym wolał, żeby był to wypadek.

Zaprosiła ich do środka. Mieszkanie było małe i skromnie urządzone. Dwa pokoiki, oba zagracone starymi meblami. Łącznik tak wąski, że Rodzki wręcz musiał się skulić, by przejść bez

ocierania ścian ramionami. Instynktownie schylił się też przed wejściem do pokoju. W środku stał stół z czterema krzesłami, pod oknem kanapa ustawiona tak, żeby dało się oglądać telewizor. Był ustawiony na kanał informacyjny.

– Cały czas oglądam – powiedziała starszuszka. – Cały czas liczę, że coś o niej powiedzą.

Dlaczego nic nie mówią?

– Wiele osób ginie – mruknął Rodzki.

– Ale moja Łucja... była sławna.

– Tak, pani Sweizzer.

– Miała zdjęcia na okładkach gazet, pokażę wam.

– Nie trzeba.

– Dlaczego więc nikogo to nie interesuje? Dlaczego ciągle mówią o tej dziewczynie, która zamordowała dziecko, a nic nie mówią o mojej Łucji? Tak, interesuje ich wszystko, tylko nie moja Łucja. Ciągłe gadają o tym pijanym pośle, kłótliwym księdzu... Albo o księżnej. Co mnie obchodzi, że księżna znów zaszła w ciążę? Nie żyje moje dziecko, moja mała dziewczynka, moja nadzieja, słońce. Zabrali mi ją, a teraz nawet nic nie chcą powiedzieć. Przeklęty telewizor.

Sięgnęła po pilot i pstryknęła wyłącznik. Nagle w pokoju pociemniało.

Telewizja jest dziś jak słońce. Daje światło i... wypala.

Potrafi wypalić całkiem sporo w głowie.

Rodzki odetchnął głęboko, a babcia wróciła do narzekania. Mówiła tak monotonie, że nie chwytało to za serce. Mimo to Marice zrobiło się przykro i nieprzyjemnie. A potem przyszła prawdziwa, wściekła złość, jak tylko pomyślała o Oldze.

– Tak bardzo chciała trafić do telewizji. Żartowała, że jest gotowa dać się za to zabić. A kiedy ją zabili, nikogo to nie interesuje. Nie rozumiem. Dzwoniłam nawet do nich, do tej cholernej telewizji, mówiłam, przekonywałam, a oni nic. Niezainteresowani. Nie rozumiem.

– To jest Marika. – Rodzki chyba chciał zmienić temat.

– Witaj, dziecko, znałaś moją Łucję?

– Nie, pani Sweizzer.

– Marika jest policjantką, pracuje razem z nami nad sprawą – powiedział Rodzki, trochę kłamiąc. No ale przecież nie będzie tłumaczyć starej babci różnicy pomiędzy funkcjonariuszem a konsultantem, na dodatek działającym pod przykryciem. – Możemy obejrzeć jeszcze raz jej pokój?

– Jeśli to w czymś pomoże... Nic tam nie ruszałam. Wszystko jest po staremu, tak jak pan prosił, komisarzu.

Babcia powoli przeszła do drugiego pokoju, otworzyła im drzwi i zapaliła światło, choć było wystarczająco jasno.

– Zrobić herbatę?

– Nie trzeba. My tylko na chwilę. – Rodzki wciągnął Marikę do pokoju i zamknął drzwi.

Pokój miał może siedem metrów kwadratowych powierzchni. Mała klitka nastolatki, wypełniona płytami, plakatami, zeszytami i przeraźliwym wręcz bałaganem. Półki ugięły się od niedbale ułożonych książek, papierzyk i notatek. Marika obejrzała kilka z nich.

– Rysowała i projektowała?

Rodzki skinął głową.

– Babcia mówiła, że chciała zarobić na własną firmę projektową.

– Nie zdążyła.

– Właśnie.

Marika przymknęła oczy i wyobraziła ją sobie taką, jaką widziała na zdjęciach. Proste blond włosy, zielone oczy, ładna sympatyczna owalna twarz. Piękna dziewczyna. Trup.



– Po co mnie tu przyprowadziłeś?

Rodzki wyciągnął z kieszeni papierosy i zaczął bawić się jednym z nich. Długo nie odpowiadał.

– Lubię czasem przyjść na miejsce zbrodni i sobie pomyśleć. To zwykle są odludne miejsca i dają mi odpowiedni ładunek samotności i bólu. W tym przypadku nie mogłem tego zrobić, bo dziewczyna zginęła nad morzem.

– Za daleko?

– Nawet nie o to chodzi. Teren, gdzie do tego doszło, jest dziś... niedostępny.

– Nawet dla ciebie?

– Nawet dla mnie.

– Więc przyszedłeś do jej domu, choć nie ma z tym nic wspólnego?

– Pani Sweizzer jest bardzo miła, daje mi spokój. Pewnego dnia zostałem tu na noc, na część nocy, spałem na jej łóżku.

– Czy to jest... zgodne ze sztuką?

– Podręczniki mówią, że w przypadku seryjnych zabójców należy bardzo uważnie przyjrzeć się pierwszej ofierze, bo często to w niej kryje się odpowiedź. Przynajmniej równie często, jak się nie kryje. Zawsze połowa szansy na znalezienie tropu to więcej niż żadna.

– Morderca mógł znać pierwszą ofiarę bliżej, pozostałe mogły być już przypadkowe?

– Właśnie. Tyle podręczniki.

– Na razie na nic się nie przydały?

Pokręcił głową.

– Jednak ta ofiara jest rzeczywiście szczególna.

– Dlaczego?

– Wszystkie pozostałe były, jak by to powiedzieć, wyrzutkami. Ukrainka, ta córka Kubańczyka, Anna Starak... także Olga. Nie miały na świecie nikogo. Anna była z domu dziecka, żadnych przyjaciół. Kaja Bartol podobno była wyjątkowym samolubem i strasznie niesympatyczną osobą. Maria Meidana nie utrzymywała kontaktu z matką, która nawet nie przejęła się jej śmiercią.

– Rozmawialiśmy już o tym – przerwała mu zasmucona Marika.

– Tak – przyznał Rodzki. – A Łucja była inna. Miała kochającą babcię, z którą rozmawiała prawie o wszystkim, obiecywała jej złote góry, roztaczała plany i wizje, była niezwykle ciepłą, wspinała dziewczyną. Babcia mówi, że tuż przed śmiercią się zakochała.

– Do czego zmierzasz?

– Babcia, którą poznałeś, jest bardzo sympatyczna. Jak już mówiłem, zawsze pozwala mi posiedzieć trochę w tym pokoju. Przyjeżdżałem tu ostatnio dość często, starając się zrozumieć. I chyba zrozumiałem. Łucja była potrzebna, nie miała zginąć. W tym była wyjątkowa.

– A ten chłopak Łucji, rozmawialiście z nim?

– Tak, jest jego zeznanie w śledztwie.

– Wiedział, czym się zajmowała?

– To znaczy?

– Wiedział, że się prostytuowała?

Rodzki uśmiechnął się.

– Tak ją poznał.

– Jak to?

– Poznali się w klubie studenckim. Koledzy kupili mu ją na prezent. A on się w niej zakochał. Czyż to nie romantyczne?

– Jak *Pretty Woman*.

– Chłopak zakochał się i chciał ją wyrwać z tego bajzlu. I może nawet by mu się udało, gdyby jej nie zabito.

– Dziwne – mruknęła Marika.

– Dziwne – przyznał Rodzki.

– Rozmawiałeś z tym chłopakiem?

– Tak. Był z nią tej nocy, gdy została zamordowana. Ale niewiele pamięta. Naćpał się i upił. Twierdzi, że się pokłócili, albo mu się wydawało, że się pokłócili, i uciekł do domu, zostawiając ją na plaży. Ciało znaleziono po południu następnego dnia.

– Skąd pewność, że tego nie zrobił?

Rodzki zrobił skwaszoną minę.

– Pewności nigdy nie ma. Ale ja mu wierzę.

– Dlaczego?

– Bo lepiej wierzyć.

– Lepiej?

– Ten chłopak to Michał Zwara.

– Co z tego?

– Jego ojciec, Dariusz Zwara, jest specjalnym pełnomocnikiem rządu do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Co oznacza „pełnomocnik”?

– Taki minister, a nawet ważniejszy, bo szepcze do ucha premierowi, co ten ma zrobić.

– Ważniak?

– Ważniak.

Przyjdź, ciemna nocy. Przyjdź, mój dniu w ciemności. Przyjdź, mój Romeo.

– Jeszcze jeden.

Trzeci drink, ostatni. Tak sobie obiecywała.

A Romeo nie przychodził.

Ech, Romeo, czemuż ty jesteś Romeo?

Knajpa była prawie pusta. Środek tygodnia. Pewnie nie przyjdzie. Dlaczego miałby tu przychodzić w środku tygodnia?

– Upijasz się?

Marika nie wiedziała, jakim cudem mu się to udało, ale zaszedł ją z boku, podpełził niezauważenie.

– Nie gniewasz się na mnie? – zapytała.

– Za męża?

– To nie jest mój mąż.

– Pewnie brat? – Uśmiechnął się złośliwie.

– Tylko przyjaciel.

– Ma duży pistolet.

– Twój też jest całkiem niezły.

Zrobili to na klatce. Pierwsze pocałunki, pospieszne szukanie nagości i nocnych podniet. Zejście na dół, do piwnicy. Ciemność... Gorączka... Pośpiech. W końcu był w niej, wypełniał po brzegi, tak jak chciała. Ciemność. Ona była tu najważniejsza. Oblepiała ich swoją intymnością, tajemnicą, wiecznością. Czas przestał się liczyć. Byli tylko oni i kosmos. Przestrzeń bez żadnych wektorów. Nic. Pustka.

Cudownie.

Było jej cudownie.

Jak dawniej z Markiem, zanim odszedł, zostawiając ją samą ze złem.

Marek? Czy powinna myśleć o nim w takiej chwili? Czy to fair wobec Romea?

– Nie wejdę na górę – powiedział żartobliwie, zbierając łzę z jej policzka. – Nie dam się zastrzelić nawet dla ciebie.

Po policzku spłynęła druga łza. Specjalnie dla niego.

– Zawsze płaczesz, kochając się.

– Tylko gdy jest mi dobrze.

– Ha.

– Albo jak jest wyjątkowo źle. Żebyś sobie nie myślał...

Uderzyła go pięścią w ramię.

– Au.

– Dziś go nie będzie. I nigdy już cię nie przestraszy, obiecał mi to.

– Nie wierzę.

– Ale i tak ze mną pójdziesz, prawda?

Spali na podłodze. Prawdę mówiąc, nie spali. Palili i pili. A potem znów się kochali. Długo, niespiesznie. Świtało, gdy wytrzeźwiała. Właściwie nie była pijana. Alkohol powoli rozlał się po wszystkich zakamarkach, usypiał, uspokajał. Cichy zabójca, zdrajca i oszust. Tak łatwo było mu się poddać. Romeo patrzył w szybę. Wyglądał, jakby spał z otwartymi oczami.

– Co robisz? Czym się zajmujesz?

– A ty?

– Ja pierwsza zapytałam. Jesteś studentem?

Uśmiechnął się. Pokręcił głową. „Czy wyglądam aż tak młodo?” – to mówiły jego oczy. A usta... otworzyły się, zamknęły, wysunęły język, który powoli zwilżył górną wargę. Piękne usta. W sumie mogłyby nawet nie mówić. Wystarczyło, że dały jej dziś tyle przyjemności.

– Mam firmę, serwis internetowy – szepnął.

– O czym?

– O grach.

– Lubisz gry?

– Kiedyś lubiłem. Ale uzależniłem się i dziś już nie mogę grać.

– Tak to jest z uzależnieniami.

– Da się żyć. Dziś na nich zarabiam.

– Dużo?

– Wystarczy. Robisz research szans biznesowych? Zbyt dobrą partią to nie jestem. Nie mam lamborghini i jachtu w Malibu.

– To może nie zażadasz intercyzy.

– A ty?

Chciała skłamać, ale nie wyszło. Poczwała dziwną potrzebę, by powiedzieć mu prawdę. Nawet jeśli to nieprofesjonalne i niebezpieczne. Nawet jeśli to on jest mordercą. Nie, głupoty gada, nie może przecież nim być. Serce wyczuwa takie rzeczy. Nie zakocha się w mordercy. Przynajmniej nie jej serce.

Mądrała...

– Jestem gliną.

– Gliną?

– Policjantką. Szukam morderców i bandziorów.

– Stąd ten pistolet u twojego przyjaciela?

Skinęła głową.

– Rodzki też jest gliną – potwierdziła. – Pracujemy razem.

– Jesteście partnerami? Tak jak na filmach? Jeździcie razem samochodem, pozeracie pączki w barach, pijecie za kierownicą lurowatą kawę z kubków, przeklinacie, a gdy robi się nudno, w końcu wyjmujecie giwery i strzelacie do jakichś drani lub kogoś całkiem niewinnego?

Zabawny, Romeo ją bawił.

Ale nie podjęła jego gry. Nie miała nastroju.

– Nie do końca – powiedziała poważnie. – Jesteśmy zespołem tylko do jednej sprawy. Szukamy wampira.

– Takiego z kłami?

– Seryjnego. Tak się na nich mówi.

Zrozumiał, że nie chce żartować, i też spoważniał.

Morderstwo to chyba kiepski temat do żartów.

Prostytucja też nie bardzo.

– A potem? – zapytał. – Jak już go znajdziecie? Rozstaniecie się?

– Jeśli znajdziemy, tak. Wtedy nie będę już gliną.

– Dlaczego?

Westchnęła.

– Jesteś pewny, że chcesz o tym słuchać?

– To ciekawe. Nigdy nie spałem z gliną. I nigdy nikt nie celował do mnie z pistoletu.

– Rodzki tylko go wyjął, nie miał złych intencji.

– Wiem.

– Ciekawi cię moje życie?

– Lubię opowieści o życiu. Są ciekawsze nawet od seksu.

Wrócił jej humor. Fajnie, gdy tak wraca. Gdy człowiek wpada w stan melancholii i refleksji, a potem nagle szybuje i ma już ochotę na coś zupełnie innego.

– Seks jest przereklamowany. – Uśmiechnęła się.

– No. To co z tą opowieścią?

Marika usiadła i przypaliła papierosa.

– Rodzki wyciągnął mnie z psychiatryka, tylko na tę jedną akcję.

Udał, że go to nie zaskoczyło.

– Co tam robiłaś? W psychiatryku? Misja specjalna?

– Nie. Leczyłam się.

– Na co?

– Hm, właściwie to udawałam, że się leczę.

– Dlaczego? – zapytał, ale zaraz się zorientował, że to może jednak kiepski temat do łóżka.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz mówić.

Marika znów się zawahała. Jeszcze jeden maszek. Żar rozświetlił ciemność. Romeo wypłynął z mroku w czerwonej poświacie i po chwili znów zlał się z czarną zupą. Ech, Romeo.

– Mogę mówić do ciebie „Romeo”?

– Jestem Andrzej.

– „Romeo” brzmi ładniej. Tylko w nocy, tylko pomiędzy nami.

– Skoro tak, niech będzie. Co z tym psychiatrykiem?

– Pięć lat temu byłam młodą policjantką, podobno obiecującą. Mieli mnie wysłać nawet za granicę na kurs, bo dobrze mówiłam po angielsku. Robiłam specjalizację z trudnej młodzieży, miałam zająć się resocjalizacją, skończyć studia, zrobić karierę. W ośrodku specjalnym pracował z nami jeden wuefista. Z pozoru miły facet, tyle że trochę tłusty. Pewnego dnia nakryłam go z jedną z dziewczyn. Klęczała przed nim i... sam wiesz, co robiła.

Skinął głową.

Marika otworzyła usta, a potem je zamknęła.

– No i tak trafiłam do psychiatryka – zakończyła. Sięgnęła po kolejnego papierosa.

– Co mu zrobiłaś?

– Komu?

– Temu wuefiście.

Żar rozbłysł mocniej, gdy długo zaciągała się papierosem, a potem utonął w poplamionej błękitem chmurze dymu.

– Nic – powiedziała cicho. – Właśnie dlatego trafiłam do psychiatryka. Zostawiłam go tam w spokoju z tą dziewczyną, żeby sobie skończył, a on to zrobił. Dałam ciała. Nie sprawdziłam się. Uciekłam, bo byłam zbyt przerażona tym widokiem i nie potrafiłam zareagować. Okazałam się zwykłą, słabą cipą.

Cisza. Romeo czuł, że powinien coś powiedzieć. Ale nie wiedział zupełnie co.

– Mogę cię przytulić?

Marika skinęła głową.

Przytulił ją.

– Potem będziesz musiała wrócić?

– Potem?

– Kiedy już złapiesz mordercę?

– Nie, będę wolna.

– To dobrze.

Spojrzała na niego z zadumą. Romeo, czemuż ty jesteś Romeo?

– Dobrze być wolnym – powtórzył, jakby chciał wyjaśnić coś, czego nie da się wyrazić słowami.

Rano przy śniadaniu udawali, że nie było tej rozmowy. Marika co chwila podchodziła do lodówki i wyjmowała nowe produkty.

– Możemy jeść do woli, firma stawia.

– To policyjne mieszkanie?

– Operacyjne. – Roześmiała się. – Tak się mówi. Zakupy dostarcza specjalna firma. Zostawia tylko fakturę, a ja muszę ją oddać Rodzkiemu, który przekazuje świstek jeszcze dalej całej tej pieprzonej biurokracji. Twarożek, sery, szynka, jajka, mleko wcale jednak nie są na papierze. Wszystko jest za free. Komenda stołeczna stawia z budżetu operacji specjalnych.

– Dasz trochę twarożku?

– Twarożek jest na jutro.

– Zapłacę. Stać mnie.

– A więc jednak gry to dobry biznes?

Uśmiechnął się pod nosem.

– Nawet bardzo.

– Zabawne, młody biznesmen. A ja myślałam, że jesteś zwykłym studenciakiem.

– Nigdy nie studiowałem, szkoda czasu. Biznes jest lepszy.

– No pewnie.

Obliział wargi, napił się mleka i pożałł twarożek. Odrobina została mu na wardze. Sięgnęła i starła ją palcem, po czym włożyła palec do ust.

– To bardzo seksowny gest.

– No.

– Coś oznacza?

– A jak myślisz?

Później znów leżeli na ziemi, na twardym materacu do ćwiczeń. Romeo zrobił kilka brzuszaków i zmęczył się.

– Ćwiczysz?

– Trochę.

– Pokażesz?

Zrobiła dwie pompki, potem obróciła się i patrzyła na niego.

– Mam wrażenie, że potrafisz zrobić krzywdę gołymi rękami – powiedział.

Skinęła głową.

– Pokażesz mi?

Błyskawicznie była na nim. Nawet nie wiedział, jak to się stało, że nie mógł się ruszyć, a każde drgnięcie ciała oznaczało potworny ból w barku.

– Lepiej się nie ruszaj.

– Puść.

Puściła.

– Wariatka.

– Sam chciałeś.

– Znam paru gości, którym by się to przydało. Masz jeszcze fajki?

– Przecież nie palisz.

– Jeden nie zaszkodzi.

Palił, bawiąc się dymem.

– Mówisz, że morderca działa w światku mody?

Skinęła głową.

– Zabija młode modelki.

– Poznałem rok temu gościa z tej branży. Dziwak, ale może będziesz chciała go wypytać.

– Kto to?

– Prowadzi klinikę medycyny estetycznej. Straszny ściemniacz i kłamczuch. Mimo wszystko ludzie to kupują. Poznaliśmy się w telewizji w programie o młodych milionerach. Zabawne, tam nikogo nie interesowało, że wcale nie jesteśmy milionerami. Potrzebowali do programu młodych ludzi, którzy coś robią, i im to pasowało. Tłumaczyłem, że wciskają ludziom kit, ale ich to nie obchodziło. Zupełnie mieli w dupie prawdę. Cały ten świat taki jest?

– Nie wiem. – Marika wruszyła ramionami.

– Ten koleś od kliniki to kameleon. Dostosowuje się do otoczenia.

– Taki świat. – Spojrzała na zegarek. – Muszę lecieć.

Kobieta przedstawiła się imieniem Sonia. Miała miły, ciepły głos z lekką chrypką. Powołała się na Brochwicza i zaproponowała lunch w jednej z knajpek na Starówce. Czekala w ogródku restauracji, trochę na uboczu, tak żeby nikt nie mógł ich podsłuchać. Miała na sobie dziewczęcą sukienkę w groszki, letnią, przewiewną. Spięte włosy blond odsłaniały długą szyję, wysokie czoło i pociągłą ładną twarz o migdałowych oczach. Była nie tylko piękna, ale też jakoś przyjaźnie magnetyczna. Kobieta ujmująca szczerością.

Jaka zatem była jej druga twarz stręczycielki?

– Cześć. Jestem Marika.

– Cześć. – Sonia uśmiechnęła się, dokładnie lustrując ją wzrokiem. – Wybierasz się na wojnę?

– Wolę uniknąć nieporozumień. To jest mój styl. Nie jestem... grzeczna.

– Bardzo dobrze. Choć nie wątpię, że poradziłabyś sobie w przebraniu księżniczki.

– Może.

– Na pewno. Zjesz coś?

Marika spojrzała na kartę i ceny.

– Ja stawiam – powiedziała Sonia.

– W takim razie poproszę placki z cukinii z kurkami i deser. I cola do popicia.

– Nie dbasz o linię?

– Jem, co chcę. Źle wyglądam?

– Ja też zjem deser – powiedziała Sonia i uśmiechnęła się do niej promiennie. – Dlaczego tu jesteś?

„Koniec badania, przechodzimy do interesów” – pomyślała Marika. – I dobrze. Mogłoby się zrobić zbyt słodko od tych fałszywych uśmiechów, słodkich gestów i słówek. A obie wiemy, że jesteśmy sukami. Ty i ja. Dwie wojowniczkki. Tylko ja przestałam się ukrywać, a ty wciąż masz na sobie przebranie”.

– Chcę zarobić.

– Za mało zarabiasz u Iwo?

– Potrzebuję pieniędzy.

– Na co?

– Jak to na co?

– Masz chorą matkę? Zbierasz na operację? Chcesz kupić ojcu prezent na urodziny? Jaka jest przyczyna, to prawdziwe źródło twoich potrzeb?

– Chodzi o to, żeby wymyśliła jakieś dobre kłamstwo?

Sonia spoważniała. A potem roześmiała się głośno.

– Nie. Powiedz prawdę.

– Chcę dobrze żyć, taka jest prawda. Wkurwia mnie świat, w którym ciężko harujesz za grosze i szybko się starzejesz. Chcę zarobić i się od niego uniezależnić.

Sonia zanurzyła łyżeczkę w bitej śmietanie z owocami, którą właśnie jej podano. Kąciki jej ust powędrowały do góry. Była zadowolona. Kupiła tę wersję.

– Myślę, że dojdziemy do porozumienia.

– Co masz do zaoferowania? – zapytała Marika. Skoro rozmawiamy o konkretach, to zasady powinny obowiązywać obie strony.

Sonia oblizwała łyżeczkę i odstawiła deser na bok. Koniec zabawy.

– Ja i... mój partner organizujemy specjalne zlecenia, wymagające nieco więcej... hm,



odwagi od projektów zwykle zleczanych aktorkom czy modelkom.

– Możesz mówić wprost. – Marika cały czas patrzyła Soni w oczy. – Nie jestem małą dziewczynką, odpowiadam za siebie i wiem, na co się decyduję.

– Dobrze, ale nie wszystko jest takie proste. Nie chodzi tylko o usługi seksualne, które owszem, znajdują się w naszym asortymencie, lecz wcale nie są na szczycie drabinki cenowej. Czasem zarabiamy znacznie więcej na usługach... szczególnych.

Marika z trudem opanowała emocje. Miała ją. Była tak blisko. Jeszcze chwilę.

– Jak szczególnych?

– Hm, powiedzmy tak: oferujemy usługę zintegrowaną, czyli wszystko w jednym. Nasze pracownice podczas wieczoru zamówionego przez klienta muszą wykazać się nie tylko frywolną czy, jak kto woli, uległą seksualnością, ale też umiejętnościami aktorskimi, sportowymi, odpornością fizyczną i psychiczną czy też zwyczajną cierpliwością. To ciężka praca, ale najlepiej płatna. Przykładowo, słyszałaś o klubie sushi, który dla specjalnych gości oferuje jedzenie z ciała nagiej kobiety?

Marika wzruszyła ramionami.

– Nie.

– To lokal tylko dla wtajemniczonych, gdzie nie wchodzi się z ulicy. Jego klientami są politycy, biznesmeni, ludzie majątni i wpływowi.

– Rozumiem.

– No więc mamy to też w ofercie. Możemy zorganizować jako stół znaną aktorkę czy piosenkarkę, ale generalnie goście raczej wolą osoby bardziej anonimowe. Jedzenie z kogoś bardzo znanego może przyprawić o niestrawność. – Sonia roześmiała się głośno, zadowolona ze swojego żartu.

– A nie można po prostu umawiać się tylko na seks?

– Można, ale różnica w zarobkach jest dość znacząca.

– To znaczy?

– Seks to tylko jakiś tysiąc złotych za dobę – nie stosujemy stawek godzinowych – dwa tysiące za weekend, wyjazd zagraniczny płatny w euro. Czasem stawki są korygowane w dół lub w górę w zależności od ustaleń. W każdym przypadku negocjujemy, nie trzymamy się sztywno cennika. Dość często klienci dodają coś górką. To ludzie... na poziomie. Nie bawią się w pertraktacje czy spory o drobiazgi.

– To dobre pieniądze – powiedziała wolno Marika. – A co jeśli bym wolała korzystać tylko z takich ofert?

– Przykro mi, wszystko albo nic.

– Nie mogę odmówić? Niezbyt dobrze czuję się jako... stół do jedzenia.

– Dobrze, możemy wprowadzić jeden, dwa wyjątki. Ale inne usługi specjalne będziesz musiała realizować bez zastrzeżeń.

– To mi odpowiada. Nie powiedziałaś jeszcze o stawkach za te usługi... zintegrowane...

– Również są negocjowane, ale tu przyjmujemy stawkę powyżej dziesięciu tysięcy za noc. Czasem można zarobić nawet ponad sto tysięcy.

– Sto tysięcy? Za noc? Co trzeba zrobić za takie pieniądze?

– Nic wielkiego. Na przykład dać się zamordować.

Marika uniosła brwi.

– Na niby oczywiście – dodała Sonia. – Jedno ze stowarzyszeń biznesowych korzystających z naszych usług organizuje latem imprezy plenerowe z polowaniem na ofiary. Można je wykorzystać i zamordować. Inna grupa zamawia spektakle, podczas których dochodzi do publicznej kopulacji i zabójstwa ofiarowanej. Mamy sektę religijną bawiącą się w rytualne

mordy. Wszyscy bardzo dobrze płacą. Zdziwiłabyś się, kto należy do takich pozornie dziwnych... organizacji.

– Chcesz mnie wystraszyć?

Sonia pokręciła głową.

– Chcę, żebyś wiedziała, w co się tu bawimy. Taki mamy... charakter. Jak to ujęłaś, my też nie jesteśmy grzeczni i wolimy unikać nieporozumień.

– A zdarzają się... wypadki?

– Wypadki?

– Nie chciałabym zostać przez przypadek zamordowana naprawdę. Nawet za sto tysięcy.

– Nie ma takiego zagrożenia. Nigdy nikomu nic się nie stało.

– Nigdy? – Marika zapytała zbyt szybko i zaraz skarciła się w myślach.

– To tylko zabawa, Mariko. Dobrze płatna zabawa.

Marika udała, że analizuje to sobie w głowie, po czym zapytała:

– No dobrze, a formalności?

– Formalności? Nie ma żadnych formalności.

– Umowa, kontrakt?

Sonia uśmiechnęła się znacząco. No tak, jak sobie wyobrażasz kontrakt? Co wpisujemy w zakres usług? Całonocne bzykanie z udawaną śmiercią w finale? Pozorowany orgazm na łonie natury po polowaniu z ludzką zwierzyną? Udawanie Alicji z Krainy Czarów z numerkiem w króliczej norze?

– Bazujemy na zaufaniu, Mariko. Na początek dostaniesz kilka drobniejszych zleceń, żebyśmy wszyscy nabrali do siebie zaufania. Zarobisz trochę pieniędzy i wtedy sama zdecydujesz, co dalej.

– W każdej chwili mogę się wycofać?

Sonia niemal prychnęła, jakby chciała powiedzieć: myślisz, że to takie proste? Jak posmakujesz dużej kasy, sama zobaczysz, że to niełatwe, może niemożliwe. Pieniądze. Zawsze jest ich za mało. Zawsze chce się więcej. Kasa, tylko ona się liczy. Jej zapach, chłodny dotyk, obiecujący szelest, nieprawdopodobna moc i smak. Żarłaś kiedyś pieniądze, Mariko? Powinnaś spróbować. To specyficzny smak, w którym niektórzy koneserzy potrafią się rozkochar. A wkładałaś je sobie w tyłek, a potem w usta? Nie? Dziwne. To dopiero przeżycie.

Marika wzdrygnęła się i miała ochotę wymiotować.

– W każdej – zapewniła cicho Sonia. – To jak, jesteśmy umówione?

– Jeszcze jedno – szepnęła Marika, kiwając twierdząco głową. – Mówiłaś o partnerze... Że masz partnera w tym biznesie. Chciałabym go poznać.

– Poznasz, już wkrótce.

– To twój mąż? – zapytała, szybko uzupełniając, żeby Sonia nie zorientowała się, że Marika coś o niej wie. – Partner? Chodzi mi o to, czy jesteście razem?

– Zobaczysz. Tymczasem czekaj na telefon. Dojedź deser, ja zapłacę.

Marika siedziała, mocząc usta w nagazowanym czarnym płynie i odprowadzała wzrokiem Sonię, która podeszła do stołu kelnerów, uregulowała należność i wyszła, kierując się do zaparkowanego w pobliżu sportowego luksusowego auta.

– A jednak to prawda, że na dawaniu dupy zarabia się najlepiej – mruknęła pod nosem.

– Albo na usługach zintegrowanych.

Dopiła colę i wtedy rozległ się telefon.

– Potrzebujesz czasu do zastanowienia? – zapytała Sonia.

– Nie.

– Na pewno? W takim razie bądź jutro wieczorem w Victorii, spotkamy się w recepcji.

- Jutro wieczorem?
- Mówiłaś, że nie potrzebujesz więcej czasu?
- Tak. To znaczy nie potrzebuję.
- Więc do zobaczenia jutro. Powiedzmy o dwudziestej.
- Do zobaczenia.
- Nie spóźnij się za bardzo. Aha, włóż coś mniej... inwazyjnego, pasującego na imprezę wieczorową.

Czemu nie zaproponowała tego przy stole? Odpowiedzi mogła być cała masa. Może nagle otrzymała zlecenie i od razu postanowiła sprawdzić nową... pracownicę? A może zlecenie czekało, ale ona chciała uzyskać zgodę tego swojego partnera, o którym jej powiedziała. Może ów partner obserwował je, podsłuchiwał i dopiero w samochodzie przekazał Soni swoją decyzję.

Tak czy inaczej „śledztwo”, czy cokolwiek, co teraz robiła, nabrało nieoczekiwanego rozpędu. A może wcale nie powinna się dziwić?

Rodzki oddzwonił do niej po dwóch godzinach od przekazania wiadomości i bez wstępów zasypał informacjami.

Sonia Trybacka, dwadzieścia osiem lat. Córka Staszka Trybackiego, szerzej znanego pod pseudonimem Hart Angel. Gitarzysta Dzwonów i Smutków, straszny babiarz. W jednym z wywiadów pochwalił się, że miał tysiąc kochanek. Musiał uważać, bo spłodził tylko Sonię. Jej mamą była niezbyt uznana pisarka, która potem dobrze wyszła za mąż za biznesmena Włocha. Córka wychowywała się w Rzymie i Florencji, aż w końcu mama rozwiodła się z Włochem zdrajcą i wróciła do Polski.

Hart Angel uznał dziecko i nagle zapalał wielką miłością do nastoletniego podlotka, którego zaczął pokazywać na salonach. Plotkarskie media uznały dziewczynę za małą kochankę gwiazdora, czego ten wcale nie prostował. Dopiero w wywiadzie dla pewnego tygodnika poinformował, że Sonia jest jego córką, co bynajmniej nie oznacza, że nie ma ochoty się z nią przespać. Sonia nie chciała być gorsza w szokowaniu społeczeństwa i w wieku czternastu lat zaszła w ciążę z kolegą ojca z zespołu. Urodziła śliczne i zdrowe bliźniaczki, a potem wzięła się do pracy w show-biznesie.

– Założyła jedną z pierwszych profesjonalnych wytwórni filmów porno w Polsce, a potem wyszła za mąż za Hiszpana Pedro, reżysera i aktora – zakończył tę długą opowieść Rodzki.

- Reżyser i aktor porno?
- Są różne upodobania. Nakręcili film dokumentalny, w którym chcieli pokazać, jak bardzo się kochają.
- Można to gdzieś obejrzeć?
- W internecie. Nikt nie chciał wyemitować tego... dzieła ze względu na drastyczne sceny i język opowieści.
- Drastyczne?
- Zacytować ci fragment dialogu? W jednej ze scen wchodzi do willi i Pedro mówi do kamery: „No dobra, wszystko pięknie, ale jak sprawić, żeby trzech facetów zaczęło posuwać moją żonę tak jak trzeba?”.
- I to ma być gorszące?
- Inne wyznanie Pedro: „Wszedłem do tej branży, bo lubiłem walić konia przy pornosach”.
- Połowa dorosłych mężczyzn i sto procent małolatów wali konia przy pornosach.
- Albo to... Przedstawia się kolega Pedro: „Jestem Aleks i będę cię dziś dymał w dupę”.
- Dobra, poddaję się. To rzeczywiście film nie dla dzieci.
- Zdecydowanie – potwierdził Rodzki.
- Dlaczego jej nie sprawdziliśmy wcześniej? Dlaczego była poza podejrzeniem?

Niemal widziała, jak Rodzki wrzusza ramionami i wzdycha z wyrzutem. Jakby chciał powiedzieć: „A skąd u licha mam wiedzieć? Czy jestem ekspertem od luksusowej prostytucji i branży porno? Czy to ja odpowiadam za to całe zamieszanie?”

– Nie wiem. Nie mieliśmy żadnych sygnałów o tej agencji. To Brochwicz jest naszym głównym podejrzanym.

– Brochwicz to niegroźny erotoman – stwierdziła Marika.

– Jedna rozmowa i już zmieniłaś o nim zdanie?

– Mówię, co myślę. On i Julia...

– Nie wiesz wszystkiego o Julii – przerwał.

– Jak to?

– Nie powiedziałem ci całej prawdy.

Czekała.

– Odezwij się.

– A co mam powiedzieć? Teraz też skłamiesz?

– Nie.

– No więc? Mów, o co chodzi z Szamocką?!

Rodzki przełknął ślinę.

– Miałas rację, gdy o to pytałaś. Chcieliśmy, żebyś przeszła drogę tych zamordowanych dziewczyn. Julia Szamocka i jej fundacja... odegrały w tym jakąś rolę.

– Ile dziewczyn przeszło przez fundację? Ile poza Olgą?

– Trzy – mruknął Rodzki. – Kaja, Maria i Anna.

Odetchnęła głęboko.

– Nie powinieneś był mnie okłamywać.

– Przepraszam.

– Mimo to nie uważam, żeby je naganiała celowo. Załatwiła im pracę w PromoArcie lub innych firmach, a dalej... to już był prawdopodobnie ich wybór.

– Też tak sądzę.

– Niemniej jednak Szamocka może znać schemat tej... organizacji.

– Dlaczego jej nie przyciśniesz?

Rodzki milczał.

– Dlaczego? – powtórzyła.

– Julia też ma pewne... plecy.

– Jak to?

– Były mąż Julii jest ważniakiem, który zna wielu ustosunkowanych ludzi. Dostaliśmy polecenie z góry, że nie wolno nam w żaden sposób jej w to mieszać. Zeznania od Julii zebrał szef i nam przekazał.

– Aha. I co w nich było?

– Julia twierdzi, że nic nie wie.

– Kłamie.

Rodzki westchnął. No i co on ma na to odpowiedzieć?

– Dobra, co proponujesz? – zmienił temat.

O nie, draniu. Tak nie będzie. Wy prowadzicie swoje gry, a ja? Mam ci się z wszystkiego zwierzać?

– Powiem ci, jeśli zechcę. Na razie.

– Marika.

– Cześć.

– Marika, do diabła!

Nacisnęła czerwoną słuchawkę w aparacie, rozłączając rozmowę. Do widzenia, komisarzu Rodzki, cokolwiek pomyślisz, lepiej policz do dziesięciu.

Weszła do folderu zdjęć i odszukała fotkę, którą cyknęła z ukrycia w knajpie na Starówce.

Ładna blondynka w sukience w groszki.

Miła.

Sympatyczna.

Zupełnie niewyglądająca na burdelmameę.

A jednak całkowicie zepsuta i zła.

Sonia Trybacka. A więc to ty tym wszystkim kręcisz. Ty i twój Pedro albo inny goguś. Nie jesteś na to za ładna i za młoda? Świat rzeczywiście schodzi na psy. Aktorzy wolą grać w serialach i reklamach, artyści zostają celebrytami i przestają żyć dla sztuki, starzy amanci umawiają się z wnuczkami swoich przyjaciół, zostawiając rodziny i dzieci, piosenkarze stają się politykami, ich córki bzykają się z gwiazdami porno i organizują prostytutkę na najwyższych szczeblach za superkasę. Po prostu pięknie. Wszystkie odcienie czerni, do diabła. I dodatkowo w tym całym akwariu z rekinami bez zębów pojawia się prawdziwy drapieżca. Zabójca bez skrupułów masakrujący twarze pięknych, niepotrzebnych kobiet.

Niepotrzebnych.

Łucja była potrzebna. Olga też.

One tu nie pasują.

A ty, Mariko? Czy to aby nie jest miejsce dla ciebie?

Iwo powitał ją w wejściu do PromoArtu z nieszczerym uśmiechem na ustach.

– Cześć. Czekałem na ciebie.

– Cześć – bąknęła. – O co chodzi?

– Spakowałem rzeczy, które zostawiłaś na planie i w biurze... – oznajmił, wyciągając przed siebie niewielki brudnozielony plecak z nadrukiem PISSS OFFFF i wielkimi czerwonymi ustami całującymi powietrze.

Zerknęła mu przez ramię. Kilka dziewczyn siedziało w holu mimo późnej pory. Z tej odległości i perspektywy nie rozpoznała ich. Fashion, jesteś tam? Wyjdź, chciałabym się choć pożegnać.

„Mógłbyś dać mi się z nimi pożegnać, Iwo” – pomyślała. Ale on stał twardo i wyraźnie ją wypychał za drzwi. Nie chciał jej tu. Mocno chwycił ją za ramię i odprowadził parę kroków. Oddał jej plecak i powiedział:

– Szkoda.

– Czemu w ten sposób? Dlaczego mnie tak wyrzucasz?

– Skoro pracujesz dla Soni, nie pracujesz dla mnie.

Zdziwiła się, że wie. Wieści szybko się rozchodzą. W parę godzin.

– Nie dziw się – wyjaśnił. – Jak rozwalisz samochód po pijaku, to na komendzie będą czekać na ciebie fotoreporterzy, a w celi paparazzi, który przekupił gliny, żeby go zamknęli. Prześpisz się z kimś, on może zadzwonić i powiedzieć sępom, żeby czekali z aparatami przed wejściem. Zrobisz kupę w publicznej toalecie, przyjdą i wezmą próbkę, żeby oddać do badań, bo a nuż coś się znajdzie. Taki biznes. Znałem kogoś, kto w testamencie napisał, że rodzina ma zaprosić media na pogrzeb. Wieści szybko się rozchodzą.

– Więc to koniec z nami... z naszą współpracą.

– W bocznej kieszeni masz całą kwotę, na którą się umówiliśmy.

– Nie umawialiśmy się.

– Wyceniłem pracę i zdjęcia. Nie oszukałem cię.

– Mogłeś po prostu powiedzieć... Nie musieliśmy tak tego kończyć.

Nagle zobaczyła jakiś cień na jego twarzy. No tak, zawiodła go. Czego oczekiwała?

– Nie powołuj się na mnie – zakończył. – Jeśli wspomnisz, że dla mnie pracowałaś, wystawię ci jak najgorsze referencje.

– Dlaczego? Nic ci nie zrobiłam.

Odwrócił się i odszedł.

Chciała go zawołać, ale głos uwiązał jej w gardle. Nie mogła nic mu powiedzieć. Nie mogła się zdradzić. Nie teraz, kiedy była tak blisko. Nie mogła.

Nie chciała wracać do domu. W klubie nie zastała Romea. W ogóle nikogo nie było. Barman powiedział, że zamykają i żeby poszukała zabawy gdzie indziej.

Noc była ciepła i po Starówce przechadzała się masa turystów. Ktoś grał pięknie na gitarze, na trawniku pod murem ćwiczyli kuglarze z pochodniami i ogniami na łańcuchach, obok uliczny teatr robił mimiczne przedstawienie. Wmieszała się w tłum i oglądała je przez chwilę. Jakiś student poczęstował ją piwem, a potem powiedział na ucho komplement. Był młodziutki, równie młody jak jej Romeo, którego przecież nie mogła w to wszystko pakować.

Romeo, czemuż ty jesteś Romeo?

Masz swoje życie, swoje gry, swoją firmę. To pomiędzy nami nie może się udać.

Nie ma co próbować.

Trzeba znaleźć nowego Romea, rozmyć to wszystko, przepłóścić uczucia. Wtedy znikną. Będą bez znaczenia. Miłość nie istnieje. Jest tylko seks i egoizm.

Chłopak mógł mieć ze dwadzieścia, góra dwadzieścia jeden lat. Nawet trochę przypominał Romea, był dobry do rozproszenia uczuć. Jak w grze komputerowej. Wejść na następny level. Z zakładnikiem, niczego nieświadomym nerdem. Ładnym, miłym i takim niewinnym.

Zupełnie nie dla niej.

– Mieszkasz z rodzicami?

– Wyglądam na takiego? – obruszył się.

Nie pamiętała, jak wylądowali u niego w akademiku.

Nie pamiętała nocy spędzonej na trzeszczącym łóżku.

Nie był Romeem. Nie był nawet odrobinę do niego podobny.

Chciało jej się płakać.

Rano wymknęła się, gdy tylko zasnął. Nic jej nie zginęło. W bocznej kieszeni plecaka miała pieniądze i dokumenty na nazwisko Marika Soszyńska. Kim jesteś, Mariko Soszyńska? Wzięła prysznic w otwartej dla całego piętra łazience na korytarzu i uciekła, nie zostawiając żadnej wiadomości. Lepiej, żeby ten chłopak jak najszybciej o niej zapomniał.

Była szósta rano. Chłód nocy wyganiało wstające na czystym niebie słońce.

Wsiadła do pierwszego autobusu do centrum i usiadła przy oknie, przyciskając twarz do szyby. Jej zmęczona po takiej nocy twarz w odbiciu nie wyglądała dobrze. Co jeśli właśnie spaskudziłaś wszystko? Jeśli do wieczora nie wydobrzejesz, a Sonia każe ci pójść precz, gdy cię taką zobaczy?

Może tak byłoby lepiej.

Dla niej i potencjalnego klienta.

Co zrobi, gdy będzie musiała pójść do łóżka za pieniądze?

Co złamie temu kutasowi, który myśli, że kasa w życiu jest najważniejsza?

Do diabła z tym wszystkim. Najwyżej zabiorę Sonię do jakiegoś pokoju i tam przesłucham. Wszystko mi powie. Znam wystarczająco dużo sposobów, by zmusić ją do mówienia.

Wzdrygnęła się.

Nie, nie może utopić teraz całej akcji. Nie może pójść na takie ryzyko, nie może dać Rodzkiemu i innym argumentu do ręki. Jeśli jest choćby cień szansy, że Olga żyje, nie wolno jej tego zaprzepaścić. A jeśli nie żyje? Wtedy to ona musi pierwsza dopaść winnego. Nie odda go systemowi. Nie okaże litości.

Autobus szczęśliwie skręcił w Nowy Świat, przejechał świeżo wyremontowaną ulicą pełną rozświetlonych witryn, drogich butików, luksusowych kawiarni i restauracji, minął rozkopy przy budowie metra i zatrzymał się przy uniwersytecie, a potem przy Karowej.

„A co mi tam” – pomyślała Marika i wyskoczyła z pojazdu. Nie chciała wracać do mieszkania, jakby bała się, że pod drzwiami czeka Romeo. Nie mogła dziś go spotkać.

Przeszła kilkadziesiąt metrów do przodu, minęła opadającą w dół uliczkę znaną z wyścigów na odcinkach specjalnych i przeszła obok lekko zdumionego boja w liberii hotelu Bristol.

– Dostanę pokój? – zapytała na recepcji.

Chyba nie chcieli jej go dać, ale gdy wyjęła pieniądze i powiedziała, że płaci z góry, recepcjonista wzruszył ramionami.

– Dziś akurat mamy nawet wolny apartament królewski – zażartował.

– To czemu w nim nie siedzisz?

Nie zabrzmiało to zbyt miło, ale recepcjonista udał, że nie usłyszał.

– Wystarczy zwykły pokój – powiedziała już grzeczniej Marika.

– Pokoje w hotelu Bristol są niezwykle.

– Nie wątpię.

Jednak pokój niewiele różnił się od innych w hotelach, w których bywała przed laty, kiedy jeszcze pracowała w policji. Jak wszędzie towarzyszyło jej klaustrofobiczne poczucie przejściowości tego miejsca i czystość na pokaz skrywająca brudy. Ile ciemnych typów ze swoimi plugawymi myślami spółkowało tu z dziewczynami na godziny? Teraz i ona staje się taką dziewczyną. Tyle że nie na godziny, lecz na dni. Dziwka liczona w dniach. Którą na dodatek można zamordować. Na niby, ale kto wie. W końcu Olga zniknęła wcale nie na niby. Zaginęła czy zginęła? Mimo wszystko nie miała wielkich nadziei na jej odnalezienie. A może zaraz zadzwoni i wykrzyknie w słuchawkę: „Cześć, siostrzyczko, co u ciebie? Przepraszam, że się nie odzywałam, ale spotkałam prawdziwego księcia”. To byłoby do niej podobne. Ale inne dziewczyny?

Sześć zniknięć. Pięć trupów.

Tego szukam.

Nie jestem dziwką.

Mam problemy ze sobą. Ludzie po mnie jadą, gdy to dostrzegają. Nie lubią mnie. Ale nie jestem zła. W środku naprawdę nie jestem zła.

Tak, tłumacz sobie. Tłumacz innym.

A oni i tak będą wiedzieli lepiej.

Teraz, kiedy pójdziesz do tej Victorii, kiedy wejdiesz głębiej w układ z Sonią, będą już mieli do tego pełne prawo.

Oto dziwka Marika. Zła kobieta. Godna jedynie potępienia.

Ona i całe jej parszywe życie.

Przyciąga nieszczęścia, przyciąga zło. Zło lepi się do niej, okleja całą. Tylko je widać.

Przewracała się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Potem weszła pod prysznic i długo stała pod lejącą się wodą. Starła się zmyć cały brud, zetrzeć go, choćby miała wydrapać razem ze skórą. W tym brudzie był cały świat. Nawet ten student, którego twarzy już nie pamiętała, i Romeo, którego tak bardzo nie chciała skrzywdzić, a jednak to zrobiła. Gdy poczuła łzy napływające do oczu, wzięła się w garść.

Nie dam się. Nie poddam.

Wszystkim jeszcze pokażę.

Jestem silna. Silniejsza niż inni.

Wzięła się w garść i wyszła na spacer, żeby poszukać w butikach z ciuchami czegoś odpowiedniego na dzisiejszy wieczór w hotelu. Dawno nie kupowała sobie ubrań w normalnych sklepach. Wybrzydzała albo marudziła. Gdy jedna ze sprzedawczyń – zdenerwowana jej fochami – poprosiła, żeby uściśliła, co dla niej oznacza „strój wieczorowy”, skoro proponowane suknie mają nieodpowiedni krój, miała ochotę wypalić: „Strój dla kurwy, ale żeby nie wstydziła się go włożyć żona premiera”.

Wieczorowy. Czy tak trudno dobrać coś normalnego?

Zastanawiało ją to, że pozując do zdjęć, nie miała takich negatywnych odczuć, mogła włożyć cokolwiek jej kazano lub rozebrać do naga i wszystko było okay. Teraz, wkładając coś, co do niej nie pasowało, czuła się, jakby zdradzała siebie. Cholera, nie nadaje się do tego. Zdecydowanie lepiej jej w skórze i rurkach.

„Przestań, to tylko przebranie, ściema, nic wielkiego” – odpowiadała ta ugodowa część jej natury.

Kupiła prostą czarną sukienkę i szal zasłaniający ramiona. Do tego nieco zbyt świecąca czerwona torebkę, dobrą na prezerwatywy. Lub mały pistolet. Zamiast niego włożyła do wyściełanego sztucznym jedwabiem wnętrza niewielką butelkę z gazem paraliżująco-łzawiącym,



który kupiła od straganiarza sprzedającego także filmy i gry dołączane do gazet. Gaz był przeterminowany, zastanawiała się więc, czy zadziała w razie czego.

„Byłe szczyptał w oczy – powiedziała pod nosem. – Potem sobie poradzę”.

Tym razem umalowała się łagodniej, rozpuściła włosy, poprawiła je kilkakrotnie, strojąc miny, i wreszcie zadowolona z efektu westchnęła głośno.

Wyglądasz jak całkiem niewinna cipka do wydymania, możesz ruszać do Victorii.

Sonia czekała przed wejściem.

– Spóźniłaś się – powiedziała ze złością.

Marika spojrzała na zegarek. Było dwanaście po ósmej.

– Mówiłaś, że mogę spóźnić się kwadrans. Jest dwanaście po ósmej.

– U mnie kwadrans trwa dziesięć minut – syknęła Sonia. – A czasem pięć. Innym razem jedynie minutę. Następnym razem przyjdź piętnaście minut wcześniej. Może się nie spóźnisz.

„Nie będzie następnego razu, suko – pomyślała Marika. – Dziś cię zamorduję”.

– Oczywiście – powiedziała głośno.

W środku było już dużo ludzi. Dominowały tanie garnitury i garsonki. Od czasu do czasu błysnęła gdzieś ładna suknia z ciuchlandu. Większość mężczyzn miała powyżej czterdziestki, część dwa razy tyle. Przy wejściu do części konferencyjnej ochroniarz poprosił je o okazanie zaproszenia. Sonia pogmerała w torebce i pokazała mu czarny kartonik formatu A5. Uklonił się, a Sonia pociągnęła Marikę za ramię prosto w objęcia trzech pań rozdających wódkę. Odmówiły i przeszły dalej do dużego holu, otaczającego salę balową wypełnioną po brzegi ludźmi. Na scenie konferansjer kończył już część oficjalną.

– Co to za impreza? – zapytała Marika.

– Wręczenie nagrody dla Dziennikarza Roku.

– Myślałam, że odbywa się w grudniu.

– Kiedyś tak. Teraz wszystko wygląda inaczej.

– Dziennikarzy stać na twoje usługi?

– Niektórych pewnie tak, ale dziś klientem nie jest dziennikarz. Chodź.

Pociągnęła Marikę przez salę i przystanąły dopiero blisko wejścia, przy którym goście wyraźnie różnili się od pozostałej cizby.

– Wejście dla sponsorów. Tam stoi szef koncernu paliwowego, który ufundował na spółę z innym koncernem jedną z nagród, limuzynę klasy C. – Pomachała ręką. Wysoki, odrobinę podenerwowany mężczyzna w za małym gajerku i źle dobranych okularach skinął im głową.

– Masz udawać, że nic nie wiesz. On lubi uwodzić. Twierdzi, że to najbardziej pociąga go w seksie. Żadnej inicjatywy, rozmów o pieniądzach, wygaś w sobie całą dominację. Masz być uległa, początkowo niedostępna, musisz pozwolić się zdobywać.

– By wreszcie ulec?

– Twoja poprzedniczka tak dobrze zagrała, że spuścił się, zanim zdążył wejść do środka. Był bardzo zadowolony.

– Postaram się go nie zawieść.

– Nazywa się Krysz. Hubert Krysz. Tylko nie mów, że to dziwne nazwisko. To ja lecę.

– Sonia ścisnęła jej ramię.

– A pieniądze?

– Wszystko załatwione. Jutro na twoim koncercie znajdzie się okrągła sumka.

– Ile?

– Niespodzianka. Bez obaw, opłaci się.

Sonia odpłynęła.

Marika wzięła drinka od kelnera i przystanąła przy okrągłym stoliku. Była dość mocno

stremowana i dłonie jej drżały. W końcu pierwszy raz miała być dziwką. Paliwowy Krysz, jak nazwała sobie klienta, robił kółka wokół niej niczym afrykański drapieżnik. Podeszedł przy trzecim i powiedział coś tak kretyńskiego, że o mało nie dostała czkawki ze śmiechu.

– Jesteś piękna – wyznał w drugim zdaniu. – Bardzo piękna.

– Ty też jesteś niczego sobie – odparła, zastanawiając się, jak wybrnąć z sytuacji.

Krysz stanął tak blisko, że wyraźnie poczuła zapach drogiej wody toaletowej, który zupełnie do niego nie pasował. To nie będzie łatwa noc, pomyślała. Sonia pewnie specjalnie dała jej na przetarcie szlaku takiego klienta. Na prawdziwych księżąt i bambrów przyjdzie czas po sprawdzianie.

Cóż, mój testerze, chcesz przeżyć przygodę życia?

Może ci się uda.

Morderca oblizał usta.

Marika, piękne imię. Smaczne. Ona całkiem niezła. Nie w jego typie. Za ostra, za bardzo niezależna. Wolał potulne, uległe cipki. Miękkie i płaczliwe. Ta będzie walczyć do końca. Wszelkimi sposobami. Nie podda się. Nie ulegnie mu i nie będzie błagać o życie.

Łzy smakowały najlepiej.

Poczuł narastające podniecenie.

Tak, to było podniecające.

Ryzyko podniecało.

Marika podniecała.

Okrażył ją jak afrykański drapieżnik. Kocia śmierć. Uwielbiał krążyć wokół ofiary. Z daleka, by nie zwrócić jej uwagi, chowając się za plecami innych gości, stłoczonych po rogach grupek towarzyskich, hostess i kelnerów. Ostrożnie, czujnie, ale wystarczająco blisko, by poczuć zapach, wyobrazić sobie smak jej krwi, strachu i innych emocji. Nawet obrzydzenie, które emanowało z nich w stosunku do niego, było podniecające.

Początek.

Zawsze początek jest najlepszy.

Potem rozkosz stopniowo słabnie, miesza się z własnym strachem, poczuciem rozczarowania i niezrozumienia.

Nawet ona mnie nie zrozumie.

Nikt nie może zrozumieć.

Umysł wypełniony pustką. Poza całą kalkulacją, strategią i planem nie ma tam nic. Żadnych emocji, pasji, miłości. Nie ma życia. Jest tylko śmierć.

Zadam ci ją.

Wcześniej czy później ci ją zadam.

Przykleił się na chwilę do grupki dziennikarzy, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Na takich imprezach dużo jest samotnych osób, ale tacy właśnie przyciągają wzrok, a teraz, kiedy już go szukają, kiedy ona jest na jego tropie, lepiej dbać o szczegóły, wpasować się w otoczenie, przybrać właściwe barwy ochronne, zmienić kształt i zapach. Wielu zabójców złapano, bo nie dbali o pozory.

Dziennikarze buchnęli głośnym, nieskrępowanym śmiechem z żartu jednego z nich. Morderca nie usłyszał puenty. Mimo to śmiał się równie głośno. Dobra zabawa przyciąga innych, więc grono szybko rozszerzało się o kolejne postacie. Niektórzy witali się ze wszystkimi. Podawali dłoń także jemu. Przedstawiali się, a on odpowiadał, cicho szepcząc wymyślone imię. I tak nie zapamiętywali.

– Och, witaj. Nie poznałem cię. – Ktoś podszedł do jego sąsiada, kładąc delikatnie dłoń na ramieniu przyjaciela, a przy okazji potracając i jego. – Sorry.

Przeprosiny, uśmiech, jakiś niewyszukany żart i już ma nowego kumpla.

Odsunął się odruchowo i powitał znaczącym uśmiechem naczelnego znanego tygodnika, przewodniczącego jury, który zatrzymał się na chwilę i zagadał coś do całej gromadki. Naczelnego go nie znał, ale znał przecież tyle innych znanych osób. Skoro człowiek się uśmiecha, to pewnie się znamy. Może pracowaliśmy kiedyś razem. A może piliśmy nawet wódkę. Żebym to ja pamiętał wszystkich, z którymi piłem wódkę.

– Dobrze się czujesz? Na pewno wszystko w porządku?

Czyżby był zbyt blady?

Pytał ktoś z boku. Jeden z tych młodych pismaków, którzy także potrzebują integracji z grupą na takich imprezach, którzy dla poczucia bezpieczeństwa udają przyjaciół i dobrych znajomych, choć praktycznie ich nie znają, nie wiedzą, co dokładnie robią, czym się zajmują.

– Dla kogo piszesz?

– Jestem jedynie researcherem – odparł.

– Masz przygotować materiał?

– Tylko zebrać informacje.

– Wyglądasz jak szpieg, gdy tak szybko rzucasz spojrzeniami. Napij się, człowieku. Wino czy wódka?

Poczuł, jak krew napływa mu do naczynek na policzkach.

Znów było wszystko w porządku.

O tak, czuł się bardzo dobrze. Nawet nie wiecie, jak dobrze.

Odwrócił się, żeby ukryć to narastające podniecenie, i znów ją zobaczył.

Swoją następną ofiarę. Kobieta, którą powinien zabić jak najszybciej. Która – jeśli wierzyć informatorowi – poluje na niego.

Nie wyglądała zbyt groźnie, ale pozory często mylą.

Wiedział, że nie może jej lekceważyć.

Nikogo nie lekcewał.

Profesjoniści nikogo nie lekceważą.

Uśmiechnął się na tę myśl. No co, dziś mógł już się czuć profesjonalistą.

Pięć zaliczonych strzałów. Pięć ofiar. Stuprocentowa skuteczność. Żadnej wpadki.

Był zawodowcem.

Nieraz już nim był.

Kiedyś tylko wirtualnie, podczas niekończących się sesji w Hitmana czy Assasina, dziś już w rzeczywistości. Dziś nawet nie trzęsły mu się dłonie, choć serce wciąż waliło mocno w piersi. Za każdym razem tak samo gwałtownie, pompując do żył adrenalinę.

Tak samo będzie pompować dla ciebie, Mariko.

Mariko.

Jakież piękne masz imię. Jakież wspaniałe ciało.

I buzię, którą zniszczę, do której już wkrótce się dobiore.

Smacznie.

Będzie mi smakować.

Intrygująco, egzotycznie.

Pierwszy prawdziwy przeciwnik.

Boss na najwyższym levelu.

Choć jesteś trochę starsza od poprzednich, dasz mi dużo rozkoszy.

Mógł się założyć, że więcej, niż oczekiwał. Przerośnie jego najśmielsze wyobrażenia. Jak każdy dobry boss w grze. Trudny do pokonania, a po wszystkim dający najwięcej satysfakcji.

Tak.

Tym razem nie pozwolę, by coś nam przeszkodziło, odebrało mi radość i intymność tej jednej jedynej w swoim rodzaju chwili.

A ty, Michale, zabiłeś kogoś? Zamordowałeś kiedyś? – rzucił spojrzenie w kierunku naczelnego tygodnika, który pożegnał się już i ruszył do kolejnych znajomych, telewizyjnych publicystów głośno rozprawiających o ostatnich rozsadach w rządzie.

Jego nie interesowała polityka. Nawet jeśli dotyczyła masowego zabijania.

Zabijanie to czynność intymna.

Zasługuje na odpowiednią atmosferę.

Jeden z dziennikarzy zaproponował, by poszli po wódkę, i wszyscy skierowali się do stołu z przekąskami i ustawionymi w ogromnych kwadratach kieliszkami z czystą.

Dla nich to był prawdziwy raj.

Wszyscy pili ponad miarę.

Potrącił kogoś łokciem i przeprosił.

Kobietę.

Niską, zaniedbaną, choć o sympatycznej buzi.

Wyglądała znajomo. On chyba też wydał jej się znajomy, bo się uśmiechnęła. A może tylko go prowokowała. Nagle ją rozpoznał. Kiedyś, dawno temu prowadziła programy filmowe, które lubił oglądać. Była inteligentna, ciekawie opisywała filmy, aktorów i reżyserów, choć dla niego za szybko, zbyt teledyskowo. Ale szanował ją. A teraz? Opisuje celebrytów i babrze się w gównie, siląc się na przesadzone, nienaturalne, kąśliwe uwagi o świecie pełnym fałszywych świecidełek. Zamiast historią sztuki, nawet tylko filmowej, zajmuje się ludźmi, którymi nie warto się zajmować.

To twoje marzenia? Takie życie sobie wyśniłaś?

Puste, bezwartościowe, pełne jadu i śmieci?

Morderca pomyślał, że mógłby się nią zainteresować i skończyć te cierpienia. Tylko po co? Sprawi mu to choć trochę satysfakcji? Chyba nie.

Jesteś zdecydowanie za stara na ofiarę, Karolino.

Moja energia jest zarezerwowana dla młodszych i zdecydowanie bardziej zepsutych. Nawet jeśli z zewnątrz wyglądają na całkowicie zdrowe, to mocno robaczywych w środku, pożeranych przez pasożyty duszy.

Przystanął koło następnej grupki pismaków. Rozmawiali o ostatnich aferach na giełdzie.

Dziennikarze ekonomiczni, tylko nie to! Nie mógł jednak odejść za szybko; nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Rozmawiali o foreksach, sreksach, akcjach i obligacjach. Z tego, co zrozumiał, jeden skarżył się na niesprawiedliwy wyrok sądu w jakiejś sprawie, drugi potakiwał, a potem sam zaczął narzekać. Ekonomiczni malkontenci.

– Szkoda, że z tobą tak wyszło. Całe dziennikarstwo się kończy – powiedział jeden z dziennikarzy. – Nie powinni pozbywać się takich ludzi jak ty.

– Trudno, wszystko się zmienia – odparł drugi. – Może coś nowego wyrośnie.

– To już nie to samo. Blogerzy wypisują w większości głupoty, nie sprawdzają informacji, mają w nosie rzetelność, idą na łatwiznę, a dziennikarze podzielili się na obozy bezkrytycznie wspierające bliskie im polityczne opcje. To nie jest dziennikarstwo. Gazety umierają. To już nie będzie to samo.

– Gazety skumały się z władzą i pieniądzem. To był ich koniec.

Tamten udał chyba, że nie słyszy prowokacji.

– Pewnie tak, lecę dalej poświecić pyskiem. Cześć.

– Miło cię było spotkać.

– Wzajemnie. Wpadnij kiedyś, może porozmawiamy o jakiejś stałej rubryce.

– Pewnie.

– Na razie.

Dziennikarz, który – jeśli morderca dobrze zrozumiał – został wypchnięty z tego zawodu, został teraz sam, więc morderca również powoli zaczął się ewakuować. Rozmowa sam na sam byłaby niebezpieczna, podobnie jak przebywanie w pobliżu kogoś takiego, kto przyciąga uwagę innych.

Poszukał wzrokiem Mariki. Wciąż tam była, wciąż czekała.

Kiedyś będziesz tak czekać na mnie.

Może nawet dziś.

Marika.

Ależ ona była piękna. Z dala, z tej perspektywy, niesamowicie pociągająca. Ujmująco piękna.

Zadrzał z rosnącego podniecenia, czując już niemal zbliżające się spełnienie.

Zostało niewiele czasu.

Tak niewiele.

Jedna powieka, potem druga. Cholerny ból głowy. Rozmazana przestrzeń w drobinkach powoli wirujących w słońcu. Pierwsza myśl: Romeo. Dałam ciała, Romeo. Zdradziłam cię podwójnie, choć obiecywałam sobie, że do tego nie dojdzie.

Poczucie obrzydzenia, dreszcze i szal niemocy w środku.

Marika skuliła się jak kiedyś, przed laty, gdy dotykał jej dorosły mężczyzna, tłumacząc, że jest już kobietą, że jest jego stokrotką, słońcem, tęczą na niebie. Piękne słowa oszusta.

Czuła się dorosła, ale nie dla niego.

A potem zobaczyła Olgę.

Jej gibkie dziewczęce ciało nie było przeznaczone dla starego oblecha.

Pieprzonego drania.

A jednak prowokowała go dalej, aż znaleźli się sami. Sala gimnastyczna pogrążona w mroku. On idący z przodu, ona za nim. Drzwi ledwie trzymające się w zawiasach, korytarz z obluzowanymi płytkami, szatnia chłopców. To w niej całowała się z pryszczatym chłopakiem, którego imienia już nawet nie pamiętała. Chciał się tylko całować. Jakże się zdziwił, gdy jej dłoń uszczypnęła go w sutek, a potem zjechała niżej, do bioder, i uchwyciła go tam, na dole, tak że zadrżał cały i aż pisnął. Ona też była zaskoczona jego wielkością i samym widokiem narządu, który dotąd widziała tylko na rysunkach podczas lekcji biologii.

To było wcześniej, całe lata wcześniej i na tym się skończyło.

Potem on okazał się beznadziejnym dupkiem i wyrzuciła go z pamięci.

Całą pryszczatą twarz i imię bez znaczenia.

Nie było go.

Ale był dorosły, czterdziestoletni mężczyzna. Opasły i brzydki wuefista. Jego tłusty brzuch, przeredzone włosy i chód jak u kaczki czy jamnika.

Damska szatnia połączona z prysznicem.

W niej szarpała się za włosy z Klarą, która uważała się za najważniejszą w klasie do czasu, kiedy Marika pokazała jej miejsce w szeregu. Pokonana i upokorzona potem przyszła i wyciągnęła dłoń na zgodę. Zaprzyjaźniły się i trzymały razem, aż tamta skończyła karę i wyjechała do Ameryki. Nie przysłała nawet pocztówki, nie zadzwoniła. Nie było jej. Zniknęła.

Może nigdy nie istniała.

Zakręt i krótszy korytarz. Na ścianach zdjęcia i dyplomy.

Słynni sportowcy i nieco mniej słynni zwycięzcy szkolnych zawodów. Duma wuefistów i dyrektorów. Narkomani i psychole. Przegrane pokolenie.

Tak jak ona.

Ona i on. I cień Olgi.

Drzwi do kanciapy wuefisty.

Szczęk kluczy zawieszonych w pęku na szyi. Roztrzęsione, spocone ręce. Zgrzyt zamka. Otwarte drzwi.

Jej głos.

„Zamknij”.

Tak, będzie lepiej, gdy zamkniesz. Wtedy nie będziesz mógł już uciec.

Śmiech, gardłowy rechot przedzierający się przez wyschnięte gardło.

Podniecenie, pot, litość.

Nie będę miała litości.

Zepsute zęby, dziwne, jakby zbyt długie, za bardzo odsłonięte przez poczerńiałe fioletowe

dziąsła.

Palce chwytające pasek, rozpinające metalową klamrę. Wylewający się bebech i mały członek. Mniejszy niż tego chłopaka z szatni. Wokół czerń. Brudna, śmierdząca czerń. Nasilający się, pulsujący stukot w jej skroniach.

To diabeł odmierzał czas, by w końcu wziąć ją w ramiona.

A jeśli raz mu się uda, nie można już się uwolnić.

– O czym myślisz?

Otrząsnęła się ze wspomnień. Krysz także nie wyglądał najlepiej po nocy. Spojrzała w jego podkrążone oczy i na zapadnięte policzki, pokryte cieniem dwudniowego zarostu.

– Tak ci lepiej.

– Jak?

– Bez garnituru i tej poważnej miny prezesa. Całkiem miły z ciebie facet.

Rzeczywiście był miły. Szczupły, wysportowany, choć już w pewnym wieku. Czterdzieści, może czterdzieści pięć lat. Skóra zniszczona, chropowata, ale pod nią silne mięśnie, wyćwiczone podczas biegania, tenisa, innych aktywności. Dojrzałość w całym tym ciele, blizna na ramieniu. Podobno po operacji, choć Marice wyglądała jak po nożu. Byłeś kiedyś nożownikiem, Krysz. Walczyłeś o kobietę, a może o pieniądze. W dokach starego portu, na zapleczu pubu czy przydrożnej knajpy? Te żebra też wyglądają, jakby kiedyś zostały pogruchotane. Nagle wpadło jej coś do głowy. A co jeśli Krysz jest nie tylko jej testerem, ale też partnerem Soni? Może to on wszystkim trzęsie?

Nie, no nie. Nie w tym gajerku i z miną prezesa. Sonia zdecydowanie inaczej by się wobec niego zachowywała. Psychologicznie nieprawdopodobna teoria.

A może tylko dobrze kamuflowana?

Nie, nie i jeszcze raz nie.

Może i kiedyś walczył na noże, bił się po żebrach i był twardzielem, ale dziś jest zwykłym prezesem. Nie pasuje na herszta bandy stręczycieli.

– Zakochałaś się? – prychnął.

A jednak dupek.

– Pieprzyłam cię – westchnęła i sięgnęła w bok po rzeczy.

– Przepraszam. Nie miałem nic złego na myśli.

– Ale ja mam złe myśli. Lepiej, żebyś sobie poszła.

– Nie musisz.

– Zapłaciłeś tylko za jedną noc – warknęła, strącając jego ramię.

Milczał. Słyszała tylko, jak głośno przetyka ślinę.

– W porządku – powiedział. – Przepraszam jeszcze raz. Czasem łatwo powiedzieć coś głupiego, a potem żałować miesiącami. Ale to tylko słowa. Nie powinny ranić do krwi.

Włożyła majtki i stanik. Sięgnęła po sukienkę leżącą dalej i włożyła ją dwoma szybkimi ruchami.

– W dupie mam słowa – powiedziała już całkiem spokojnie.

– Cieszę się.

– Ale nie mów tak więcej. – Usiadła z powrotem na łóżku. – Jakbyś sobie mnie kupił. Nie kupiłeś mnie, rozumiesz!?

– Tak. – Skinął głową.

– Przespałam się z tobą, bo tego chciałam – skłamała. – Nie dlatego, że zapłaciłeś.

Ponownie skinął głową. Był już potulny jak baranek. Łatwo dał sobie narzucić jej dominację. Marika uśmiechnęła się w duchu. Zrobiła Sonię w balona. Olała wszystkie polecenia. Wcale nie była taka, jak on chciał, a jednak była pewna, że wygrała. Nie poskarży się na jej władczą



postawę i to, co robiła teraz. Uwiodła go. Tak łatwo było go uwieść.

Z drugiej strony nieociosany prezesik, po zrzuceniu władczej maski, okularów i kiepskiego garnituru, okazał się całkiem interesującym facetem. „Mógłbyś być takim Romeem, a zostałeś dupkiem od paliw”, pomyślała, patrząc mu w oczy. I kupującym sobie miłość. Bo nie o seks w tym chodziło, tylko o miłość. Tego potrzebował i płacił za to, czego się kupić nie da.

Powinam cię wysłać na lekcję do Romea.

– Więc zostaniesz na śniadanie? – zapytał.

– A zrobisz coś dobrego?

– Co tylko zechcesz.

– Lubię dużo, tłusto i niezdrowo. Jak będzie mi smakować, to... może dostaniesz coś gratis.

Uśmiechnął się. Naprawdę nieźle wyglądał. Korporacyjny paw, nieśmiały prezesik i pieprzony bogacz poszedł do kąta. Ponownie popatrzyła na niego bez skrępowania. Całkiem fajny mężczyzna, z niezłym ciałem, mocno zbudowaną klatą i umięśnionymi ramionami. Wydawały się nawet silne, a nie tylko wyćwiczone na pokaz. Ciekawe, czy dałaby radę złamać mu rękę za pomocą prostej dźwigni, czy też musiałaby użyć jakiegoś chwytu nogami.

No jak, Krysz, poradziłabym sobie z tobą?

A może jednak te twoje blizny coś znaczą i to ty rozłożyłbyś mnie bez problemu?

– Znów patrzysz, jakbyś chciała mnie zamordować – powiedział z wyrzutem, chwycił bokserki i wciągnął je, wstając jednocześnie z łóżka. Poprawił ułożenie członka, jakby wciąż mu zależało, żeby dobrze wyglądał.

„Po co? Wiem już wszystko – pomyślała Marika. – Sonia kłamała, że masz problemy seksualne, wyszło ci całkiem nieźle, jeśli w ogóle można było rozpatrywać w takich kategoriach to, co robiliśmy w nocy. Do diabła, starałam się”.

– Idziemy?

Nie włożył szlafroka. Cieszyła się. W samych bokserkach był dla niej... bezpieczniejszy. A może zrobił to specjalnie, może potrafił czytać w jej myślach. Jeśli tak, to powinien już uciekać, bo przecież były dość krwawe.

Potknął się na schodach.

– Życzysz mi śmierci? – zawołał do tyłu.

– Jedyne kalectwa – odparła wesoło i ominęła schodek, na którym się potknął. Chyba był lekko obluźwany.

Mogła teraz dokładnie obejrzeć dom. Wczoraj wieczorem nie zdążyła, bo zbyt szybko się do niej dobrał i zaciągnął ją na górę. Zresztą wypłała dość, by nie interesować się tym i chcieć jak najszybciej wszystko zakończyć.

Prezesik mieszkał jak król. Nie ma co. Hol wykończono różnymi rodzajami drogiego drewna i atlasami, na ścianach obrazy niewyglądające na kopie. Wnęka wypełniona od podłogi do sufitu regałami z afrykańskimi i azjatyckimi pamiątkami podróżniczymi. Drzwi z boku prowadziły do biblioteki i palarni, zaciemnionej, pachnącej przyjemnie resztkami dymu i toną książek zapelniających masywne mahoniowe półki. Schody na górę biegły wzdłuż ściany i przechodziły łagodnie w antresolę. Była na tyle mocna, że nie złamała się, gdy podczas wczorajszej szamotaniny wpadli na nią niechcący. Mogło się to źle skończyć, a jednak nie byli połamani.

Dwuskrzydłowe drzwi pod antresolą wiodły do salonu połączanego z kuchnią. Jej nowoczesny wystrój odrobinę gryzł się z ciężkimi meblami w salonie i dużym zabytkowym kominkiem. O ile hol i sypialnia były w dechę, tak te pomieszczenia jej się kompletnie nie podobały. Jakby poszczególne segmenty domu projektowały dwie różne osoby.

– Ładnie mieszkasz. – Usiadła na wysokim stołku przy blacie przypominającym trochę bar w knajpach. Krysz włączył elektryczny czajnik i otworzył lodówkę.

- Lubisz jajka?
- Pewnie.
- Parówki, bekon? Chcesz śniadanie angielskie?
- Niezdrowo i tłusto, tak lubię.
- Tak będzie.

Szukał przez chwilę patelni, potem próbował włączyć kuchenkę.

– To kuchnia indukcyjna – pouczyła go, widząc, jak się morduje. Czyżbyś nigdy nie gotował i robił dla mnie wyjątek? Powinnam czuć się wyróżniona? – Musisz wziąć odpowiednie naczynie.

Obejrzał patelnię.

- To nie jest dobre?
  - Nie, musi mieć taki znaczek jak ta patelnia, która suszy się przy zlewie.
- Podążył za jej wzrokiem i wziął właściwy przedmiot.
- Rzadko gotuję – powiedział.
  - Cedujesz to na żonę?

Uśmiechnął się.

- Nie mam żony. Po prostu jem na mieście. Czasem gospoia coś zrobi.
- Masz gospoie?
- To duży dom. Ktoś musi sprzątać.
- Ukrainka? Lubisz widok kobiety na kolanach?
- Hej, nie jestem łobuzem. Dobrze płacę, i to na umowę, a nie na czarno. Szanuję pracę innych, nawet jeśli tylko sprzątaję. Są czasem bardziej wartościowi niż gwiazdy telewizyjne czy radiowe.

- Dobrze, już dobrze.
- Zdarza mi się robić przyjęcie, wtedy też potrzebuję pomocy. Nie patrz więc tak, nie jestem sukinsynem wyzyskiwaczem. Korzystam z pomocy, kiedy muszę, a nie dlatego, że mam kasę.
- Sam zbudowałeś ten dom?
- Żartujesz? Ta chata stoi tu od stu lat, przeszła lekki... lifting niedawno, ale większość rzeczy jest stara.

- Kuchnia nie jest.
  - Poprzednia się rozlatywała.
  - Więc kupiłeś go od kogoś – stwierdziła.
  - Poprzedni właściciel był muzykiem, chyba komponował coś do reklam. Tak mówił agent.
- Rozejrzała się jeszcze raz.

– To chyba dobra chata dla muzyka. Dla prezesa też, uważaj, bo kielbaski się przypalą. W kuchni pachniało już rozgrzanym tłuszczem.

- Musisz teraz wbić jajka, tylko uważaj, żeby nie rozwalić żółtek.
- Postaram się. O, sukces!

Po chwili podał jej dwie kielbaski z jajkiem obok.

- Keczup, musztarda?
- Może być.

Usiadł naprzeciwko i patrzył, jak je, a właściwie pochłania kielbaski. Marika widziała wyraźnie, że ma ochotę pokręcić głową z niedowierzaniem. Zjadła wszystko ze swojego talerza i zanim jeszcze przełknęła ostatni kęs, zapytała:

- Nie jesz? Mogę twoją?
- Nie czekając na odpowiedź, zwinęła mu kielbaskę.
- Jeśli chcesz coś zjeść, radzę się pospieszyć.

– Nie jestem głodny. – Patrzył teraz już zdecydowanie wyzywająco. Widziała, że mu się podoba. Robiła wszystko jak trzeba, żeby spodobać się takiemu typowi. Jesteś już mój, prezesiku.

Wtedy spowaźniał i przez tę jedną chwilę zobaczyła w nim kogoś, z kim rzeczywiście mogłaby być blisko.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

– Co?

– No wiesz? Dlaczego pracujesz z Sonią?

– Płaci mi. – Nie była do końca tego pewna, ale lepszej odpowiedzi nie potrzebowała.

– Jest wiele lepszych sposobów na zarobek.

– Dlaczego lepszych? Spędzenie miło czasu w takim towarzystwie jak twoje jest złe? Miły z ciebie facet, więc praca nie jest ciężka.

– Wszyscy klienci są tacy mili?

– Nie wiem.

Nalał do szklanki wody, żeby ukryć zmieszanie albo przygotować następne pytania.

– Zrobiłam to pierwszy raz – wyprzedziła je. – Pierwszy raz współpracuję z Sonią i jesteś moim pierwszym klientem.

Przez chwilę zapragnęła powiedzieć mu wszystko. O Oldze, morderstwach, otaczających ją brudnych wspomnieniach, swoim życiu w kłamstwie i nocnych koszmarach. O tym i wielu innych sprawach, zapełniających jej serce, sprawiających, że staje się kamienne i czarne jak węgiel. Twardnieje, bo inaczej nie dałoby rady, umarłoby, pękło, rozlało się jak jajko na patelni, a może jest już po pierwszej śmierci, w fazie jakiejś cholernej reinkarnacji.

A wszystko to w... interesie społecznym, żeby znaleźć zabójcę, pierdolonego psychola, który zabija lub więzi młode, niewinne dziewczyny, wystarczająco głupie, by uwierzyć, że dając dupy, zawojują świat. Wała maltretującego z jakiejś brzydkiej, podłej pasji piękne twarze kobiet, które na to nie zasłużyły.

To ja, Marika, a ty jesteś tylko moim nowym doświadczeniem i pionkiem w grze, pieprzonym królikiem doświadczalnym.

– Pracujesz dla spółki paliwowej? – zapytała raptownie.

Nie wyglądał na speszzonego.

– Można tak powiedzieć.

– To państwowa firma?

– Nie, dlaczego miałyby być państwowa?

– Myślałam, że paliwa i energetyka to domena państwa.

– Duże koncerty tak. – Podeszedł do lodówki, przy której leżał niewielki skórzany portfelik, i wyjął z niego wizytówkę. Podał ją Marice. – Moja firma wciąż jest dość niewielka, ale mamy ambicje i – jak to się mówi – stoi za nami poważny kapitał.

– „PetroStar” – przeczytała. – Brzmi dumnie.

– Inwestorami są duże koncerty międzynarodowe, ale to specyficzna branża, w której ukrywa się pewne rzeczy, dopóki nie ma sukcesu.

– To zabrzmiało podejrzanie.

– Podejrzanie? Czy wyglądam na podejrzanego? – Zrobił głupią minę, a potem zagrał Humphreya Bogarta. – Ja bym powiedział: tajemniczo. Mężczyzna musi być trochę tajemniczy, co nie? Kobiety... też lepiej, jeśli są nieco skryte. Tak uwodzicielsko.

– Paliwa nie kojarzą mi się najlepiej. W mediach pełno jest doniesień o jakichś przekrętach i mafii. Jesteś gangsterem?

Spowaźniał.

– Hola, jestem finansistą. Zajmujemy się energią odnawialną. Tu trudno o przekręty.

– Słońce i wiatr? Nie da się oszukiwać na przyrodzie?

– Pewnie można, jak na wszystkim.

– Ale ty nie oszukujesz?

– Nie.

– Skąd więc stać cię na taki dom? – Zaśmiała się, żeby jasno dać do zrozumienia, że to tylko żart, ale Krysz nie odpowiedział śmiechem. Patrzył na nią maślanym wzrokiem, a potem obszedł bar i zaczął jej dotykać.

I podobało jej się to.

Nawet nie musiała być pijana, żeby jej się podobało.

Romeo, biedny Romeo.

Dlaczego tak szybko zapomniałam?

Czekała kilka godzin na info o PetroStarze. Rodzki chrząknął w słuchawkę i w końcu wyrecytował:

– Chyba są czyści. W urzędzie skarbowym żadnych postępowań. Nie ma zgłoszeń na policję ani sygnałów od inspektora finansowego. Brak spraw sądowych, nawet w administracyjnym, co jest trochę dziwne. Powiedziałbym, że są aż za czyści.

– To duża firma?

– Chyba niespecjalnie. W dziale finansowym powiedzieli mi, że wyglądają na wehikuł inwestycyjny.

– Co to znaczy?

– Firma inwestuje w różne spółki, ale sama nie ma rozwiniętych struktur, pracowników i tego typu rzeczy. Może zarządzać poważnym kapitałem, nie zatrudniając nawet jednej osoby.

– Aha. I oni nikogo nie zatrudniają?

– Tego nie wiem, bo zarejestrowani są na Cyprze. Posłałem już zapytanie do komórki zajmującej się praniem brudnych pieniędzy. Może coś mi dopowiedzą.

– A w Polsce nie mają nic? Nawet ten Krysz nie jest tam zatrudniony?

– Rozlicza się z fiskusem przez działalność gospodarczą. To wszystko zgodne z prawem, Mariko.

Tak, aż za zgodne, cholera. Coś tu nie gra. Krysz wcale nie był taki święty, na jakiego się kreuje.

I tak, mój kochanku, awansowałeś do ligi podejrzanych.

Może jednak twoje blizny znaczą coś więcej, niż mówisz. Może w środku nosisz jeszcze szersze, bardziej postrzępione nacięcia, które wcale nie są takie łatwe do ukrycia. Ktoś przebił ci kiedyś serce osikowym kołkiem?

– Jeszcze coś? – zapytał Rodzki.

Marika zawahała się.

– Nie mieszkam już na Miodowej.

– Jak to?

– Tymczasowo jestem w Bristolu.

– Po co ci hotel?

– Musiałam... zmienić klimat.

– Cholera, przecież tam miałaś wszystko, co...

– Przepraszam, mam powody. Jakby coś, zostaw wiadomość w hotelu i tam mnie szukaj.

Odłożyła słuchawkę. Dopóki można wykorzystywać sytuację, mieszkanie w Bristolu nie było złe. Poszła na obiad, a potem przespacerowała się Chmielną. Ktoś rozdawał ulotki z prośbą o podpisanie petycji, by ulicę oddać artystom i księgarzom. Chętnie by coś takiego podpisała. Starówka i spacerniaki powinny należeć do artystów, a nie banków i centrów handlowych.

Sonia zadzwoniła po południu.

– Dobrze się sprawiłaś. Klient jest bardzo zadowolony.

– Poprosił o kolejne spotkanie? – Marika poczuła ucisk w gardle. Czyżby... aż tak jej zależało? Nie, to tylko zwykłe nerwy. Nie wolno ci myśleć o nim w ten sposób. Tak jak nie wolno ci więcej myśleć o Romeo. Było, minęło. Nie zasługujesz ani na jednego, ani na drugiego. Oni mają normalne życie. Nie są pokręceni. Ich umysły nie pieprzą się z chorymi napadami. Nie chcesz ich przecież zniszczyć. Byli dla ciebie mili, obaj. Zostaw ich w spokoju. Nawet jeśli się myli, to i tak lepiej nie myśleć. Będzie, co będzie, wróca, jeśli mają wrócić. Pieprzone życie

z zagadkami.

Usłyszała, jak Sonia przerzuca kartki w notesie.

– Zapłacił za dwie noce – powiedziała. – Przełałam ci już połowę.

– Dzięki. – Ucisk znikł. Marika znów była sobą, choć bardzo zmęczoną sobą.

– Jesteś wolna dziś w nocy?

Serce zabiło jej mocniej. Nie, nie powinna aż tak się angażować. Nie wolno ryzykować.

Powoli zajdziesz dalej i będziesz gotowa do walki. Teraz nie jesteś.

– Tak – szepnęła. – Umówisz mnie z Kryszem?

– Z Kryszem? Nie, dlaczego?

– Zapłacił za dwie noce – przypomniała.

– W ramach premii. Nie przejmuj się nim. Mam innego dobrego klienta. Czekać na mnie przy Narodowym, zabiorę cię na przejażdżkę.

– Ale...

– O siódmej. Tym razem się nie spóźnij.

Sonia zerwała połączenie i Marika nie mogła jej już nawrzucać. Za to nie żałowała sobie teraz, wzbudzając zgorszenie przechodniów. No co, miała ochotę zawołać, jestem tylko zwykłą dziwką, szmatą, zdziwą.

Poużywajcie sobie. Zmarnowałam życie, więc wam też wolno mnie dobić, ukamienować, odrzeć z resztek godności.

Zapraęnęła usiąść gdzieś w kącie i się zwyczajnie wypłakać.

Jak w poprawczaku, przez te dwa cholerne lata, gdy cały jej świat wywrócono do góry nogami. Wtedy też szukała zacienionych samotni, gdzie mogła przez chwilę wydrapywać skórę na gębie tak, by nikt nie widział, nie odbierał jej tej odrobiny prywatnej zemsty na swym ciele.

To było takie trudne.

To teraz jest nie mniej.

Gdyby chociaż miała cień nadziei, że odnajdzie Olę, że ta żyje. A tak pozostawało jej wierzyć, że robi to dla siebie. Dla nikogo innego. Tylko dla siebie.

– Wszystko w porządku?

Zobaczyła tego samego staruszka, którego omal nie skatowała kilka dni temu. On też się przeraził, rozpoznawszy Marikę, i chciał odejść czym prędzej. Zawołała go i wyjęła z torebki banknot dwudziestozłotowy.

– Tylko nie przepij wszystkiego od razu.

– Ja nie piję – obruszył się. – Dokarmiam biedne dzieci.

– Pilnuj, żeby przeżyły po tym twoim dokarmianiu.

– Nie powiem o tobie nic złego – powiedział z uśmiechem staruszek. – Nie uda ci się mnie sprowokować.

– Chcesz się założyć?

Wróciła do Bristolu i przygotowała rzeczy na spotkanie z Sonią. Bolała ją głowa i połowa ciała. Seks z Kryszem okazał się bardziej wymagający, szczególnie ten dzisiejszy, poranny. Nie miała siły. Nie chciała się z nikim pieprzyć, a przecież Sonia nie brała jej do opieki nad niemowlakami.

Do diabła, powinnam się była wyłgać.

Długa kąpiel nieco pomogła. Po chwili wahania zaaplikowała sobie małą dawkę narkotyku, który kupiła od dilerki, jeszcze będąc w PromoArcie, i poczekała, aż zacznie działać.

Ból minął.

W głowie załomotało i poczuła się wspaniale.

„Zbyt często sięgasz po to świństwo” – powiedziało coś w prawym płacie mózgu. „Pierdol

się” – odpowiedział lewy. Widocznie potrzebuję. Nic ci do moich potrzeb. Trzeba było wpaść na coś lepszego wtedy, kiedy mogłam jeszcze zostać normalną dziewczyną, panią domu, prawniczką czy lekarką. Wtedy mogłeś działać, ale ty wolałeś się mścić, bronić innych, wymyślać potworności draniom, którzy niby na to zasługiwali. No to teraz musisz cierpieć.

A co mi tam, mówisz teraz, bo przegrałeś.

Niech się dziewczyna wzmocni.

Rozwiąże sprawę, to pójdzie na odwiek.

Znow będzie gryzła ściany. Ale przecież jest twarda, da radę. Poradzi sobie.

Da radę.

Da.

Prawie zasnęła na fotelu, więc wypila jeszcze napój energetyczny i kawę z automatu. Wyszła pół godziny przed czasem i o siódmej zgodnie z umową czekała pod Narodowym. Sonia podjechała punktualnie. Spojrzała krytycznie.

– Nie wyglądasz najlepiej. Aż tak ciężka noc?

– Wymagający klient – przytaknęła Marika.

– Wiem. – Dziewczyna miała wrażenie, że Sonia ma ochotę pogłaskać ją po policzku, poprawić opadający kosmyk włosów i pocałować w policzek jak siostrę. Szybko się spoufalala.

– Okłamałam cię trochę.

„Za co należy ci się w pysk. I możesz mi wierzyć, że dostaniesz” – obiecała jej Marika w myślach.

– Dokąd jedziemy?

– Na przyjęcie.

– Za miasto?

– Niedaleko.

– Nie jestem w najlepszej formie.

– Poradzisz sobie. Pomyśl, że jutro dostaniesz kolejną specjalną premię.

Nie odpowiedziała. Musiała akceptować reguły gry. Jeśli chciała dalej się w to bawić, jeśli naprawdę pragnęła rozwiązać zagadkę morderstw tych dziewczyn, nie mogła teraz zrejterować.

Przymknęła oczy i znow je zobaczyła. Jedną po drugiej. Zmaltretowane, posiniaczone, zakrwawione twarze...

Kaja, Łucja, Maria, Katia, Anna. I Olga.

Dziewczyna bez twarzy. Zaginiona, nieodnaleziona.

Jej główny cel, zadanie, sumienie.

Jesteś twarda, Mariko.

Jesteś prawdziwą twardzielką.

Nie poddajesz się, nie odpuszczasz. Walczysz do końca. Nikt cię nie pokona.

Sonia skręciła w wąską drogę prowadzącą przez las i zwolniła. Asfalt przez kilka kilometrów był dość mocno podziurawiony, a potem miejscami zamieniał się w utwardzony trakt najezony kamiennymi pułapkami. Kolejny zakręt i droga stała się już typową wiejską ścieżką. Las ustępował miejsca polanom i pagórkowatym fragmentom pól. Pod ścianą drzew zobaczyła jakieś duże zwierzę niemal zlewające się z ciemnością wypełzającą z kniei. Łoś? A może diabeł. Czeka na mnie, przebierając kopytkami z niecierpliwości. Już niedługo, mój panie. Niedługo.

Chyba przysnęła na chwilę, bo ocknęła się, gdy wjeżdżały już w szeroką kamienną bramę, ozdobioną dziwaczными rzeźbami. Ochroniarz zatrzymał je i przez kolejne pięć minut czekały na pozwolenie przejazdu. Marika spojrzała do tyłu, dostrzegając parkujące za nimi w kolejce dwa kolejne samochody. Pokierowano ich na boczny prowizoryczny parking, utworzony na przyszyżonym pastwisku. Było ogrodzone drewnianym płotem z zamontowanymi drutami

podłączonymi do agregatu. Padok dla koni. Stadnina mieściła się za kilkoma wierzbnami i placem zabaw dla dzieci. Sonia miała na sobie obcisłe spodnie, przypominające trochę bryczesy do końskiej jazdy, i bluzkę na ramiączka. Wyglądała trochę elegancko, a trochę sportowo.

Marika spojrzała na swoją wieczorową suknię.

– Nie martw się. Tak też jest dobrze. Nie będziesz jeździć konno – uspokoiła ją Sonia.

Przeszły obok stajennych pożerających wzrokiem kolejne „towary” i chichoczących pod nosem z niewybrednych żartów, jakimi je podsumowywali.

Ścieżka oznaczona cyprysami zaprowadziła je na duży plac przed zabytkowym pałacykiem. Nie witał ich pan domu, pewnie dlatego, że sporo się spóźniły.

Sonia przytrzymała Marikę za ramię i założyła jej na przegub czerwoną nitkę.

– Co to?

– Dla niektórych znak kabalistów.

– A dla innych?

– Informacja, że zapłacono ci za ten wieczór. – Spojrzała jej w oczy i dodała z naciskiem:

– Za pełen pakiet usług, rozumiesz?

– Tak.

– Jeśli ktoś zechce, nie wolno ci odmówić. Potem wracasz na imprezę. O piątej rano masz wolne, już nic nie musisz.

– Mija czas promocji – Marika zakpiła i zauważyła: – Ty też masz czerwoną nitkę.

Sonia spojrzała na swoje przedramię, jakby dopiero teraz dostrzegła cienką włóczkę oplecioną na nadgarstku. Uśmiechnęła się promiennie.

– Ja jestem kabalistką. Dam ci radę. Lepiej sobie wyszukaj kogoś fajnego i go poderwij, bo inaczej może cię wypatrzeć jakiś sześćdziesięcioletni komentator sportowy albo właściciel narodowego funduszu inwestycyjnego z nadania partii.

– Są tacy źli?

– Są starzy i śmierdzą. – Sonia nachyliła się do Mariki i skrzywiła z obrzydzeniem.

– Śmierdzą śmiercią. Unikaj ich, szukaj młodych.

Marika wzdrygnęła się. Nie lubiła Soni. Bardzo jej nie lubiła.

Nawet wiem, kogo będę szukać, pomyślała.

Krysz, czy jesteś gdzieś tutaj? Sponsorujesz nagrody? A może przyszedłeś dla rozrywki, nie w interesach? Dlaczego mi nie powiedziałeś, że idziesz na imprezę?

Sama nie wiedziała, co gorsze.

Spotkanie z nim w tym miejscu czy jeśli go tu nie będzie?

Sonia zobaczyła kogoś i ruszyła szybkim krokiem w kierunku gromadki ludzi, zostawiając Marikę samą.

Ta poczuła najpierw ulgę, że jej towarzyszka już sobie poszła, a potem skrzepowanie: stała w rogu placu, jakby trochę z boku tych kilku setek ludzi z różnych środowisk. Część była elegancka, arystokratyczna, inni wyglądali na sportowców lub artystów.

Sztywni wojskowi nachylali się do zaniedbanych, grubych dziennikarzy, poklepując po tyłkach nadobne damy o starannie ułożonych fryzurach. Dumni politycy szukali w ciżbie swoich oponentów, popleczników i wrogów, rozprawiając o tym, który załatwił rodzinie lepszą pracę, ma bogatszych przyjaciół sponsorujących ich kampanie lub korzysta dzięki znajomościom z lepszych ofert salonów samochodowych.

Posel prawicy spierał się z jakimś młodym lewicowym wilczkiem, która partia więcej wydaje na korumpowanie dziennikarzy i lepiej pilnuje, by to swoi, a nie obcy wygrywali przetargi.

Biznesmen, opisywany w gazetach jako krezus z mafijnymi powiązaniem, opowiadał żart rzecznicze prasowej ministerstwa. Przysłuchujący się im ukradkiem wicepremier zęgnął właśnie



naczelnego znanego tygodnika i gorączkowo kiwał do swojego dwudziestoletniego asystenta-doradcy, żeby ten zaćwierkał w jego imieniu na Twitterze. Opasły ksiądz w cywilu ciekawie spojrział dzieciakowi przez ramię, prosząc o instrukcje, a potem zarechotał na widok zataczającego się wydawcy politycznych książek i niepokornego dziennikarza, któremu zarzucono niedawno korzystanie z funduszu jednej z partii.

Cały polityczno-finansowo-show-biznesowy syf w jednym miejscu, ale to ja jestem tutaj kurwą. Ja jestem tą najgorszą, z której można się śmiać i którą można upokarzać. To ja mam czerwoną nitkę na ręce. Każdy może to zobaczyć i mnie wziąć.

– Pani nie tańczy?

Jakieś czterdzieści lat, wysoki, nawet przystojny. Zaliczyć go do zbioru młodych byczków czy starych śmierdzieli? Pomiędzy. Wyglądem, strojem i wiekiem był gdzieś pomiędzy. Czarna gustowna marynarka, lekko świecące grafitowe spodnie, dopasowana koszula tego samego koloru z jasnymi przeszyciami. Twarz pociągła, ogorzała, ciemna, nawet śniada, trochę południowa, może cygańska czy arabska, choć z wyraźną domieszką genów europejskich, przystojna. Nie w typie włoskim, hiszpańskim czy nawet bałkańskim. Lekko może francuska, i słowiańskie oczy. Prawdziwie kosmopolityczny playboy.

Mówił po polsku czysto, więc prawdopodobnie wychował się tutaj. Może matka Polka, a ojciec Arab, Turek lub Grek. A może dalsi przodkowie mieli obce geny. Tak czy inaczej wysoki, barczysty, silny. Prawdziwy mężczyzna. Cholerny tępak.

Jesteś bucem, jeśli myślisz, że weźmiesz mnie na takie teksty.

– Nie jestem tu od tańczenia – fuknęła.

– A od czego?

– Wie pan, co to znaczy? – Pokazała mu czerwoną nitkę.

Chcesz, to bierz, potem może nie być okazji. Albo ktoś inny skorzysta, albo ja cię już nie znajdę. Dla nas obojga lepiej sprawę postawić jasno od razu.

– Nie. – Chyba rzeczywiście nie wiedział. A więc czerwona nitka nie działa na każdego.

Odwróciła się i zrobiła krok w kierunku parkietu, na którym tańczyło kilka par. Obok stały stoły zastawione żarciem i piciem. Cały tłum kelnerów uwijał się, przygotowując drinki, roznosząc szampana i napełnione winem kieliszki.

– Nie powie mi pani?

Straciła okazję. A wystarczyło wziąć mnie pod rękę i zaciągnąć w krzaki.

– Jestem kabalistką – rzuciła przez ramię.

– Co to znaczy?

– Nie wie pan? Taka religia, a może bardziej filozofia.

– Jakich bogów każe wyznawać?

– Podobnie jak pańska, uznaje tylko jednego Boga. Tylko Stwórcę.

– Nie wierzę w Boga.

Spojrzała na niego ostro.

– I myśli pan, że to wszystko wokół powstało ot tak, bez przyczyny, i w ten sposób zniknie? Wzruszył ramionami.

– Jest pan biznesmenem?

Zawahał się.

– Nie do końca. Zajmuję się realizacją różnych szczególnych usług.

O, to tak jak ja.

– W czym tkwi ich szczególność?

– Są bardzo mocno dedykowane konkretnym przypadkom.

No nie, to gdzie masz swoją czerwoną nitkę?

– Mówi pan jak zawodowy zabójca.

Nie odpowiedział. Marika spojrzała uważnie.

– Jest pan zabójcą?

– Chodźmy. – Odwrócił się na pięcie. – Zaraz zacznie się koncert.

Podeszli pod scenę, na której wesołego wodzireja w osobie zapomnianego już nieco aktora i komika zastąpiła grupa muzyków. Marika nie znała się na muzyce, ale instynktownie wyczuła, że są popularni, może nawet bardzo. W plotkarskich mediach, które czytała, przygotowując się do akcji, nie było ich zdjęć. Za to obok sceny rozpoznała kilka gwiazd, które teraz klaskały i podskakiwały, piszcząc jak nastoletnie fanki, co wyglądało dość komicznie. Przecież one same były gwiazdami. Powinny udawać, że to one są tu najważniejsze. A może w tym właśnie tkwi wielkość gwiazdy? Wiedzą, że jest ich całe morze i każda błyszczy.

– Ten facet to prawdziwa legenda – szepnął jej towarzyszy, klaszcząc mocno.

Także uniosła wysoko dłonie i klasnęła, rozglądając się jednocześnie. W gęstniejącym pod sceną tłumie nie było niczego ciekawego, ale tuż za nim rozgrywał się mały dramat z dobrze jej znanymi aktorami w rolach głównych.

Sonia szarpała za ramię jakąś wysoką rudowłosą kobietę, a walczące próbowali rozdzielić Brochwicz i młodzianka dziewczyna. Nawet z tej odległości Marika zobaczyła czerwoną nitkę na jej nadgarstku. Była za daleko, by usłyszeć, o co się kłócą i co wykrzykują. W końcu Brochwiczowi udało się stanąć pomiędzy kobietami i łagodnie je rozdzielić. Objął rudą kobietę i odprowadził kilka kroków od Soni. Ta wydeła usta i krzyknęła na tyle głośno, że Marika mogła rozpoznać słowa.

– Pierdol się, Julia! Pierdol się, słyszysz?

Szamocka. Teraz, gdy poprawiła fryzurę, Marika rozpoznała ją bez trudu.

Osoby z tłumu znajdujące się najbliżej kłótni obrzuciły Sonię ciekawskimi spojrzeniami, a potem wróciły do słuchania koncertu. Szamocka z Brochwiczem odeszli na bok, zaś Sonia i młoda dziewczyna oddaliły się w kierunku parkingu.

Wychodzą?

Dziewczyna szła ze zwieszoną głową, chyba niezbyt chętnie. Zniknęły jej z oczu. Brochwicz posadził Szamocką przy stole z alkoholami i także poszedł szukać sobie lepszego towarzystwa.

Marika przeprosiła wysokiego przystojniaka i powoli podeszła do Julii.

– Cześć, co słychać?

Szamocka miała łzy w oczach. Zamrugła, by to ukryć, i wróciła do swojej wyniosłej pozycji kobiety bez skazy.

– Wszystko świetnie, nie widać?

– Pogadamy?

– Nie ma o czym.

– Myślę, że jest. Wrócimy razem do Warszawy? Nie mam samochodu.

Szamocka chciała odpowiedzieć coś brzydko, ale w końcu wzruszyła ramionami.

– A twoja czerwona nitka? Do niczego nie zobowiązuje?

– Już nie. – Marika zerwała nitkę i wzięła pod rękę podstarzałą modelkę.

Piosenkarz na scenie chwycił mocno mikrofon i zanucił znany przebój, wywołując aplauz publiki.

Znów tu była. Krążyła, szukając go.

Morderca wiedział, że jest na tropie i że to on jest celem. Mnie nie zwiedzisz. Nie uda ci się mnie oszukać. Jestem na to zbyt przewidujący, za przebiegły. Próbujesz zastawić pułapkę, lecz pułapka nie może się udać, gdy zwierz ją wyczuwa lub o niej wie.

A ja wiem.

W końcu musiał pojawić się ktoś taki jak ty. Oczekiwałem mężczyzny, ale twoim szefom zawsze wydaje się, że będą bardziej przebiegli, jeśli wystawią do walki kobietę. A przecież to nigdy się nie udawało. Żaden z wielkich zbrodniarzy nie został złapany w pułapkę przez kobietę. Tylko w książkach morderców łapią piękne inspektorki. Po co więc znów ryzykować? Czemu do walki ze zbrodniarzem tej klasy wysyłać kobietę, która zawsze będzie słabsza od mężczyzny?

Czy tylko dlatego, że myślą, iż jest mądrzejsza?

Że może wtopić się w tłum, udawać, stosować pułapki i wybiegi?

Nie, Mariko, nie uda ci się, bo masz tam kreta, który o wszystkim mi donosi.

Nie uda się i tym razem.

Przechrzęcę cię i wymknę się z sieci, a może wcześniej dotknę twojej szyi, wyczuję tętno, poczuję w niej życie, a potem je zabiorę.

Lubię zabierać życie.

A może... tak, to jest odpowiedź.

Coś osobistego.

To sprawiło, że cię wysłali. Znałaś jedną z nich? Może nawet bardzo dobrze. Kim była dla ciebie? Kimś szczególnym? Siostrą? Córką przyjaciela? Powiedz! I tak powiesz mi wcześniej czy później. Kiedy już będziemy ze sobą sam na sam, kiedy będę mógł cię wachać, lizać do woli. Gdy sprawię, że twoje obrzydzenie stanie się moją rozkoszą. Tobie też może być przyjemnie. Nie wierzysz? Cierpienie należy do tej samej półki smaków co przyjemność. Leżą obok siebie, czasem tak blisko. Umierając, potrafimy czerpać także z tych przyjemnych doznań. Zobaczysz, sama się o tym przekonasz.

A ja? Ja też.

Tak więc powiedz od razu, zanim sam zobaczę wyjaśnienie w twoim ciele, zachowaniu, oczach. Albo je usłyszę, jeśli dostaniesz szansę rozmowy.

Coś osobistego.

Stąd ta agresja w oczach. Stąd pasja i dążenie do celu za wszelką cenę.

Wściekłość?

To właśnie czujesz?

Szkoda, bo nie masz szans.

Nie uda się.

Wyrachowanie zawsze wygrywa z pasją.

Twoja pasja się zmarnuje i zamieni w niemoc.

Jakież to przykre...

To nie ogród sztuk, tu nie ma miejsca na finezję i artystyczną improwizację.

Tylko twarde życie, strategia i ciężka katorga składają się na końcowy sukces.

Artyzm przegra z mocą umysłu i ciała.

Tak, tak się stanie.

Stanął możliwie blisko i oglądał Marikę z jej towarzyszem. Znał go. Już kilkakrotnie zwrócił na niego uwagę. Wyglądał groźnie, w przeciwieństwie do kobiety. Przez chwilę pomyślał, że

pasują do siebie, są podobni. Dwa drapieżniki poszukujące zdobyczy.

Razem, może w zмовie.

Nie nabierze się. Nie wpadnie w pułapkę. Dziś będziesz bezpieczna, nie dam się sprowokować, nie zaatakuję, jeśli nie mam przewagi.

Zespół wkroczył na scenę i zaczął grać swoje największe przeboje. Byli naprawdę wspaniali. Cudowni, mimo że od lat grali to samo i na jedną nutę. Lubimy tylko te piosenki, które już znamy? A może po prostu nie chcemy się wysilać, bo ciemny lud i tak to kupi, menedżerowie podpiszą kontrakt, decydenci w radiu wezmą wziętki... Czy tak? Tak wystarczy robić w życiu? Nie trzeba myśleć o wieczności? Wystarczy drobny, nikogo w świecie nieobchodzący sukces na lokalnym polu?

Byle chwycić za serce.

Byle tylko odciąć kolejny kupon od kartonika próżności.

A ty jesteś lepszy? – zapytał jakiś ostatni kadr przyzwoitości w jego duszy. O co tak naprawdę ci chodzi? Tylko byś narzekał. Przecież zbudowali coś wielkiego i teraz z tego korzystają.

Co w tym złego?

Tylko tyle, że ci młodzi i zdolni muszą przez was dużo dłużej czekać na swoją szansę.

Ale tak jest już ułożony świat.

Ciekawsze rzeczy działy się pod sceną. Niesamowite, że organizatorom prywatnego przyjęcia udało się ściągnąć aż tyle gwiazd. Znał je wszystkie. Od lat się nimi interesował. To była w końcu jego specjalność – znać gwiazdy, umieć je oceniać, pisać o nich, mówić i krytykować. Kiedyś marzył, żeby zrobić prywatny talk-show. Z kamerą w mieszkaniu, kameralny i odważny. Naprawdę miał takie plany, ale uznał, że to głupie. A tu proszę, ten wysoki gość po lewej to właśnie zrobił. I nawet nie miał kamery, tylko telefon z okienkiem i jabłuszkiem w logo.

Żadna z tych gwiazd teraz nie rozpoznaje mnie, myślał, za to jego rozpoznają wszystkie. Udują, że nie widzą, nie znają, a nawet gdy ktoś zmuszał je do podania mu ręki, robiły to wyjątkowo oschle i sztucznie, ale w rzeczywistości wszystkie znały tego dzielnego chłopaka, który pokazał, że chce to móc, i robił najlepsze show w internecie. Bez przytupu i wielkiej kasy.

Nie to co ten kudłaty, dziecięciniały typ obok.

Niby persona non grata, a jednak wszędzie oblegany i rozchwytywany.

Wszędzie go zapraszano i nic dziwnego.

Wpływy w telewizji. To one sprawiły, że nie można było go lekceważyć, choć przecież na szklanym ekranie rządili już inni królowie. Ale kto wie, co będzie dalej. Lepiej nie drażnić, lepiej dmuchać na zimne. Bo co, jeśli wróci. Wróci jego cięty język i bezkompromisowa skłonność do przecinania ostrym nożem wszystkich wrzodów.

Morderca westchnął głośno. Cały ten świat zasłużył na jego zemstę.

Powinien pomyśleć o czymś większym, bardziej spektakularnym niż młotek do ćwiczeń bokserskich.

Może o bombie.

Tylko co jest przyjemnego w bombie. Zero intymności. Jedyne huk i smród. Wiele ofiar, żadnej radości, intelektualny pustostan.

Zdecydowanie lepsze jest osobiste, pełne poufałości, szeptów i westchnień tête-à-tête.

W przerwie koncertu podszedł do grupy oblegającej znaną piosenkarkę. Była najpiękniejszą kobietą na przyjęciu, prawdziwą gwiazdą, wielkim, utalentowanym motylem. A jednak jej skrzydła przypaliła zbyt duża pewność siebie i niewłaściwa ścieżka kariery. Jej obecny partner,

prawnik, także sprawiał dobre wrażenie. Może to oni powinni stać się jego ofiarą?

Tyle że co by mu to przyniosło?

A co przynosi zabijanie młodych dziewczyn?

To nie dziewczyny, to dziwki. Zasluguja na śmierć.

Tylko z tego powodu? Tylko dlatego, że się stoczyły, że trafiły na złą drogę?

Są winne. Same są sobie winne.

Bo tak łatwo je skazać?

Tuż obok stał człowiek z cygarem. Niski i łysy. Rozmawiał z dwoma leśnymi dziadkami ze starych czasów, wyraźnie próbując wpaść w oko jakiejś gwiazdzie.

Nie znał go, chociaż... czyżby...

...tak, teraz sobie przypominał zdjęcia w internecie i mediach biznesowych. Wielka afery w policji i jeden z komendantów. Tak, to był on. Zamiast do więzienia trafił na salony, został celebrytą.

Jak ten mafioso z gangu, który pisał teraz felietony w gazecie. Dziś największymi celebrytami są postaci kontrowersyjne.

One przyciągają uwagę. Komentarze hejterów, kliknięcia, złorzeczenia i bluzgi.

Mordercy i gwałciciele.

Dziwki, alfonsi, mafiosi, bandyci, łapówkarze.

Oto nasz świat.

Za zakładanie fundacji nie trafia się na jedyńki i czerwony pasek.

Działalność dobroczynna nie mieści się na afiszach, nie przyciąga fleszy, nie dodaje blasku.

Za to morderstwo... o tak... ono sprawia rozkosz... nam wszystkim...

Nie tylko mnie.

Najwyższy stopień.

To ja byłem na najwyższym stopniu.

Wy musicie... bardzo się postarać, by mi dorównać.

Skasować samochód po pijaku lub zagrać w zakładach bukmacherskich. Wystawić cycki i tyłek. Uprawiać publicznie seks albo chociaż o tym opowiedzieć. To was bierze i przyciąga. Pogrzeby, gołe ciała i awantury. Nawet miłość nikogo nie interesuje, jeśli nie ma smaku skandalu.

Wszystko dla sławy.

Ale czy kogoś obchodzi druga strona? Czy kogoś obchodzi, co jest prawdą, a co zwykłym oszustwem? Czy ktokolwiek zadaje sobie pytania o intencje, motywy, cele? Skoro sprzedajemy je na tym samym straganie?

Prawda i fałsz, sacrum i profanum. Wyprzedaż trwa, dziś w promocji pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Świat należy do handlarzy, kupili go od Boga, oszukali diabła. Teraz liczą zyski i czytają o sobie w kolorowych pisemkach.

– Słyszałeś, że króla chcą wywalić z ramówki? – Stanął za nim wysoki, mocno już pijany gość o fryzurze à la Cristiano Ronaldo. Mówił do jakiegoś prezentera, którego morderca kojarzył z twarzy, ale za bardzo nie potrafił umiejscowić w telewizyjnym who is who.

Skulił się i nasłuchiwał, udając, że rozgląda się za kimś znajomym.

– Słaba oglądalność? – zapytał prezenter.

– Oglądalność świetna, ale dopadło go sumienie – odparł Cristiano.

– Jak to?

– Nie chce już realizować jedynej słusznej linii.

– Każdy kiedyś się kończy.

– Ale nie każdy o tym wie. Zapamiętaj tę lekcję.

Christiano sobie poszedł. Prezenter został sam. Przeszedł koło niego kudłaty, nie lubiany przez nikogo młodzieniec. Gdziekolwiek podszedł, towarzystwo nagle znajdowało jakiś mniej lub bardziej banalny powód do rozejścia się, poszukania czegoś do jedzenia czy picia. Niektórzy chwyтали się za nosy i jasno dawali znać, że nie chcą mieć z nim nic wspólnego.

Jesteś jeszcze gorszy niż Żyd czy Ukrainka.

Gorszy nawet od mordercy.

Przemaaluj się na czarno, może wtedy uda ci się ukryć. Myślisz, że po tym, co zrobiłeś, wolno ci tu przychodzić i udawać, że to się nie stało? Sikasz na nas, a potem obwąchujesz. Pomyliłeś słup z nogą swojego pana i teraz dostaniesz kopniaka.

Uciekł.

Morderca też miał dość.

Nie mógł już tego wysłuchiwać.

Nie mógł zdzierzyć własnych myśli.

Podniecenie zaczęło rozlewać się po podbrzuszu, nakazywało rozpoczęcie poszukiwań.

Czerwone nitki. Tego szukaj.

Wtedy znów ją zobaczył.

Marika. Tak miała na imię. Jak ta piosenkarka. Pięknie. Była piękna. I zamiast z tego korzystać, zamiast coś wnieść do tego świata taniego blichtru, założyła czerwoną wstążkę na rękę.

To twój wkład?

Czy tylko pułapka?

Pułapka, której łatwo uniknąć.

Tak bardzo się wyróżniała z całej gromady dziewczyn z czerwonymi nitkami na nadgarstkach. Naliczył ich dziś sześć. Bywały imprezy, na których było dziesięć albo dwanaście. Jeśli płacił jakiś bank albo fundusz emerytalny, dochodziły też zwykłe dziwki. Jeszcze gorzej było za granicą. Do Cannes zabierano całe autobusy. W Abu Zabi samoloty. Jest ktoś jeszcze chętny na rejs transatlantykami z pokładem zapelnionym kurwami?

Pieprzeni celebryci.

Jakże on ich nienawidził.

Zobaczył dwóch aktorów wychodzących w towarzystwie dziewczyn z czerwonymi nitkami i zapragnął ruszyć za nimi, żeby uwolnić potwora. Ale było za wcześnie. Musiał być bardziej przebiegły.

Musiał poczekać na okazję, a potem zaplanować wszystko tak, by nikt się nie zorientował, by nie dostarczyć dowodów i poszlak, zmylić wrogów, których tak wielu przecież czekało na jego potknięcie.

Nie dostrzegł z początku kłótni, która odbyła się z dala od sceny, za dzielącym ich tłumem. Dopiero kiedy w tamtym kierunku poszła Marika, zobaczył Julię Szamocką i Sonię trzymającą za rękę dziewczynę w czarnej sukni skrojonej tak, że odsłaniała całe plecy i część pupy.

Dziewczyna szokowała, bo każdy mógł zobaczyć, że nie ma bielizny.

Szamocka odepchnęła Sonię i krzyknęła parę przekleństw.

Ciekawie, ciekawie.

Na salonach zaczynają się tarcia.

W węzowisku żmije kłają już niemal publicznie, nie przejmując się widownią.

Dobrze, bardzo dobrze.

Szamocka była wściekła. I dobrze. Nie lubił jej. Bardzo jej nie lubił.

Sonia, nie mniej zdenerwowana, odeszła na parking z dziewczyną o gołej pupie.

Ich też nie lubił.

Może nawet bardziej.

Zastanawiał się przez chwilę, za kim pójść, a potem ruszył z udawaną nonszalancją, starając się nie rzucać w oczy.

– O co się pokłóciłyście?

– Nieważne.

Szamocka prowadziła, Marika udawała, że patrzy na drogę. Mały samochodzik jechał dość wolno, gdyż światła reflektorów z trudem przebijały się przez ciemności.

– Są brudne – szepnęła Marika.

– Co? – Twarz Szamockiej stężała.

– Światła – uzupełniła Marika. – Gdybyś na moment przystanęła, mogłabym je przetrzeć.

Będzie lepiej widać.

Szamocka jechała jeszcze chwilę, a potem zatrzymała samochód i czekała, nie wyłączając silnika. „A jeśli mnie zostawi, nie poczeka, a może nawet potrąci?” – pomyślała Marika.

Wysiadła i gąbką do zbierania pary z szyb wytarła oba reflektory.

Wróciwszy do środka, westchnęła z ulgą. Nie zostawiła jej.

– Teraz lepiej.

Szamocka skinęła głową. Wciąż była rozdrażniona i nieskora do rozmowy.

– Miła z ciebie dziewczyna, ale siedź już cicho. Nie chcę o tym rozmawiać.

– O czym?

– O Soni, Brochwiczu, o tobie. Nic mnie to wszystko nie interesuje. Róbcie, co chcecie. To wasze życie.

– A o dziewczynach, które zamiast robić karierę na wybiegu, posyłane są do bogatych starszuchów, arabskich książąt, biznesmenów i sportowców? O nich też nie chcesz rozmawiać?

– Teraz jesteś jedną z nich – ucięła Julia. – Siedź już cicho.

– Nie jestem – szepnęła Marika. – I nigdy nie będę.

– To po co szukałaś kontaktu z Brochwiczem, a potem z Sonią? Nie kłam, miałaś nitkę na ręce.

– Potrzebuję twojej pomocy, Julio. Bardzo jej potrzebuję.

Szamocka roześmiała się sztucznie.

– Nie, nie nabierzesz mnie. Podpisałaś cyrograf z diabłem. Teraz oni cię mają, nie ma odwrotu.

– Julio...

– Bo cię wysadzę.

– Julio...

Szamocka zahamowała i spojrzała w oczy Mariki.

– Zamknij się albo wysiadaj – syknęła.

– Co oni ci zrobili?

– Moja historia... jest już zamknięta. Nie pytaj o to więcej.

– Dobrze, ale porozmawiaj ze mną.

Szamocka chyba chciała zakląć pod nosem, jednak zrezygnowała.

– Czemu miałabym to zrobić?

– Bo zło przyczało się zaraz za rogiem i wypatruje kolejnej okazji – wypaliła Marika.

– To cytaty z mojej książki – westchnęła Szamocka.

– Przeczytałam – przyznała Marika. – I zgadzam się z tobą. Dziewczyny nie powinny rozpychać się łokciami i iść na szczyt po trupach.

– Sama to robisz.

– Nie.



– Więc o co ci chodzi?

Marika przygryzła wargę. Wóz albo przewóz. Musiała odkryć karty.

– Dziewczyny znikają, Julio.

– Znikają – powtórzyła była modelka.

– Już sześć, co najmniej sześć zniknieć. – Marika nie chciała do końca odkryć kart. – Nikt nie wie, co się z nimi stało. Szukam ich. Musisz mi pomóc, inaczej będą dalej znikać.

Szamocka sprawiała wrażenie, jakby nie chciała dopuścić do skażenia własnych myśli, jakby nie chciała o tym wszystkim wiedzieć.

– To nieprawda.

– Prawda. Mogę pokazać ci ich zdjęcia. Sześć dziewczyn. Trafiły do PromoArtu i innych agencji, potem do Brochwicza, w końcu do Soni i... ślad po nich zaginął.

Julia wpatrywała się przed siebie z kamienną twarzą.

– Niektóre były też w twojej fundacji – szepnęła Marika. – Nie możesz nie wiedzieć.

– To nieprawda.

Marika nie mogła już się wycofać. Musiała ją przycisnąć.

Musiała odkryć karty.

– Kaja – syknęła. – Dziewczyna ze Śląska. Pamiętasz? Zgłosiła się do ciebie prawie dwa lata temu, pomogłaś jej, dostała pracę przy promocji bielizny. Trzymała się jej przez parę miesięcy, aż miała dość marnych zarobków i ciągłych awantur z szefową. Poszła więc do Brochwicza i zniknęła. Ty ich skontaktowałeś, Julio? Powiedz mi.

Szamocka kręciła przecząco głową.

– Wyjechała do Stanów – powiedziała jakby do siebie. – Nic jej się nie stało. Po prostu wyjechała.

– Dlaczego więc się potem nie odzywała?

– Może nie miała potrzeby. Nie rozstałyśmy się w zgodzie.

– Nieprawda, Julio. Ona nigdy nie opuściła Polski.

– Skąd wiesz?

– Wiem. – Marika ujęła ramię Szamockiej, delikatnie, a potem, gdy rozmówczyni próbowała się uwolnić, mocniej, z naciskiem. – Anna. Pamiętasz Annę, Julio? Taka mała, sympatyczna blondyneczka. Osiemnaście lat, trzy lata wcześniej urodziła dziecko, które trafiło do domu dziecka. Była taka piękna. Każdy jej powtarzał, że może zrobić karierę. Zostać miss, top model, zarobić fortunę. Poszukała więc swojej szansy, ale jej nie dostała. Tylko ochłapy i grosze za zdjęcia do niemieckich magazynów porno. Przyszła do ciebie po pomoc, a ty ją wysłałaś do Brochwicza.

– Przestań! – Szamocka krzyknęła głośno i wreszcie się wyrwała. Zasłoniła dłońmi uszy.

– Nie chcę tego słuchać.

– Były jeszcze Maria i Olga. Julio, nie możesz dłużej tego kryć. Te dziewczyny... może nie żyją, może je zamordowali, nie możemy tego tak zostawić.

Szamocka patrzyła w szybę szklanym wzrokiem. Wyglądała jak robot z odciętym zasilaniem.

– Julio!

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Wiem. Dlatego proszę cię o pomoc.

– Jesteś z policji?

– Czy to ważne? Pomóż mi.

– Nie, nic nie wiem.

Teraz albo nigdy. Marika wyczuła, że Szamocka jest na granicy.

– Nie jestem z policji, Julio. Jedna z tych zaginionych dziewczyn – mówiła szeptem – była

mi bardzo bliska, jak siostra, choć nie siostra. Przeżyła prawdziwe piekło, nie zasłużyła na więcej cierpienia. Miała na imię Olga i tylko osiemnaście lat. Cztery lata temu zgwałcił ją wychowawca w ośrodku. Wcześniej była świadkiem morderstwa. Jej rodzina robiła bardzo złe rzeczy. Ale ona była dobra. Nie zasługiwała na to, co się stało. Chciałam ją adoptować, zająć się nią, ale uważałam, że na to przyjdzie czas. Pomagałam jej więc, robiąc swoją karierę, bo myślałam, że w ośrodku jest bezpieczna. Ale nie była. Powinnam jej bardziej pilnować, lecz zawiodłam.

– Przykro mi.

– Teraz ona zniknęła. Szukam jej albo tych, którzy wiedzą, co się z nią stało. I znajdę.

Z twoją pomocą lub bez niej.

Szamocka pokręciła głową.

– Ja naprawdę nic nie wiem – szepnęła.

– Wystarczająco, by pomóc...

Julia zwiesiła głowę i kiedy Marika myślała, że nic nie uzyska, w końcu pękła. Ale nie histeryzowała, nie płakała. Mówiła bardzo powoli, krótkimi zdaniami, bez emocji. Jej głos metalicznie pobrzękiwał, odbijając się od samochodowej szyby, w którą wpatrywała się niewidzącym wzrokiem.

– Też byłam taka jak one. Dlatego nazwałam fundację „Mysz”. Mysz, zwierzę albo kwiat. Mysie uszko, inaczej Niezapominajka. Żeby wszyscy wiedzieli, że nie zapomniałam o swojej przeszłości i o tym, co mnie spotkało. Tak, taka jak one. Młoda i głupia. Myślałam, że pierwszy sukces rodzi tylko następne, bez pracy, nauki i dalszych starań, że to już będzie z górki, wszyscy rzucą się na mnie, będą rozchwytywać i wzmacniać miłość własną. Całe moje małe miasto się zatrzyma i będzie kłaniać się w pas przed królową. Oto ta, której się udało. Szybko wyprowadzili mnie z błędu i uświadomili, że jestem tylko jedną z setek i mój los zależy od ich kaprysu. Albo się dostosujesz, albo zginiesz. Próbowałam się stawiać i nagle, w jednej chwili nie miałam już żadnych przyjaciół. Zapomnieli w jeden dzień, przeszli obok, nie oglądali się za siebie. Dobrze znali reguły gry. Jeśli się zatrzymasz, pomożesz komuś wstać, obie będziecie daleko za peletonem. Wyścig szczurów nie daje drugiej szansy. Nie ma innej drogi, na skróty. Jest tylko ta jedna. Choć...

Julia zamilkła, poprawiając kosmyk włosów. Marika czekała, w końcu pomogła:

– Jest doping, prawda, ta druga droga?

– Tak, jest doping. Chcesz się ponownie załapać? Będiesz już grzeczna? Oto twoja szansa.

Wysłali mnie do Grecji. Mnie i jeszcze jedną dziewczynę. Bez żadnych instrukcji, bez pytań. Jakby z góry wiedzieli, że to oczywiste, że po prostu mam rozłożyć nogi i wykonywać polecenia. Grzeczna dziewczynka. Tym miałam być. Wszystkie grzeczne dziewczynki mają szansę na karierę i sukces. Jeden miliarder, drugi, trzeci i kariera stanie przede mną otworem. Tak to się odbywało. Ten Grek był pierwszy. Potentat alkoholowy. Szeptał mi do ucha, że może uczynić mnie prawdziwą gwiazdą. Potem szeptali inni. Biznesmeni, aktorzy, sportowcy, gracze. Wszyscy świetnie grali dobrych wujków. Każdy obiecywał, a potem zapominał. To takie naturalne. Wykorzystać małąotę i pośmiać się z kolegami, opisując jej naiwność i rozkosze ciała, jakich potrafiła dostarczyć. Aż pojawił się Brochwicz, z gładkimi słówkami, paletą światowych gestów, znajomościami i całym splendorem. Ja się tobą zaopiekuję, ułożę, nauczę wykorzystywać ciało, słowa, emocje, ludzi, całej tej trudnej sztuki wspinania się po szczebelkach kariery. Wszystkiego nauczę. Poddałam mu się, podpisałam cyrograf. Nie było już odwrotu.

– Brochwicz wszystkim steruje?

– Nie. Czasy Brochwicza już minęły.

Nie kłamała.

– Odniosłam wrażenie, że trzyma się całkiem nieźle i wszędzie go pełno – Marika podpuściła

Julię.

– Na uboczu prawdziwego... biznesu. Brochwicz to filantrop, koneser, smakosz. Idziesz do niego po pomoc i on pomaga, jeśli zechce. Ogólnie to dobry człowiek, choć drań. Same sprzeczności. Tak powinni go nazywać. Część twarzy uśmiechnięta, druga zrozpaczona. Jedna strona biała, druga czarna. Biznes go wykorzystywał, bo był pomocny. Ale od pewnego czasu jest tylko marginesem.

– Sonia?

– Sonia – przyznała Julia. – I ktoś jeszcze.

– Kto? Jej mąż, Pedro?

Szamocka pokręciła tylko głową, zacisnęła dłonie na kierownicy i wróciła na drogę.

– Pedro wrócił do Hiszpanii. To biznes Soni.

Jechały przez chwilę w milczeniu.

– Musisz mi pomóc, Julio – powtórzyła Marika. – Powiedz mi, co o nim wiesz. Pomóż mi to zrozumieć.

– Tu nie ma co rozumieć. Sonia jest tylko pośrednikiem. I na pewno nie jest morderczynią.

– Kto jest wyżej?

– O tym... lepiej nie wiedzieć.

– Julio, zaufaj mi. Daj mi szansę.

– Nie mogę. Przykro mi. Nie mogę.

– A jeśli to on... zabija? – Marika postanowiła uderzyć mocniej.

Julia nie poprawiła jej. Spojrzała bez wyrazu. Miała dość.

– Żartujesz? Dlaczego miałby... krzywdzić te dziewczyny? To jego biznes. Przez lata robił go bez przeszkód, a teraz miałby wszystko rozwalić, porywając dziewczyny, robiąc im krzywdę?! Bez sensu. Jeśli masz rację, że te dziewczyny zaginęły lub zostały zamordowane, to morderca jest też wrogiem... tego człowieka.

– A jeśli uznał, że zarabia za mało? Że więcej można zarobić, oddając dziewczyny jakimś zbokom i na tym zarabiając?

– Aż tak wiele ich nie ma, a zarabia świetnie. Źle szukasz.

– Mamy więc wspólnego wroga. Pomóż mi.

– Nic więcej nie wiem.

Julia zatrzymała samochód.

– Wsiądź, proszę. Nie szukaj mnie więcej.

– Jak chcesz. Znasz numer mojego telefonu. Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie.

To tylko barter, nic złego.

On pozwoli ci dobrze żyć, ty zrobisz co trzeba. Nie bez przyjemności. Jest przystojny, czysty, lubi kobiety, szanuje je. Ładnie pachnie i nosi dobre ubrania. Chodzi na manicure, dba o ciało, stosuje dobre olejki i kremy. Jedna z twoich poprzedniczek uwielbiała wachać jego buty. Gdy zasnął oczywiście. Nie będziesz miała poczucia, że robisz coś złego. Każda chciałaby mieć takiego mężczyznę.

– Ma żonę.

I co z tego? W czym przeszkadza ci jego żona? Jest tak samo zepsuta jak on. Myślisz, że nie bierze sobie młodych kochanków? Płaci im więcej niż on swoim... zdobyciom. Będziesz wyjątkowym trofeum w jego dorobku.

Tak tłumaczyła Hani agentka. Miała na imię Sonia i była córką kogoś znanego. Hania nie była pewna, czy „ktoś znany” był aktorem, czy piosenkarzem. A może tylko grał na gitarze. Agentka nie występowała w filmach, nie śpiewała. Miała za to zmysł organizacyjny. Potrafiła zapamiętać co trzeba i ustawić dziewczynom dzień od rana do wieczora. A potem przychodziła noc i miała już tylko jedną ofertę.

Bez seksu pięćset złotych za noc. Z seksem tysiąc, a czasem półtora. Jak dobrze pójdzie, usługa może przeciągnąć się na cały weekend. Wtedy jest stawka specjalna. Trzy tysiące, może nawet pięć. Zależy, kto płaci. Wyjazdy zagraniczne liczone w euro. To samo, tylko mnożysz przez cztery i pół. Jak będziesz miała szczęście, zarobisz na dom albo znajdziesz męża. To chyba nawet lepiej, znaleźć takiego męża, którego stać na dymanie po tysiąc euro za noc. To jak, wchodzisz w to? Robimy barter?

Jak dotąd nie znalazła męża. Nawet nikogo na stały... barter.

Może z nim się uda.

Przydałby się ktoś na stałe, skoro już i tak musiała to robić. Musiała? A może po prostu chciała? Mimo że wygodnie było myśleć o sobie jak o ofierze, to przecież nikt jej nie zmuszał, nikt nie wywierał presji. Ciało to towar. Chcesz, korzystasz. Nie chcesz, skorzysta inna. Sprzedajesz ciało przed kamerą, czemu nie masz go dać komuś na wyłączność? Lepsze to niż robić za hostessę czy sprzedawać bluzki w butik. Praca bywa ciężka i zawsze jest mało płatna. Za mało na luksusy. Za mało nawet na zwyczajne porządne życie. Więc lepiej się sprzedać? Wystawić tyłek na publiczny widok i rozpocząć licytację? Tak, to ja jestem jedną z tych lasek od Soni. Możesz mnie wziąć choćby zaraz. Mam badania lekarskie, jestem świeża i nikt mnie nie miał przed tobą. Spędzimy razem całą noc. Będziemy robić, co tylko zechcesz.

To właśnie oznacza czerwona nitka.

Co zatem zechcesz?

– Tylko nie oczekuj zbyt wiele. W gruncie rzeczy to prosty chłopak. Jest tylko byłym piłkarzem. Zarobił duuużo pieniędzy i teraz straaasznie lubi je wydawać. Zapewnij mu miły wieczór, a może zaprosi cię do siebie, czy na rejs na jachcie. Kto wie, może to będzie barter na stałe...

Przed wyjściem, pod prysznicem, miała mdłości. Chciało jej się wymiotować i pomyślała, że to ostatni raz. Wcale już nie chce stałego barteru. Nawet gdyby miała być biedna. Odłożyła trochę pieniędzy, może otworzyć jakąś firmę. Choćby zakład fryzjerski. Zanim trafił się ten fotograf, który zapierał się, że robi z niej gwiazdę, właśnie o tym myślała. Zakład fryzjerski i kosmetyczny. Ona obcinałaby włosy, jej siostra robiłaby manicure.

Siostra.

Siostra nie chce jej znać.

Uważa ją za zwykłą kurwę.

„A jak to się twoim zdaniem nazywa? Dajesz dupy za pieniądze. Jesteś kurwą – krzyczała na nią ostatnim razem, gdy się widziały przy okazji odwiedzin ojca. – Myślisz, że trafiłaś do wielkiego świata? Że jesteś kimś? Że coś osiągnęłaś, bo zwiedziłaś pół świata, rozkładając nogi? Nie. Jesteś nikim, a ja nie chcę cię znać”.

Głupia cipa.

Z początku była na nią zła. Obraziła się na śmierć. Zarzekała, że jeszcze jej pokaże. Będziesz błagać o możliwość audyencji, jak zostanę królową. Królową świata.

Ale to siostra miała rację.

Od pewnego czasu dzwoniła do niej z telefonu na kartę, żeby tylko usłyszeć jej głos. Nie odzywała się. Milczały tak czasem dłuższą chwilę i obie wiedziały, kto jest po drugiej stronie. W końcu siostra powiedziała, żeby się nie wygłupiała. Powiedziała też, że jej wybacza, i żeby ona wybaczyła.

„Zostaw tę Warszawę i przyjeżdżaj do domu. Przestań to robić. Wróć”.

Wrócę.

Ten ostatni raz i wrócę.

Mocne postanowienie.

W Sheratonie była pół godziny przed czasem. Miała na sobie czerwoną suknię wieczorową i perłowy szal. Dziwne zestawienie prosto od D&G. Osiem tysięcy pięćset za zestaw. Jak na Polskę drogo, ale w porównaniu z cenami w Mediolanie, taniocha. Kupił jej ją jeden z poprzednich klientów, też piłkarz i też całkiem miły. Tyle że Polak.

Nasser spóźnił się niecały kwadrans, bezbłędnie rozpoznał ją dzięki czerwonej nitce na przegubie, przywitał się i obejrzał ją sobie uważnie.

– Piękna – pochwalił. – Jesteś piękna.

– Dziękuję.

Zjedli lekką kolację i poszli do samochodu Nassera. Prowadził jego ochroniarz. Nasser się nie odzywał. Nie była pewna, czy powinna go zagadywać, więc bąknęła coś pod nosem, na co odpowiedział jedynie olśniewającym uśmiechem białych jak śnieg zębów.

Nie musisz nic mówić, mała. Jesteś tu tylko w jednym celu. Towarzyszysz mi, a potem rozłożysz nogi. Tyle. Nie musisz nic mówić. Nie musisz udawać, że jesteś kimś innym, niż jesteś.

Czasem klienci zabierali ją na spotkania biznesowe, kolacje i imprezy, nie zdziwiła się więc, że Nasser nie poszedł z nią od razu do łóżka. Miał całą noc dla siebie. A może jeszcze więcej. Wedle życzenia. Możemy wsiąść do samolotu i polecieć na drugi koniec świata, by kochać się w lazurowej wodzie.

Skoro to ostatni raz, fajnie byłoby, gdyby był z przytupem.

Samochód wyjechał z miasta i wtedy po raz pierwszy się zaniepokoiła.

– Dokąd jedziemy?

Znów ten olśniewający uśmiech i zero słów.

Wtedy po raz pierwszy poczuła strach.

Światła miasta powoli gasły, a szyby odbijały już tylko jej twarz i promienny uśmiech Nassera. Gdy wjechali w lasy na zachód od Warszawy, mężczyzna wyjął niewielkie poślacane pudełko i gestem zapytał, czy ma ochotę.

Pokręciła głową.

Wysypał na dłoń odrobinę białego proszku i pociągnął nosem.

Znów się uśmiechnął.

Przestraszyła się, że zaraz każe jej pochylić się i wziąć go do ust, albo zatrzyma samochód

w lesie i poprosi o usługę na łonie natury. Przymknęła oczy i zaczęła się modlić.

Ostatni raz, siostrzyczko.

To jest mój ostatni raz.

Nigdy więcej tego nie zrobię.

Zaczęła liczyć w myślach i gdy otworzyła oczy przy stu, zobaczyła pierwsze światła.

Wjeżdżali na teren jakiejś zagubionej w lesie posesji. Drogę oświetlały latarnie stylizowane na zabytkowe. Podjazd wyłożony kostką miał wymalowane białą farbą miejsca parkingowe.

Większość była już zajęta przez inne luksusowe auta. Same bentleje, maybachy, jaguary i różne sportowe cudowniki, przy których limuzyny audi i mercedesa wyglądały jak biedniejsi bracia.

Nasser zatarł ręce, wysiadł z samochodu, otworzył jej drzwi i pomógł wysiąść. Kierowca oparł się na masce i przypalił papierosa.

Przed drzwiami czekał ochroniarz. Ukłonił się do Nassera, zdając się nie zauważać Hani.

Przeszli przez hol, w którym rozmawiało luźno kilka par. Mężczyźni mieli na sobie drogie garnitury, kobiety suknie. Hania poszukiwała w ich oczach jakiegoś porozumiewawczego błysku. Nie było go. To były normalne kobiety.

Kolejne twarze w dużej sali wypełnionej stołami z jedzeniem i alkoholem. Wymuskane, wypielegnowane, zadbane i... zwyczajne. Raczej średniej urody. Nie brzydkie, ale też takie zwyczajne. Te kobiety nie były prostytutkami. Żony i kochanki. Ale czy to czyniło je lepszymi, czy była różnica?

„Jesteś pieprzoną dziwką – usłyszała w głowie głos siostry. – Nie tłumacz się. Nie porównuj z nimi. One nie sprzedawały swojego ciała. Nie sprzedawały swoich serc i dusz”.

Ostatni raz. Obiecuję, siostrzyczko, to już ostatni raz.

Drzwi do głównej sali pałacu były ogromne i szeroko otwarte. Za nimi prawdziwy tłum bogaczy szumiał od plotek.

Boże, co ja tu robię.

Nasser przywitał się z kilkoma osobami, po czym wdał w dyskusję z jakimś starszym mężczyzną, którego imię Hania natychmiast zapomniała. Towarzysząca mu kobieta ciągle patrzyła ponad ramieniem Hani, jakby jej nie dostrzegała.

Wtedy zobaczyła coś dziwnego.

W klapie marynarki starszego mężczyzny widniał znaczek węża owiniętego wokół trójzębu. Identyczny miał w klapie Nasser. Spoglądała po kolejnych mężczyznach i wszyscy mieli ten sam znaczek.

Strach, chwilowo podtopiony, znów wypłynął na powierzchnię.

Tak bardzo chciała wrócić do domu.

Ale nie mogła.

Ostatni raz. To już ostatni raz.

Starszy mężczyzna nagle klepnął Nassera po ramieniu, objął go i obaj oddalili się w kierunku bocznych drzwi. Hania zamarła, miała wrażenie, że serce jej stanęło jak na stopklatce. Nie wiedziała, co robić. Towarzyszka „starszego” zobaczyła kogoś i z uśmiechem także zniknęła jej z oczu. Dziewczyna została sama. Nikogo nie знаła. Nikt nie wydawał się nią zainteresowany. Wszyscy... jakby jej nie widzieli.

Może naprawdę nie widzieli.

Próbowała kogoś zaczepić, ale ci ludzie zwyczajnie ją ignorowali.

Spokój, poczekaj, przecież jesteś wśród ludzi. Nic ci nie grozi.

Uff. Pewnie.

Nawet jeśli Nasser wróci, nic nie musisz. Możesz mu powiedzieć, że źle się czujesz. Możesz teatralnie zemdleć i poprosić o wezwanie karetki. Wszystko możesz.

Ostatni raz.

Wtedy dostrzegła jakiś ruch w końcu sali i zobaczyła Sonię. Jej twarz mignęła tylko na chwilę, ale Hania była pewna, że się nie pomyliła. Sonia. Muszę ją znaleźć. Ruszyła pomiędzy grupkami rozmawiających, przedzierając się przez tłum. W miejscu, gdzie zobaczyła Sonię, już jej nie było. Stała tam za to piękna kobieta w czarnej sukni z niezwykle głębokim wycięciem z tyłu. Było tak duże, że odsłaniało pośladki, na których nie było bielizny. Każdy mężczyzna przechodzący za kobietą zerkał, uśmiechając się ukradkiem.

Hania zatrzymała się w pół kroku.

Nie powinna z nią rozmawiać. Nieraz spotykała inne dziewczyny od Soni na przyjęciach i imprezach. Zawsze je rozpoznawała dzięki czerwonej nitce i zawsze trzymała się tej zasady.

Rozmowy z innymi dziewczynami były zabronione.

Jesteście w pracy, a nie na zabawie.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i utonęła w objęciach jakiegoś wysokiego mężczyzny. Znała go z telewizji, ale nie bardzo potrafiła sobie przypomnieć dokładnie skąd. Może prezenter, a może aktor. Nie, chyba jednak sportowiec. Biegacz. Tak, chyba biegacz.

Odwróciła się i omal nie krzyknęła.

Przed nią stał mężczyzna w białej masce na twarzy. On także miał w klapie marynarki znaczek. Krwistoczerwona muszka kontrastowała z czarnymi, szerokimi klapami fraka i białą koszuli. Usta były pokryte jakimś błyszczącym kremem podkreślającym ich czerwień. A może była to delikatna farba.

– Witaj, królowo nocy – szepnął teatralnym głosem.

Boże, tylko nie to.

– Jestem z kimś – powiedziała, próbując ominąć natręta.

– Wiem, kim jesteś. – Chwycił ją za ramię. – Teraz jesteś ze mną.

– Przyjechałam z Nasserem – odparła w panice. – O, jest tam!

Podążył za jej wzrokiem, nie puścił jej jednak.

– Takie są zasady. Teraz jesteś ze mną.

Ostatni raz.

Westchnęła.

– Co chcesz zrobić?

– To, co wszyscy. Ale najpierw... napijmy się.

Podał jej kieliszek białego wina.

Ostatni raz.

Zagryzła wargę, cmoknęła, a potem wychyliła kieliszek do dna.

Bardzo dziwnie smakowało to wino.

A potem już nic nie czuła. Wszystko stało się obojętne, rozlazłe, rozciągnięte w przestrzeni i czasie. Twarze, postaci, słowa. Bleeeeeueelleee. Tyle z nich rozumiała. Potrafiła kogoś, jedną osobę, drugą, w końcu sama upadła. Chyba. Nie czuła bólu ani strachu. W ogóle nic nie czuła. Była pozbawionym jakichkolwiek emocji kłębkim energii. Płynęła pomiędzy tymi ludźmi jak okręt pod pełnymi żaglami. Jak w tej cholernie głupiej piosence. Przynajmniej nie straciła resztki gustu. Ale co gust ma do przyzwoitości? Tyle co zabawa do snu.

Spać.

Chce mi się spać.

Głowa opadła, oczy umknęły pod powieki.

Ciemność. Ale nie upadała.

Szła dalej.

A to ciekawe.

Ciągle idę.  
Śpię, nie ma mnie, nie istnieję, a jednak idę.  
Ktoś mnie prowadzi.  
Ktoś na tyle silny, że nie upadam.  
Dość.  
Postawię się, nie pójdę dalej.  
STOP.  
Gównu nie stop, idziemy. Ciągle idziemy.  
Jakże trudno unieść do góry te powieki. Jak maskę w samochodzie terenowym u Kazika.  
Kazik, ratuj mnie, ktoś mnie otruł. Kazik. Jesteś tu?  
Kazik?  
A kim jest Kazik?  
Nie, do diabła. Nigdzie nie idę.  
Zachwiała się, odbiła od drzewa, przykleiła plecami do drugiego.  
Powieki w końcu posłuchały.  
Ale nie zobaczyła nic. Było za ciemno.  
Głosy gdzieś w oddali. Po prawej stronie. Stamtąd odeszli. W las. Po co prowadzisz mnie w las, człowieku?  
Ale człowieka nie było nigdzie w zasięgu wzroku.  
Omiotła spojrzeniem przestrzeń.  
Przecież czułam, że ktoś mnie prowadzi.  
Sama nie dałabym rady.  
Ktoś tu był.  
Kto?  
– Kto tu jest?  
Naprawdę to powiedziała? Więc może nie jest tak źle. Może to coś, co jej podano, nie działa długo. Usiądzie na chwilę, przeczeka, przejdzie jej.  
Może to halucynacje.  
Może nikogo nie ma.  
Biel.  
Biel w ciemności.  
Daleko i nagle całkiem blisko.  
Biel skacząca jak królik. Ale to nie królik. To maska. Czarne oczodoły.  
He, he.  
Nie przestraszysz mnie.  
Wiesz, ile takich masek było na mojej studniówce?  
A każda chciała, żeby jej obciągnąć.  
Tylko o to ci chodzi?  
Jeśli tak, to nie ma sprawy. Mogę ci obciągnąć.  
Dziś każda małolata robi laskę, więc co mi tam. Lepsze to, niż dać się wydymać nie-wiadomo-komu, nie-wiadomo-gdzie, nie-wiadomo-za-co. Sama to wymyśliłam. Taki kurwa wierszyk.  
Niezapawny.  
No, powiedz coś?  
Nie powiedział.  
Zbliżył się do niej, oddalił, a potem nagle wziął zamach.  
I wtedy wszystko przyspieszyło. Wszystko, kurwa, stało się dzikie jak Dzikie Zachód.



Gość w masce ruszał się jak jebana kukła poruszana sznurkami.  
Pierdolona pacynka.  
Odchylał się i uderzał. Odchylał i uderzał.  
A młot rąbał ją prosto w ryj. Rozkwaszał usta. Rozpierał głowę.  
A jej, kurwa, nic nie bolało.  
Nic a nic.

Siedział na schodach, przed wejściem. Trzymał wino i paczkę papierosów. Mimo otwartego okna mocno cuchnęło spalonym tytoniem.

– Cześć, Romeo. Długo tak siedzisz?

Spojrzał na przegub dłoni. Nie miał zegarka.

– Wciąż za krótko, by zrezygnować.

Usiadła obok i położyła głowę na jego ramieniu.

– Dasz papierosa?

– Pewnie.

Zapalili.

Gitanesy, takie jak najbardziej lubiła i których już od dawna nie można było nigdzie dostać.

Ściągnął je specjalnie dla niej.

Znalazł w sieci i sprowadził.

Kochany Romeo.

Romeo palący papierosy. Ależ mam na ciebie zły wpływ. Czego złego cię jeszcze nauczyłam i czego nauczę? Może powinieneś trzymać się z dala od takich złych kobiet jak ja. Wiem, wiem. Zaraz powiesz, że to właśnie cię przyciąga i pociąga. Nie ma fajnej miłości, gdy nie włożymy cierni pod prześcieradło. Jeśli wszystko dzieje się jak trzeba, z jednego punktu do drugiego, bez przeszkód i prób, za łatwo i za prosto, aż do dnia, gdy mówimy sobie coś, czego raczej nie rozumiemy, wtedy nie ma tego czegoś, co naprawdę rwie i szarpie duszę, przebija serce, potrząsa nami z całą swoją demoniczną mocą.

Miłość, najpiękniejszy i najbardziej przerażający z demonów.

– Nikt cię stąd nie pogonił? – Wskazała na zakaz palenia wiszący na ścianie.

– Dzisiaj? Jeszcze nie.

– Byłeś tu wczoraj?

Kiwnął głową.

– I nie pytasz, gdzie byłam ja? Dlaczego nie wróciłam na noc?

– A czy to ważne? Ważne, że teraz jesteś.

– Lubię, gdy tak mówisz. – Uśmiechnęła się.

– Lepiej by zabrzmiało, gdybyś powiedziała: lubię cię. Po prostu.

– Chciałbyś, żebym tak powiedziała?

– Tak.

– To może sam sobie to powiedz.

Palili do końca w milczeniu.

– Dobrze mi u ciebie – rzekł Romeo.

– Nie jesteśmy u mnie.

– Dobrze mi z tobą.

Przyłgnęła do niego, wtuliła się w to słabe, młodzieńcze ciało dzieciaka-nie-mężczyzny i poczuła się nagle zupełnie inną osobą, normalną dziewczyną na wakacjach, ze swoim facetem, z plecakami, z seksem pod namiotem i w plenerze, ze śliską ścieżką w górach, lenistwem na plaży, ukradzioną butelką mleka w wiejskim sklepie, zagubionymi pomiędzy ciuchami prezerwatywami, tanim winem, piwem w kuflu, tańcem na kamiennym tarasie przydrożnego baru, porozumiewawczymi uśmiechami i spojrzeniami, których w żaden sposób nie trzeba tłumaczyć.

Tego wszystkiego nie będzie.

Nigdy.

To nie było jej przeznaczone.

Stracone, zgubione, nie-ma i nie-istnieje.

Nieprawda.

Po trzykroć nieprawda.

– Ja też cię lubię.

Ranek nadszedł za szybko. Romeo był nagi i spał. Ona nie spała. Patrzyła na nagie ciało mężczyzny i myślała, że powinna być szczęśliwa. Rzadko spotyka się takiego faceta jak on. Warto cenić takich mężczyzn-chłopców, nawet jeśli są za młodzi, żeby myśleć poważnie. Czy zawsze jednak trzeba być rozsądnym? Czy rozsądek nie zabija spontaniczności i pozytywnego szaleństwa? Tak, Romeo, bądź, jaki jesteś. Taki mi jesteś potrzebny. Poszła do kuchni, włączyła ekspres. Czekając, aż zielona lampka przestanie migać, patrzyła przez okno na gołębie siadające na dachu. Jeden, dwa, trzy, a po chwili już piętnaście. Jak w tym filmie, w którym Rod Taylor próbuje ratować Tippi Hedren i nie chce jej przelecieć. To nie te czasy. Ptaki mogły dziobać w oczy, ale bohaterowie megaprodukcji nie mogli się pieprzyć. Nie to co dziś.

A wy co, zwiastujecie, że zaraz stanie się coś złego?

Komórka leżała na blacie. Bateria dawno się rozładowała. Poszukała ładowarki, podpięła ją do prądu i przytrzymała zielony guzik. Ekran zaświecił na niebiesko i załadował sieć bez żądania PIN-u. Niemal równocześnie komórka oszalała od przychodzących wiadomości.

Rodzki, naprawdę się stęskniłeś.

Zamiast czytać esemesy, wybrała numer.

– Co się stało?

Rodzki odetchnął z ulgą.

– Gdzie się podziewałaś?

– Nie twoja sprawa. Co jest?

– Zginęła kolejna dziewczyna.

– Cholera.

– Szef chce odwołać akcję.

– Co na to Lisicki?

– Chyba się z nim zgadza, bo to on przekazał mi jego decyzję.

– Nie możecie tego zrobić.

– Ktoś stracił życie, Mariko – przypomniał. – Nie bawimy się w żadną grę.

Milczała.

– To już siódma, razem z Olgą. Siódma, o której wiemy, a kto wie, ile zaginięć nie zostało zgłoszonych, a zabójstw nieodkrytych. Musisz zrozumieć, Mariko... Kiedyś była taka sprawa gościa, którego zatrzymano z podejrzeniem dwóch zbrodni, a okazało się, że ma na koncie ponad trzydzieści zabójstw, przyznawał się zaś do prawie stu. Co jeśli i tu tak jest? Jeśli giną jakieś Ukrainki, Rumunki i inne... niepotrzebne, a nam się wydaje, że to nie aż tak dużo? Nie wiemy, co to za drań, może naprawdę wielki drań... Musimy wszcząć oficjalne śledztwo, rozpocząć wszystko od początku, po bożemu... Zacząć robić tak, jak chciałaś, jak trzeba...

– Zepsujecie wszystko, co osiągnęliśmy dotąd. Jestem już bardzo blisko...

– Obawiam się, że decyzja już zapadła.

– Nie pozwól na to, jestem już blisko, tak blisko – powtórzyła. – Wiemy bardzo dużo.

Jeszcze chwila i znajdę tego, kto kręci tym całym biznesem. Kto jest na samej górze. W moim ulubionym filmie bohater powtarzał ciągle: „Na górze jest jeden facet”. Zaraz będę go miała.

– Przykro mi.

– Rodzki.

– Tak?

– Porozmawiaj z nim. Porozmawiaj z szefem i wytłumacz mu.

– Wątpię, żeby to coś dało. Chce nagłośnić sprawę, puścić przeciek do mediów, a potem rozpocząć aresztowania i odtrąbić sukces. Oto media odkryły aferę, nad którą służby specjalne pracowały już po cichu od miesięcy. I proszę, są efekty. Siatka stręczycieli złapana na gorącym uczynku. Siatka dowodzona przez znanego byłego sportowca, świetnego wyścigowca, słynnego salonowego wirtuoza Brochwicza. Będzie głośno, wszyscy będą o tym mówić.

– A nikt nie skupi się na tych dziewczynach, co?

– Efekt uboczny sprawy Brochwicza.

– A jeśli on nie ma nic wspólnego z morderstwami? – Marika zawahała się, czy powiedzieć Rodzkiemu o rozmowie z Szamocką. Nie, na razie nie.

– Kogo to obchodzi? Ważne, że będzie winny stręczycielstwa.

– Nie ma dowodów, że czerpie z tego korzyści.

– Wystarczy, że jest znany. Gównu się do niego przyklei. Mamy dowody, o jakich można tylko pomarzyć. Z pierwszej ręki. Nagrania, zdjęcia, rejestry, pamiętniki, zeznania. Też będziesz bohaterką.

– A te zabite dziewczyny?

– W cieniu sukcesu prokuratura rozbroi bombę. Siatka złapanych stręczycieli jest zamieszana w serię zabójstw młodych kobiet. Pracujemy nad sprawą i wkrótce powinniśmy mieć efekty. No ale tu przecież trzeba trochę poczekać, bo to sprawa innego kalibru. Świetne wyjście z sytuacji, nie sądzisz? Nikt nie zarzuci nam niemocy, a będziemy mogli oficjalnie zacząć ich szukać.

– Nie możecie tego zrobić – powtórzyła, myśląc intensywnie nad rozwiązaniem.

– Postanowione, już ci mówiłem.

– Dajcie mi parę dni. Chociaż tydzień.

– Nie. Jutro będzie konferencja.

Cholera, niedobrze. Marika zacisnęła mocniej dłoń na telefonie i raptem wpadła na pomysł. Wiedziała już, co musi zrobić.

– Nie będzie żadnej konferencji – powiedziała z naciskiem.

– Tak? Od kiedy to ustalasz harmonogram? Zostałaś generałem? Nie wiedziałem...

– Idź do tego swojego szefa i powiedz mu, żeby wszystko odwołał, bo inaczej...

– Co inaczej?

– Sama zrobię konferencję – wypaliła.

Rodzki nie odpowiedział. Pewnie nie wiedział, czy Marika blefuje, i musiał to przeanalizować.

– Rozkaz jest wyraźny... – zaczął.

– Gównu możesz mi rozkazywać. Nie pracuję dla was. Pracuję dla siebie.

– Ale...

– Jeśli zakończycie operację, pójdę do mediów i opowiem im wszystko. Od początku do końca. Dowiedzą się, jak to pozwoliliście ginąć dziewczynom, żeby zebrać dowody, dowiedzą się wszystkiego. O mnie, o... Oldze i tym twoim ministrze, którego syn jest w to zamieszany. A także o waszej pierdolonej hipokryzji i gierkach z mediami.

– Do diabła, Mariko...

– Powstrzymaj Lisickiego, a będę grzeczna, obiecuję.

Rozłączyła się. Wiedziała, że wygrała. Lisicki nie zaryzykuje takiej wpadki. Tym bardziej ten jego szef, chuj minister. Każdy minister to chuj. Pieprzona władza. Nienawidzę władzy. Musicie uważać i następnym razem wymyślić coś lepszego, albo postawić mnie przed faktem dokonanym. Tyle że wtedy dopiero mogę być nieobliczalna.

Do diabła z wami wszystkimi.

Całe przedpołudnie oglądała wiadomości, najpierw w telewizji, a potem na laptopie. Żadnej informacji o nagłej konferencji ministerstwa spraw wewnętrznych czy prokuratury. Wygrała. Nie odwołali akcji i nie spalili jej medialnie. Mogła robić swoje. Czy jednak to będzie lepsze? Coś wewnątrz niej zaczęło się gotować. Zawsze musi tak być, zawsze jak coś wymyśli, pojawia się ta niepewność. Lepiej nie myśleć, tylko działać.

Łatwo powiedzieć.

Pewnie, że łatwo.

Do czego będziesz zdolna, żeby dokonać swojej zemsty?

Nie o zemstę tu chodzi.

A o co?

Najlepsze są dyskusje z własnym sumieniem. Nie można go po prostu zdzielić w pysk i zamknąć. Choćbyśmy nie wiadomo jak się starali. Cholerne sumienie.

Romeo poszedł przed obiadem. Zapytał, czy może wrócić na następną noc, pojutrze, a ona powiedziała, że oczywiście.

– Co nie znaczy, że mnie zastaniesz.

– Klatka schodowa też jest niezła. Sąsiedzi przyzwyczaili się chyba do palenia.

Dała mu klucze.

– Tylko sobie nie myśl. To nic nie znaczy.

– Nie myślę sobie.

Poszła spać wcześniej tego dnia i wstała dopiero nad ranem. Była czwarta, tuż przed świtem. Biegała godzinę, aż znalazła swoją ulubioną maleńką oazę w parku nad rzeką. Upewniła się, że nikt jej nie widzi, i po krótkiej rozgrzewce oraz rozciąganiu walczyła przez chwilę z cieniem, skupiając się na kombinacjach i nieczystych ciosach, jakich nauczyła się kiedyś w poprawczaku, a potem na kursach prowadzonych przez największe zabijaki.

Stanuch. On był chyba najlepszy ze wszystkich w te klocki.

Niski, niepozorny, krępy i ruchliwy. Mocna szczeka i jeszcze twardsze jaja. Oczy wpatrzone w punkt, hipnotyzujące. Po tym spojrzeniu przeciwnicy rezygnowali. Jeśli nie, szybko ich wykańczał.

Zawsze zadajesz cios pierwsza.

Jeśli to możliwe, w czułe miejsce.

Krtań, skroń, jaja, kolano.

Z czuba, w rzepkę. Mocno. Z całej siły.

Chroń kości, szukaj słabych punktów, a nie siły.

Siła kosztuje, wyczerpuje, źle wykorzystana jest początkiem porażki. Nieprzypadkowo Japońce wpadli na pomysł, by wykorzystywać siłę przeciwnika. Bach, bach i koleś leży powalony własną krzepą. Dla takich kruchych dziewczyn, ale nie tylko, siła to niebezpieczeństwo. Możesz złamać kość. Może załatwić cię własny ból.

Szukaj sprytu.

Jesteś tylko babą. Pamiętaj.

Prawy lewy, kopniak. Kant dłoni wymierzony w grdykę. Odskok. Kopnięcie. Mocne, wysokie i niskie.

Nie daj się sprowadzić do parteru. A jeśli już, szukaj oczu. Nie ma oczu? Są za wysoko? Dobrze je chroni? Są inne słabe punkty. Dobrze je znasz. Gardło, pachwina, skroń. Kolano. Pozorowany słaby atak i siła na kolano lub w jaja.

Nie miej litości.

Ty albo on.

Pomiędzy wami nie ma miejsca na litość.  
On jej nie okaże, ty przegrasz, jeśli spróbujesz.  
Stary dobry Stanuch.

Przymknęła oczy i zobaczyła jego okoloną gęstą brodą twarz ze starych zdjęć. Człowiek miś. Wspaniały kompan. Bestia w boju. Rok po ich wspólnym obozie mina urwała mu nogę. Powinien się cieszyć, że przeżył. Chciała go odwiedzić, ale odmówił. Nie wpuścił jej do domu. Krzyczał, że nie chce nikogo widzieć.

Nie potrzebuje litości.  
Nie ma przyjaźni.  
Ten świat jest zły. Przyjaciele to oszuści.  
Nieprawda.

Tak bardzo chciała go przekonać, że to nieprawda.  
Stanuch znikł i zastąpiła go roześmiana buzia Olgi.  
Zawiodłaś mnie, siostrzyczko.  
Bardzo mnie zawiodłaś.

Nie jesteś moją siostrą – odpowiedziała buzia Olgi, poważniejąc. – Nic ci do mnie. To moje życie. Sama decyduję. Sama, rozumiesz!

Tak, sama.  
Cholerny świat.

Wróciła do domu, wzięła prysznic i bez śniadania wyszła na miasto. Kupiła w sklepie suchą bułkę i butelkę kefiru. Usiadła na ławce pod starymi murami zamkowymi. Zjadła śniadanie i pożałowała, że nie wzięła kawy w puszcze. Miała ochotę na kawę.

Rodzki nie dzwonił. Może właśnie straciła partnera. Znów została sama. Cholera. Wcale nie była blisko rozwiązania sprawy. Wcale nie wiedziała za wiele. Nagle coś ją napadło i nie mogła tego odgonić. Nie mogła dłużej tak czekać. Podbiegła do przystanku autobusowego i wsiadła do pierwszego lepszego pojazdu. Wszystkie jechały tam, gdzie potrzebowała. Przy ministerstwie wciąż były rozkopy. Wielkie góry piachu i kamieni wyrastały przy pachnących gliną rozkopach. Dźwigi, wiertła, rury i huk maszyn pracujących pod ziemią. Drżała, gdy coś tam na dole wwiercało się w nią, wydierało kolejną daninę dla przemysłu złego człowieka, który nie docenia żadnej dobroci. Tylko bierze, zabiera, hejtuje. Ma w dupie tworzenie i pasję, miłość i słońce, zieleń liści i zapach rosy o poranku. On musi wziąć swoje, nazreć się, nawpierdalać.

Tak jak pieprzeni finansiści.  
W gajerkach i białych koszulach.  
Ze złotymi zegarkami na przegubach.  
Z laptopami wypełnionymi dziecięcą pornografią w torbach.  
Nienawdziła ich.

A jednak działała dla systemu, który bronił tę całą gromadę śmieci.  
Jakiś młody mężczyzna uśmiechnął się do niej i zapytał, czy może w coś pomóc.  
– Nie – warknęła.

Odszedł bez urazy. Podszedł do jakiejś dziewczyny i powiedział coś śmiesznego, bo zaczęli się śmiać oboje. Tak ładnie wyglądali. Jak para, która zasługuje na miłość. Może więc jesteś niesprawiedliwa? Dlaczego zarzucasz wszystkim rzeczy, o których nic nie wiesz? Dlaczego stosujesz odpowiedzialność zbiorową?

To jednostki są złe, a nie pokolenia.  
Zboczeńcy, a nie ich środowisko.  
Bandziory, a nie nauczyciele, którym się nie udało.  
System jest zły, ale w systemie jest sporo dobra.

Jak tych dwoje.

Oni byli dobrem.

Zarejestrowała się w recepcji i powiedziała, że jest umówiona z Sylwią Mlecz. Czekala. Jeśli Sylwia nie jest suką, zejdzie do niej, zgodzi się porozmawiać. Tym bardziej tu, w ministerstwie, gdzie jest bezpieczna.

Po chwili wyszła z windy. Ale nie zaprosiła jej do pokoju.

– Chodźmy na zewnątrz.

Dopiero gdy usiadły w kawiarni naprzeciwko, spojrzała jej w oczy.

– Zwariowałaś? Dlaczego przyszłaś do mnie do pracy?

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

– Nic więcej nie wiem.

– Nieprawda, kłamiesz.

– Co ty... wiesz...

– Olga... kochałaś ją. Ja też ją kochałam. Muszę ją znaleźć.

– Nic nie wiem.

– Co ukrywasz?

Nie bała się. Patrzyła odważnie i z rosnącą złością. Choć... to chyba nie była złość, raczej pewność siebie, jakby przekonanie, że robi dobrze. Nic nie możesz mi uczynić, bo to ja jestem górą, to ja mam rację, to ja jestem po jasnej stronie. A kogoś, kto wierzy w takie rzeczy, niełatwo wystraszyć, nacisnąć, przekonać do czegoś innego. To jak w polityce. Albo w policji, a nawet w poprawczaku. Ludzie tam znajdują sobie swoje fiku-miku i nie ma że boli. Oni są jądrem atomu, wokół którego wszystko ma się kręcić. Marika zrozumiała, że nic nie uzyska. Wtedy raptem Sylwia nachyliła się do niej i szepnęła, powoli cedząc słowa:

– Przestań drażnić ten temat.

– Dlaczego?

– Jeśli chcesz pomóc Oldze, przestań go drażnić.

Marika złapała jej dłoń, jednak w oczach Sylwii dostrzegła ponownie tę nieprzejednaną moc, która dodawała jej sił i której nikt nie mógł pokonać. Była równie silną kobietą, co Marika. Jej mniejszą kopią. Upartą i nieprzejednaną.

## Część trzecia – Polityka



Dawno nie była na komisariacie. Szła za Rodzkiem ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Jedne drzwi, drugie, kolejny korytarz, w którym ich kroki długo dudniły, odbijając się od falujących ścian. Korytarz dobry do horroru. W pokoju czekał już Lisicki i dwóch innych gliniarzy albo agentów, których nie знаła. Nie przywitali się. Właściwie chyba nawet nie zauważyli, że weszła.

Na stole leżały porzucane zdjęcia wszystkich dziewczyn i różne dokumenty. Tablica na ścianie została zapisana czarnym mazakiem. Pokraczne, krzywe litery opisywały okoliczności, zakreślały wyliczenia i minimapki, wyróżniały hipotezy, które równie dobrze można było skreślić.

Jedna ze ścian była niemal całkowicie wypełniona ogromną szybą. Za nią Sonia Trybacka z lekceważeniem żuła gumę. Nie miała na sobie ani bryczesów, ani sukienki w groszki. Kremowy żakiet kontrastował z czerwoną bluzką.

Stukała o blat stołu paznokciami ozdobionymi wszystkimi kolorami tęczy.

Nie widziała ich, bo z drugiej strony ściana wyglądała na ścianę. Lustro weneckie.

– Konsekwentnie odmawia zeznań – mruknął Rodzki.

Marika wzruszyła ramionami.

– Nie posłuchaliście mojej... rady – odparła. – Byłam naprawdę blisko.

– Wciąż... nie jesteś spalona. – Rodzki zachował spokój. – Musieliśmy ją zatrzymać, bo to ona przywiozła na przyjęcie ofiarę. Może ją widziałas.

Pokazał Marice zdjęcie dziewczyny w sukni odkrywającej pupę. Skinęła głową.

– Widziałam – przyznała. – Wyszła z Sonią.

– Wiemy. Ty poszłaś z Szamocką. – Lisicki uśmiechnął się kąśliwie. – Masz alibi.

Marika usiadła przy stole i poszukała wzrokiem zdjęć nowej ofiary. Nie było ich tu.

– Zmasakrował jej twarz?

Rodzki podszedł do szafki obok i wziął z niej teczkę wyglądającą na całkiem nową. Otworzył ją, wyciągnął kilka zdjęć i rzucił przed Marikę.

Ofiara miała tak skatowaną, zniekształconą twarz, jakby przejechał po niej walec drogowy.

– Pęknięcie czaszki w szesnastu miejscach, pogruhotana szczeka, nos, mocno stłuczone kości policzkowe, zmiądzona grdyka... Ten potwór musiał bić ją z godzinę. To była setka uderzeń, może więcej. Paskudnie to wygląda.

Marika zerknęła w stronę szyby.

– No i co z niej wycisnęliście?

– Już mówiłem, że nic – zaczął Rodzki, jednak Lisicki przerwał mu gestem.

Usiadł naprzeciwko Mariki.

– Przekazano mi twoje... ultimatum.

– No i?

– Przyjąłem je. Puścimy Sonię i nie będziemy o niczym informować mediów. Ale tym razem nie możemy już udawać, że nic się nie stało.

– Dotąd wychodziło wam to całkiem nieźle – zakpiła.

Lisicki zachował kamienne oblicze.

– Machina czasu ruszyła – mruknął. – Miej tego świadomość.

Skinęła głową.

Lisicki patrzył na nią jak na zjawisko.

– Ty nic nie rozumiesz, prawda?

– Co mam rozumieć?

– Nie wiesz, gdzie wczoraj byłeś?

Spojrzała na niego, a potem na Rodzkiego. Uciekł wzrokiem, podstawił sobie krzesło i usiadł, bawiąc się długopisem.

– Nie – przyznała.

– Nie interesujesz się polityką, prawda? – Lisicki uśmiechnął się drwiąco.

Wzruszyła ramionami.

– Powiedz wreszcie, o co chodzi.

– Przyjęcie, na którym byłeś, organizował sam premier. Dokładniej, jego kancelaria. Była tam masa polityków i szych wszelkiej maści. Morderstwo niezbyt dobrze robi sondażom.

– Powtarzasz się. Ale przecież do morderstwa doszło na innym przyjęciu.

– To drugie też organizował nie byle kto, bo... prezydent – oznajmił Lisicki. – Jego też obchodzą sondaże.

Prezydent, premier, całe morze notabli, wielkie pieniądze. I co z tego? Śmierć jest śmiercią, mord mordem. Tego nic nie zmieni.

– Dobra, no i co w związku z tym?

– Tylko tyle, że mamy naprawdę niewiele czasu, zanim rozpocznie się prawdziwe polowanie na czarownicę. A wtedy już nie będzie żadnej taryfy ulgowej. Do tej laski i całego tego brudnego biznesu dobiorą się wszystkie możliwe sepy, media, służby, inne. My wolimy kameralne obrazy, a nie takie epickie superprodukcje, ale nic na to nie poradzimy.

– W superprodukcjach musi zginąć jakiś ważny dla fabuły bohater, a tego nie chcemy – dodał jeden z nieznanym.

– W takich filmach ginie też więcej policjantów. – Rodzki wziął Marikę pod ramię i wyszli.

– Buce – warknęła do niego Marika, gdy odeszli już wystarczająco daleko. Korytarz jakby się skurczył, zwęził, niczym żywa materia. Punktowe światełka z trudem przedzierały się przez mrok.

– Buce, ale przynajmniej jasno się wyrażają. Od przyszłego tygodnia będzie tu megaśledztwo, media, prywatni detektywi, cała ta karuzela, która nie pozwala na spokojne badanie sprawy. Jeśli nie znajdziemy do tego czasu Olgi, może być naprawdę źle...

Marika zawahała się.

– Nie wiem, czy wciąż chcę jej szukać.

– Dlaczego?

Może powinna mu powiedzieć? Rodzki był przyjacielem. Przynajmniej wydawało się, że nim jest. Musi na kimś polegać. Sama nie da rady. Nie będzie w stanie uratować Olgi. Musi znaleźć sojuszników. Rodzki był sojusznikiem, Lisicki wrogiem. Zaufaj mu, do cholery.

– Przeczucie – burknęła.

– Nie rozumiem.

Zatrzymała się i wskazała za siebie, na pokój, z którego wyszli.

– Nie ufam im.

Rodzki milczał.

– Coś tu nie gra – dopowiedziała. – W całej tej sprawie coś nie gra. A jak czegoś nie rozumiem, wolę odsunąć się na bok i poczekać.

Odniosła wrażenie, że Rodzki ma ochotę ją przytulić i pogłaskać po głowie.

– Chodź, pójdziemy na piwo.

Przeskoczyli przez ulicę i ruszyli w dół, w kierunku parku. Stanowili dziwną parę. On stary, wielki, nieforemny, sterany życiem i doświadczeniami. Ona piękna, powabna, młoda. Tylko oczy mieli podobne. Odważne, mądre, silne. Oczy ofiar, które przewyciężyły przeciwności. Pokonały oprawców, pułapki, okrutne żarty i wyzwania losu. Mimo różnicy wieku oboje byli już zahartowani, mieli stalowe serca i wewnętrzną siłę, która pokonywała strach, zanim ten zdążył wychynąć zza rogu.

Rodzki pchnął drzwi niewielkiego pubu, który otwarto w podziemiach po jakimś budynku użyteczności publicznej, i przepuścił Marikę. W środku nikogo nie było. Barman czyścił szklanki i sprawdzał butelki, przygotowując się na wieczór. Skinął głową Rodzkiemu. Znali się. Wyglądało na to, że komisarz zagląda dość często do kieliszka czy kufla. Każdy ma swoje problemy...

Zamówili duży dzban jasnego pszenicznego piwa i usiedli w rogu.

Rodzki nic nie mówił. Coś go gryzło. To było widać jak na dłoni.

Jednak porządny z niego facet, pomyślała Marika. Nie świnia.

– No powiedz wreszcie – szepnęła.

Najpierw przypalił jej papierosa, potem sam sięgnął do paczki. Zaciągnął się dymem i przerzucił zapalniczkę w palcach.

– Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda – zaczął wreszcie.

– Domyśliłam się.

– Zanim cię... zaangażowaliśmy, Olga miała status poszukiwanej.

Spojrzała, nie bardzo rozumiejąc. Wciąż przecież jest... poszukiwana.

– Wydano za nią list gończy – dodał.

– Nie rozumiem.

Rodzki skrzywił się, odetchnął dwukrotnie i dopiero wtedy powiedział:

– Prokurator chciał postawić jej zarzut morderstwa i zamknąć ją na trzy miesiące.

W sumie nie zaskoczyło jej to. Czowała, że coś jest nie tak. Nie ponaglała Rodzkiego. Skoro zaczął mówić, niech dokończy. Tylko dlaczego, do kurwy nędzy, ją w to wplątano? Dlaczego przyszłście i wcisnęliście mi kit, który teraz smakuje bardzo gorzko? Czy naprawdę myślisz, że ujdzie ci to bezkarnie?

– Mariko, sprawa Olgi zaczęła się nieco inaczej, niż ci ją przedstawiliśmy. Jak pamiętasz, Olga przez dłuższy czas była współlokatorką jednej z ofiar naszego... seryjnego, Katii Husin. Według zeznań sąsiadów dziewczyny zachowywały się prowokacyjnie. Chodziły objęte, trzymały się za ręce publicznie, całowały na ławce, wyglądały jak kochanki. Nieraz Olga pokazała palec jakiejś staruszce, gdy ta popatrzyła na owo ostentacyjne wyrażanie uczuć zbyt, hm, krytycznie... Gdy Katia została zamordowana, prokurator uznał, że Olga może być nie tylko ważnym świadkiem.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć... – zaczęła Marika, ale Rodzki jej przerwał i dokończył to, czego się i tak spodziewała.

– Skoro zniknęła, należało uznać ją za główną podejrzaną.

– Olga nie jest morderczynią.

– Uciekła z miejsca zbrodni.

– Skąd wiesz, że uciekła?

– A widzisz ją gdzieś tutaj? Takie założenie nie było błędem w sztuce. Zawsze mordercy szuka się w kręgu bliskich, z prostym motywem, a nie z jakąś łamigłówką. Ponadto prokurator nie miał pojęcia o innych podobnych sprawach, bo te były kryte, hm, nie bez przyczyny.

Marika spojrzała czujnie.

– Pierwsza ofiara, prawda? Ten nieszczęsny syn polityka?

Rodzki skinął głową.

– Michał, syn Dariusza Zwary, był chłopakiem pierwszej ofiary, stąd obecność w naszym śledztwie ABW i Lisickiego. Stąd też trochę... przekłamań.

– Jakich?

– Pierwsza ofiara, Łucja, była luksusową prostytutką i jednocześnie dziewczyną Michała Zwary. On nie wiedział o tym, że jego piękna modelka tak sobie dorabia. Poznał ją w jakimś klubie, zakochał się. Jednak nie przestał korzystać z usług Soni, choć twierdzi, że to miał być ostatni raz. Nie zliczę, jak często widywałem te ostatnie razy.

Rodzki odetchnął, przypalił kolejnego papierosa i wypił niemal całą szklankę piwa na raz.

– Wybrali się z przyjaciółmi do zapomnianego rządowego kurortu, gdzie zamówili sobie dziewczyny – podjął. – Michał na swoje nieszczęście opisał w oczekiwaniach piękną Łucję i ją dostał. Nie kopię, tylko prawdziwą Łucję, w której tak bardzo się zakochał. Wierzyć czy nie, chłopak sprawia wrażenie dość rozsądnego i... miłego, w przeciwieństwie do ojca. Sądzę, że nie kłamał.

– Co się naprawdę stało?

– Michał twierdzi, że gdy zobaczył Łucję, trochę mu się wszystko zaważyło. Brał narkotyki i pił wódkę. Urwał mu się film, gdy był na plaży, i nic nie pamięta. Obudził się w domu.

– W raporcie nie ma mowy o narkotykach i alkoholu – szepnęła Marika.

– Ani o tym wszystkim, o czym mówię. Tatuś i Lisicki zadbali, żeby nie było, by pozostawić światu jedynie prostą opowieść. Zeznanie grzecznego chłopca nie do podważenia. Jest więc gładka historia o tym, jak tajemniczy seryjny zabójca morduje młodą dziewczynę, modelkę, a biedny chłopak w tym czasie jest w domu i nic nie widzi. Wszystkie zeznania są odpowiednio spreparowane, a sprawa zamknięta. Złośliwi mogą dopowiedzieć, że do tej teorii nagle zaczęto dopasowywać kolejne przypadki...

– Mordercą może być więc syn Zwary...

Rodzki uśmiechnął się.

– Nie ma tak prosto. Rozmawiałem z tym chłopakiem, jest szczerze przybity, zdruzgotany. Wciąż, po niemal roku, ciężko mu się pogodzić z tym, co się stało. Całkowicie mi się rozkleił i wyplakał. Mówił, że kochał tę dziewczynę i że wybaczyłby jej to, co robiła. Ma do siebie wielki żal...

– Czyżby?

– Mariko, pracowałem kiedyś w obyczajówce. To wcale nie jest rzadki przypadek, że porządny gość żeni się z dziwką, wybacza jej wszystkie winy, a na koniec wybiela, ile się da. No i zostają szczęśliwą parą. Chcesz przykładów? Jest ich naprawdę sporo.

– Miłość to dobry powód, by zabić.

– Nie sądzę.

– To nie on zginął. Powinien mieć proces.

– Mariko, uwierz mi, zbadałem to na tyle, na ile mogłem, i uważam, że on jest rzeczywiście niewinny, że mówi prawdę. Wbrew temu, co nakazał mu ojciec, nie prosił o adwokata, nie ukrywał niczego. Powiedział wszystko, jak było, i to brzmi wiarygodnie. Zostawił tę dziewczynę samą w nocy na plaży i to jedyna jego wina. Za to się nikogo nie skazuje.

– A za mataczenie w śledztwie?

– I tu dochodzimy do sedna. O ile Michał jest moim zdaniem niewinny, o tyle mam już poważne wątpliwości co do jego ojca.

– Ojciec zabił dziewczynę syna?

– Nie. – Rodzkiego ten pomysł najwyraźniej rozbawił. – Ale nie mam pewności co do

dalszego ciągu.

– Jak to?

– Zwara to... groźny człowiek.

– Do tego stopnia, by zabić?

– Naprawdę strasznie śliski typ. Taki wąż wpełzający w każdy zakamarek, na tyle groźny, żeby wszyscy chcieli się z nim przyjaźnić zamiast kłócić, nawet jeśli tylko udają. Uważa się za bezpartyjnego fachowca od bezpieczeństwa i służb specjalnych. Romansuje i z prawicą, i z lewicą. W każdym rządzie dają mu jakąś funkcję. A to doradcy sejmowej komisji, a to szefa ekspertów przy premierze, a to głównego analityka rządowego studium strategicznego. Był też strategiem w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego i doradcą ministra obrony. Ten człowiek potrafi się znaleźć, zakręcić, ustawić. Mówi pięknie, kwieciście, uwielbia popisywać się pełnymi ozdobników przemowami, ale gdy zamilknie, naprawdę masz wątpliwości, czy to gangster, czy święty.

– Jaką masz więc teorię?

– Żadną, tylko nieśmiałe podejrzenia. – Dopił piwo i nalał sobie kolejną szklanekę.

– Jednak mi o nich opowiesz, prawda?

– Należy ci się. No więc cała ta teoria o seryjnym zaczęła mi mocno śmierdzieć przy czwartym zabójstwie. Ofiary były ze sobą powiązane, znały się, miały punkty wspólne. Zbyt dużo zbiegów okoliczności. Zabójca seryjny nigdy aż tak nie ryzykuje, nawet jeśli chce być złapany, a ten jest, hm, zbyt skrupulatny i bardzo dba, żeby mylić tropy. Zostawia mało śladów, dba o pozory, nie robi żadnych błędów. Typowy seryjny tak nie działa. Ale jest jeden typ zabójców, który dokładnie odpowiada temu profilowi.

– Zawodowiec.

Skinął głową.

– Ktoś wynajęty, żeby upozorować serię morderstw, jakby to robił jakiś psychopata, zboczeniec, sadysta. A ów sadyzm jest wybitnie upozorowany. Cóż, dlatego sądzę, że pan Zwara mógł maczać w tym palce. Ma wiedzę i znajomości, które z pewnością pomogły mu znaleźć właściwego do tego celu cyngla.

– Groźny przeciwnik. Jednak on wkroczył później. Kto zatem zabił Łucję?

– Skąd mam wiedzieć? Trzeba by przeprowadzić porządne śledztwo od nowa, a nie czytać retuszowane raporty, z których wynika tylko jedno: sprawca nieznany.

– A jaka w tym wszystkim jest rola mojej Olgi?

Rodzki długo zbierał się do tej wypowiedzi. Wypił trochę piwa, wyjął papierosa z paczki, ale chyba uznał, że za dużo już wypalił, bo schował go z powrotem.

– Z tego, co zeznał mi nieoficjalnie syn Zwary, zamówili u Soni trzy dziewczyny: Łucję, Marię Maidaną oraz Katię Husin. Wszystkie trzy nie żyją. Maria Maidana mieszkała z Kają Bartol, która zginęła wkrótce po nich, a Katia z twoją Olgą. – Chwycił kartkę, na której zrobił schemat. Każde z imion zakreślił okręgiem i połączył z innymi.

– Oto siatka zależności. – Rodzki chrząknął. – Te dziewczyny może znały prawdę o zbrodni w Grodnie, może groziły zarzutami Zwarze lub synowi.

– Jeśli nie zabił Łucji, to nie były przecież dla niego groźne.

– Nawet nie wiesz, do jakiego stopnia tacy ludzie jak Zwara potrafią być ostrożni i bezwzględni. Wystarczy, że stanowiły hipotetyczne zagrożenie, że mogły zeznać o tych narkotykach czy prostytutce, a już Zwara mógł je uznać za śmiertelne zagrożenie.

– Dla syna?

– Nie. Dla swojej politycznej kariery. Michał chciałby, żeby ta sprawa zakończyła się inaczej.

– Tak mówi, co nie oznacza, że to prawda.

Rodzki zadumał się.

– Może. Tak czy inaczej, ofiary naszego „seryjnego” są blisko powiązane i tu jest klucz do rozwiązania zagadki. Wszystkie dziewczyny pracowały w branży, przyjaźniły się i prawdopodobnie wszystkie sprzedawały się za pieniądze.

– I wszystkie nie żyją.

– Z wyjątkiem Olgi. Myślę, że twoja przyjaciółka żyje i się ukrywa. Jako że mieszkała z Katią, morderca sądzi, że może być zagrożeniem. Olga prawdopodobnie się zorientowała, że tak jest, i dlatego zniknęła.

Marika spoważniała.

– Lepiej by było, żebyśmy jej nie znaleźli – powiedziała wolno. – Dlaczego pozwoliłeś mnie w to wplątać? Dlaczego podawałeś fałszywe tropy? Po co? Co chciałeś osiągnąć?

Rodzki wytrzymał jej wzrok.

– Oni jej szukają, Mariko, i wcześniej czy później ją znajdą. Dlatego sądzę, że lepiej, żebyśmy to my ją znaleźli szybciej. Jestem po twojej... po waszej stronie. Razem możemy z nimi wygrać. Sam jestem skazany na porażkę. Wy też...

Może mówił prawdę. A może nie.

– Jednego nie rozumiem... – Marika się zawahała. – Skoro Zwara... likwiduje osoby, które mogą być dla niego politycznie groźne, to dlaczego nie zlecił zabójstwa Sylwii Mlecz? Przecież Olga bardziej ostatnio żyła z nią niż z Katią. Sylwia też może o wszystkim wiedzieć.

– Nie wiem, ale odpowiedź prawdopodobnie jest prosta. Może wierzą, że Sylwia jest na tyle mądra, żeby nie podkładać głowy pod topór, a może liczą na to, że wcześniej czy później doprowadzi ich do Olgi i wtedy będą mogli załatwić obie. Może już nie będzie to seryjny, tylko zdarzy się zwykły wypadek? W samochodzie pęknie opona albo wpadną w dziurę w ziemi.

– Dość spiskowa teoria.

– Masz lepszą?

Nie miała, do diabła. Poza tym wszystko, co powiedział Rodzki, miało sens.

A jednak czuła, że to jeszcze nie koniec.

Jechali na północ. Rodzki prowadził ostrożnie, podobnie jak wcześniej. Nie przekraczał prędkości i wyprzedzał, tylko kiedy musiał. Teren powoli z płaskiego i typowo rolniczego robił się pagórkowaty, zdziczały, znacznie mniej zaludniony. Szerokie, dobrze wyprofilowane ulice pomalowane białymi pasami stawały się coraz bardziej brudne i zniszczone. Pogoda też się psuła. Chmury rozlały się po niebie, zakryły ostatnie promienie słońca. Zaczął siąpić nieśmiały ciepły deszczyk.

– Boisz się jeździć?

– Nie. Lubię myśleć za kierownicą.

– I o czym myślisz?

– Że nie powinnaś więcej wracać ani do mieszkania na Miodowej, ani do Bristolu.

Marika nic nie odpowiedziała. Posmutniała. Wiedziała, że ma rację.

– Spróbuję jakoś zawiadomić tego twojego Romea, żeby tam nie przychodził.

Zatrzymali się po drodze w wiejskim sklepie wielobranżowym, gdzie Marika kupiła przybory toaletowe i trochę rzeczy.

– Nie płac kartą. – Rodzki wyjął gotówkę.

– Trochę to śmieszne. Nie gramy w filmie szpiegowskim.

– W filmie bohaterom zawsze udaje się przeżyć. Tu nie możesz być tego pewna.

– Jaki mamy plan?

Rodzki chciał od razu skupić się na poszukiwaniach Olgi, przekonywał Marikę, że trzeba ją znaleźć jak najszybciej, ale wymogła na nim dwie rzeczy.

– Muszę mieć dowód, że mówisz prawdę – ucięła protesty.

Na odwiedzenie Zwary Rodzki się nie zgodził. Uważał, że to zbyt niebezpieczne. Twierdził ponadto, że chłopak przebywa teraz prawdopodobnie w Hiszpanii. Zaproponował coś innego.

– Porozmawiamy z jego przyjaciółmi. Sama wyciągniesz wnioski.

Artur i Paweł, dawniej wraz z Michałem trzej muszkietierowie, podobno do niedawna nierozłączni, dziś mocno skłócen. Zbrodnia potrafi poróżnić najlepszych przyjaciół. Z notatek Rodzkiego, które dał jej do przeczytania, wynikało, że pierwszy z klubu wypadł Michał, którego ojciec zwyczajnie odseparował od przyjaciół. Artur i Paweł początkowo trzymali się razem, ale bez Michała nie mogli znaleźć wspólnego języka. W końcu pobili się w pubie i od tego czasu nie rozmawiali ze sobą.

– Skąd wiesz o bójce? – zapytała Marika.

– Było zgłoszenie właściciela baru. Zdemolowali mu lokal. Obaj wylądowali w areszcie.

– Kto zaczął?

– Nie wiadomo, odmówili zeznań. Wiesz, co jest ciekawe?

– No?

– Ktoś zapłacił za szkody i właściciel baru wycofał skargę, prosząc, żeby chłopaków wypuścić. Domyślasz się pewnie kto?

– Twój ulubieniec, Zwara?

– Właśnie. Tak czy inaczej, od tego czasu chłopcy są zaciekłymi wrogami.

Stanęli w korku przed wjazdem na autostradę i Rodzki zaczął rozglądać się niespokojnie.

– Szukasz towarzystwa?

– Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy je mieli.

– Dokąd dokładnie jedziemy?

– Artur jest na wakacjach, wynajął leśniczówkę za Chojnicami.

– Po czymś takim?

– Te chłopaki, Artur i Paweł, to dość nieprzyjemne typy – westchnął Rodzki.

– Zaprzyjaźniłeś się z nimi, że wiesz, gdzie ich szukać?

– Powiedzmy, że dyskretnie staram się ich kontrolować i obserwować. Podpiąłem się pod komputer jednego z nich.

– Podpiąłeś? Znasz się na tym?

– Znajomy się zna. Mam dostęp do laptopa gagatka, jego e-maili, dokumentów. Wynajął leśniczówkę, korzystając z internetowej promocji. Dzięki temu komputerowi dużo się o nim dowiedziałem. Wiem, na jakie strony wchodzi, co go... hm, pociąga.

– Pewnie pornosy.

– Dziewięćdziesiąt procent czasu spędza na Redtube. Przez pozostałe dziesięć wyszukuje sobie różne laski. Niestety, nie stać go już na to, co kiedyś, więc zamawia towar, hm, wybrakowany.

Marika spojrzała ostro.

– Przepraszam – powiedział szczerze skruszony.

– Który to?

– Artur. – Pokazał jej zdjęcie.

Patrzył na nią czarnowłosego dzieciaka o okrągłej buzi i szerokich barach. Wyglądał na niskiego i dość... ograniczonego. Może tylko wyglądał.

– A to Paweł. – Podał jej drugie zdjęcie.

Chyba ciekawszy, mądrzejszy. Szczupły i wysoki blondyn.

– O tym też coś wiesz?

– Coś tam wiem... Jeden z najlepszych studentów w historii SGH, ogromny potencjał.

I niewykorzystany. Gdyby nie trafił na towarzystwo tych dwóch pijusów, to pewnie zrobiłby szybką karierę. Proponowano mu zostanie na uczelni, różne programy naukowe, a on... nagle obniżył loty do przeciętnych. Tak jakby nie chciał się już wyróżniać.

Marika chciała zadać jakieś pytanie, lecz zrezygnowała.

– Ciekawe – powiedziała tylko.

– Wiem, co myślisz. To dobry typ na zabójcę, tyle że ma żelazne alibi, przynajmniej na część zdarzeń.

– Wierzysz w żelazne alibi?

– No tak, zawsze ktoś może kłamać.

– Na mój nos on nie ma z tym nic wspólnego, ale nie przesądzam sprawy.

– A Artur?

– Chyba... jest za głupi.

– Ale w pornosach się rozsmakowuje.

– Cóż, on też ma żelazne alibi.

Marika spojrzała na wyprzedzającego ich land rovera. Dwaj przystojniacy wpatrywali się w nią ponad głową Rodzkiego. Pokazała im palec, a oni się uśmiechnęli. Wtedy Rodzki wyjął walthera. Są przyjaciele, którzy niezwykle skutecznie odstraszą natrętów.

– Czym się zajmują teraz? Robią coś poza studiowaniem?

– Mają wakacje i pewnie piją na umór i korzystają... sama wiesz, z czego. Paweł w czasie roku szkolnego współpracuje z agencją fotograficzną, robi zdjęcia.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że fotografuje modelki?

– Nie, robi fotografię artystyczną i eksperymentalną różnymi dziwnymi aparatami. No ale ta agencja jest dość znana i na pewno dostaje zaproszenia na różne imprezy. Podejrzewam, że to tak natrafili pierwszy raz na Sonię. Chyba że to Zwara im dał ten kontakt.



– Dobry tatuś. – Marika się uśmiechnęła.

– Dbaj o potrzeby alkoholowo-używkowe syna. Stara się być dobrym kumplem, z tego, co ustaliłem...

Poszukał chwilę w papierach i powiedział:

– Tu masz wszystkich trzech. – Wskazał na fotkę zrobioną gdzieś w górach.

Trzej przyjaciele z boiska. Michał zdecydowanie wyróżniał się urodą i postawą. Rządził. To on tutaj grał pierwsze skrzypce. Zabrakło go i drużyna się rozpadła. Tak bywa, szczególnie gdy pojawia się problem. A morderstwo to problem również dla takich dupków.

– Ukradłeś zdjęcia z laptopa Artura?

Rodzki uśmiechnął się znacząco i z dumą. To ja, pierwszy haker III RP. Oczywiście pod warunkiem, że ktoś mnie dokładnie poinstruuje, co i jak.

– Może to któryś z nich zabił Łucję? – Słusznie założyła, że najłatwiej byłoby rozpracować to morderstwo. – Skoro nie masz o nich dobrego zdania...

– Nie. – Pokręcił zdecydowanie głową. – To takie młode, bezmyślne dupki, pazerne na kasę, kompletnie nieczułe, pozbawione empatii i jakichkolwiek granic. Młodzież na modłę amerykańską.

– I nie pasuje ci to do profilu mordercy?

– Obaj mają niepodważalne alibi. W trakcie zabójstwa byli ze swoimi paniami. Pamiętasz: były trzy dziewczyny. Artur był w tym czasie z Katią, Paweł z Marią, Michał z Łucją. Łucja zginęła. Katia i Maria dają alibi pozostałym chłopcom.

– Więc tylko Michał może być podejrzanym?

– Już ci mówiłem, że moim zdaniem to nie on, ale rzeczywiście podejrzanym być powinien.

– Wobec tego kto jest mordercą? Zakładając, że alibi nie było sfalszowane, bo teraz przecież nie możesz go potwierdzić?

– Może ty się okażesz lepszą śledczą i go znajdziesz. A propos, mam dla ciebie niespodziankę.

– Jaką?

– Będzie na ciebie czekać pod tą leśniczówką.

– Kto?

– Gdybym powiedział, nie byłaby to niespodzianka.

Niespodzianki jednak nie było. Gdy trzy godziny później parkowali na leśnej polanie przed podjazdem do leśniczówki, Rodzki poszarzał na twarzy, potem zerknął na zegarek, popatrzył dookoła, jakby obawiając się, że padł ofiarą jakiegoś żartu, w końcu wyjął telefon i zaklął.

– No tak, nie ma zasięgu.

– Kto tu miał być?

Marice nie udało się jednak uzyskać żadnej odpowiedzi. Rodzki był nieprzejednany. Niespodzianka to niespodzianka, nawet jeśli się nie zjawia. Może przyjedzie później.

– Chodźmy, nie ma na co czekać.

Marika pomyślała o Romeo i nagle wpadła na durny pomysł. A co, jeśli to agent? Jeśli specjalnie został jej podstawiony, a ona... a ona się w nim zakochała. Cholera, nie przyzna się do tego, nie będzie wstydu. W końcu pieprzyła się też z Kryszem, a wcześniej z tym studentem, którego tak szybko zapomniała. Zawsze może powiedzieć, że to specjalnie, że tylko udawała. Ale czy na pewno to wytrzyma? Czy nie da po sobie poznać, że jest inaczej? Że było jej fajnie, że przyszło jej do głowy coś, o czym może nigdy w życiu nie myślała? Życie może być fajne, można obudzić się z uśmiechem i myśleć, że każdy kolejny dzień będzie słoneczny i radosny, do licha, to naprawdę możliwe.

Rodzki ukrył się za drzewem, ciągnąc ją za sobą.

– Poczekajmy, zobaczymy, co się będzie działo – zaproponował.

Ale nie działo się nic.

Leśniczówka nie była zbyt okazała. Zwykły drewniany domek trochę w stylu góralskim, ale nie tak solidny. Duży strych, spadzisty dach, przedłużony tak, by zakrywać więcej tarasu. Pod tarasem betonowy stół do ping-ponga, kilka krzeseł i rozstawiony grill, wygaszony i brudny. Obok butelki po piwie i wódce. Dwie po czystej, ze trzydzieści po browarze. Jakieś zwłoki na leżaku, przykryte kocem. Nic więcej. Poza ciszą i szumem drzew. Wspaniałe okoliczności do sjesty.

– A jeśli odnajdę Olgę? Jaki będziesz miał pomysł na zakończenie całej sprawy?

Rodzki mrugnął do niej okiem.

– Coś wymyślę.

– Lepiej, żeby mi się ten pomysł spodobał.

– Spodoba ci się. Jeśli gracz ma w rękę same atuty, może wybierać w możliwościach.

– A ty sądzisz, że je masz?

– Będę miał. Z Olgą będę miał potężne atuty. Nie do pobicia.

– Zobacz, co się dzieje.

Zwłoki z leżaka wstały, chwiejnie przeszły przez taras, potknęły się o belę drewna i przewróciły na trawę. Zaśmiały się głośno. Potem oparły się o drzewo i próbowały wysikać. Zamiast tego puściły głośnego pawia.

– Boże, co za świnia.

– O tym właśnie mówiłem, taka młodzież. Chodźmy.

Zanim jednak wyszli, drzwi tarasu otworzyły się i wychynęła z nich druga postać. Chudy mężczyzna w samych majtkach miał butelkę mocnego alkoholu w dłoni. Śmiał się głośno z przyjaciela.

Marika bez trudu rozpoznała dwóch z trzech muszkietierów ze zdjęcia. Artur i Paweł. Ciekawie by się zrobiło, gdyby jeszcze w pobliżu drzemał Michał.

– A mieli być wrogami – mruknęła.

Pierwszy w pysk dostał Artur. Marika okazała się mało cierpliwą „laską” i po prostu zdzieliła szczyła w nos, gdy ten ciągle upierał się, że jest najpiękniejszą „cizia”, jaką w życiu widział.

– O kurwa, mój nos – zawołał, trzymając się za rozkwaszony kinol.

Paweł chciał rzucić się przyjacielowi na pomoc, ale Rodzki pchnął go z powrotem na fotel.

– Lepiej siedź, dzieciaku. Widziałem, co potrafi zrobić ta dziewczyna z natrętami, którzy nie rozumieją wyraźnych ostrzeżeń.

– Mój nos – powtórzył Artur.

– Uspokójcie się na chwilę, bo inaczej zabierzemy wam cały zapas alkoholu przed wyjazdem.

To ostrzeżenie podziałało i dalsza rozmowa przebiegła w miarę spokojnie.

Artur boczył się jeszcze jakiś czas, ale odpowiadał na pytania.

Obaj potwierdzili wersję Michała i wszystkie notki Rodzkiego. Byli ze swoimi dziewczynami, gdy usłyszeli wracającego z plaży Michała. Michał poszedł spać, oni bawili się dalej. Dopiero nad ranem zorientowali się, że Łucji nie ma. Michałowi urwał się film, nie wiedział, co się stało. Poszukiwania i nawoływania nie przyniosły rezultatu, więc zadzwonili do Soni. Kazała im poczekać do rana i wtedy ponownie poszukać. Przeszli drogą na plażę, raz, drugi, potem zeszli z traktu i szukali w jego okolicach. W końcu, dopiero po południu, któremuś z nich coś się rzuciło w oczy w pobliskich chaszczach.

– Któremu z was? – zapytała Marika, uważnie ich obserwując. – Kto pierwszy zauważył Łucję?

– Nie wiem – odparł Paweł. – Może to byłem ja, a może któraś z dziewczyn. Nie pamiętam.

Ruszyli w tamtym kierunku i po chwili znaleźli Łucję. Miała rozerwane ubranie i miazgę zamiast twarzy. Wyglądała na zgwałconą. Nie oddychała.

– Próbowaliście ją reanimować?

– Nie żartuj, widać było, że nie żyje. Nie chcieliśmy niczego dotykać.

– Michał zadzwonił do Soni, a zaraz potem do ojca.

– Co było dalej?

– Zaroilo się od glin. Nam kazano czekać w domu.

– Gliny były w mundurach?

– Bo ja wiem. – Paweł spojrzął na Artura, który był ciągle obrażony, więc prawie nic nie mówił. Tym razem jednak dodał:

– Nie, mundurowi przyjechali później, ale ich nie wpuszcili. Ci bez mundurów byli ważniejsi.

Rodzki i Marika spojrzeli po sobie. Policjant wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Przecież to wszystko ci mówiłem. To śledztwo było ściemą. Zatuszowano sprawę, a teraz ktoś tuszuje dalej, mordując dziewczyny od Soni”.

– Przesłuchano was?

– No... tak.

– Oddzielnie? Każdego z osobna?

Paweł poszukał wzrokiem Artura. O co, kurwa, chodzi tej cizi?

– Tak – odparł Artur. – Złożyliśmy zeznania, wszystko powiedzieliśmy dokładnie tak, jak było.

– Michał ją zamordował? – zapytała wprost Marika.

– Co? Michał? – zawołał Paweł. – Niby jak?

– A skąd wiesz, że nie on?

– No... wiem. Przecież... Michał by tego nie zrobił.  
– Wiecie, że kochał tę dziewczynę, a okazało się, że jest dziwką.  
– To powód, by rznąć, a nie zabijać. – Artur się zaśmiał i po chwili spowaźniał. – Tylko mnie nie bij.

– Gówniarz jesteś – mruknęła Marika. – Skąd wiecie, że Michał tego nie zrobił?

– Powiedział nam.

– Przecież nie pamięta.

– Był po takiej dawce alko i koki, że nie dałby rady nikogo skrzywdzić – westchnął Artur.

– Po czymś takim ma się jazdę na przyjemności, a nie zabijanie.

– O, widzę, że jesteś ekspertem.

– Wiem, co wiem.

– Dobra, glinom mówiliście o narkotykach?

Znów spojrzenie.

– To nie miało związku.

– Pewnie zabójstwo też nie miało związku ze śmiercią. Ktoś zginął, a wy po paru miesiącach znów łoicie i ćpacie w lesie.

Artur wykrzywił gębę w prześmiewczym grymasie.

– Co mamy robić, płakać? Nosić żalobę?

Rodzki westchnął i zapytał:

– Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

– Nie.

Wychodząc, Marika kopnęła butelkę z wódką tak, żeby się rozbiła, i nie przejmowała się dochodzącymi do niej z tyłu przekleństwami.

– Co za mendo.

– Ale mówią prawdę.

– Co nic nie znaczy.

– Tylko tyle, że musimy znaleźć twoją Olę.

To prawda. Rodzki miał rację. Musieli ją znaleźć. Wsiadali do samochodu, gdy poczuła, że coś jest nie tak. Przeczucie, które ostrzegało ją już tyle razy i nigdy nie zawiodło. Coś, czego nie lekceważyła i nie ignorowała. Chwyliła Rodzkiego za ramię i wtedy go zobaczyli.

Czarna postać stała na szczycie leśnego wzniesienia, częściowo schowana za drzewem. Miała na głowie białą maskę z nierównymi okręgami na oczach i ustach, trochę przypominającą przebrania odrzuconej młodzieży buntującej się przeciw władzy pieniądza i korporacji oraz niesprawiedliwościom społecznym. Patrzył bez ruchu, jakby nie był pewien, czy go dostrzegli. Dopiero gdy Marika otworzyła drzwi, rzucił się do ucieczki. Rodzki wyskoczył z pojazdu i krzyknął, jednocześnie wyciągając broń.

Postać przyspieszyła i zniknęła w gąszczy.

Marika zawahała się, czy nie zabrać Rodzkiemu pistoletu, po czym ruszyła w pościg.

Biegła, głęboko oddychając, starała się równo odmierzać kroki, wprawić organizm w stan jednostajnie działającej maszyny. Czas na przyspieszenie będzie później. Długodystansowcy wiedzą, że trzeba odpowiednio rozłożyć siły, by nie wysiąść na finiszu.

Ścigany miał nad nią przewagę. Kilkadziesiąt metrów terenu, zapewne większą wiedzę o nim. No i prawdopodobnie był mężczyzną. Sylwetka zdecydowanie wydawała się męska. Kroki również. Choć zdawała się dość drobna jak na mężczyznę, to mógł być to efekt czarnego obcisłego stroju. Nie krył kobiecych krągłości, tylko ciało mężczyzny. Wysportowanego mężczyzny.

Przewaga szybko się powiększyła, aż Marika straciła go z oczu, ale nie zwolniła, nie

zrezygnowała.

Nie pozwoli mu tak szybko uciec.

Słyszała za placami charkot Rodzkiego i jego nawoływania.

– Marika. Marika! Stój! Zatrzymaj się. Nie goń go. Już nie mogę.

Znów zobaczyła mordercę.

To musiał być on. Nie mogło być w tym przypadku.

Dwieście, może dwieście pięćdziesiąt metrów w bok, w prawo. Zatrzymał się i czekał.

A potem znów ruszył i szybko zniknął jej z oczu.

Sytuacja powtórzyła się po pięciu minutach. Pół godziny później znowu. Marika cały czas utrzymywała rytm, lecz wiedziała już, że go nie złapie. Była za słaba.

– Cholera – zaklęła i zatrzymała się.

Rodzki dołączył do niej dopiero po dwudziestu minutach. Podbiegał, jak się dało, ale był na wykończeniu.

– Weź to ode mnie, bo się zastrzelę. – Oddał jej pistolet.

– Oddychaj głęboko.

– Łatwo powiedzieć. Dla palacza...

– Też palę.

– Ja mam dwadzieścia lat więcej doświadczenia.

– Możesz iść?

Skinął głową.

Wtedy znów go zobaczyli. Na samym skraju lasu, przed bagnistą polaną, ledwie widocznego. Zaraz, pomyślała Marika, nie powinno cię tu być. Czyżbyś... nie, to niemożliwe.

– Pogrywa z nami?

– Może chce się dać złapać.

Cały czas kucał przy drzewie. Też dyszał, ale znacznie lżej. Nie dopadniemy go, pomyślała znów. Wtedy raptownie uniosła broń i prawie nie celując, strzeliła. Huk wystraszył Rodzkiego, który gwałtownie przysiadł na ziemi. Marika stała już pewnie na nogach w lekkim rozkroku i raz za razem naciskała spust. Dwa, trzy, cztery... Przy ośmiu broń w końcu szczęknęła.

– Tylko osiem naboji?

– Dziewięć. Czemu to zrobiłaś? Nie miałaś szans trafić.

– Liczyłam na fart.

– Ładny fart, teraz zdechnę na zawał od pisania raportów o użyciu broni.

– Poradzisz sobie.

Przeszli w miejsce, gdzie był wcześniej człowiek w czerni. Kule nie zostawiły żadnych śladów. Nie było też plam krwi ani niczego, co by wskazywało na skuteczność jej strzałów.

– Mówiłem – mruknął Rodzki.

– Pewnie załadowali ci giwerę ślepakami. Zobacz.

Błotnista polana przechodziła w dwa gęsto porośnięte wysokimi trawami pagórki sąsiadujące z wyrwą w ziemi, która dalej kończyła się skarpią nad utwardzoną drogą. Na jej końcu wyrastała jakaś posiadłość sprawiająca dość okazałe wrażenie. Dwa białe domy, jeden większy, drugi mniejszy, czerwona dachówka na strzelistych dachach, masa drewnianych gadżetów wokół, od starego wozu ozdobionego kwiatami począwszy, przez dwukółki, taczki i rowery, a na wiadrach i baliach skończywszy. Wszędzie mnóstwo kwiatów, rzędy drzewek, niewielki ogród zakończony szklanym domkiem także wypełnionym kwiatami.

Tak dobrze utrzymany i pięknie ozdobiony dom robił wrażenie w tej głuszy.

– Co to kurwa jest?

– Letnia rezydencja.

- Rezydencja?
- Tak, nawet ci mogę powiedzieć, do kogo należy.
- Ojciec Zwary?
- Też się zdziwiłem, że chłopcy wynajęli leśniczówkę tak blisko niego.
- Chyba zaczynam mieć wątpliwości co do twojej hipotezy o niewinności młodego Zwary.
- Ja też.

Dom nie był zamknięty, ale w środku nikogo nie zastali. Rodzki wyraźnie niechętnie szedł za Mariką, w końcu powiedział:

- Lepiej, żebyśmy dalej nie szli.
- Dlaczego?
- To włamanie.
- Szukamy zaginionej dziewczyny, zapomniałeś? – Puściła do niego oko.
- Tu jej nie ma.
- Kto to wie?

Czarnego uciekiniera nigdzie nie było. Obeszli wszystkie pokoje, zajrzeli do domku obok, ale ten był zamknięty. Może siedział w środku. Rodzki zdecydowanie zaproponował, gdy próbowała otworzyć zamek kawałkiem drutu.

- Zostaw to, naprawdę.

Zostawiła. Rozejrzała się wokół, mając ochotę zakrzyknąć głośno. Na końcu weszli do garażu, nieco dziwacznie umieszczonego, połączonego wąskim przejściem z głównym budynkiem. Wewnątrz nie było samochodu. Pomieszczenie nie wyglądało też jak większość tego typu miejsc. Ściany wyłożono miękkim materiałem, a na podłodze rozciągnięto maty do ćwiczeń. Przy ścianie stał atlas i kilka wieszaków na sprzęt, hantle, odważniki, pasy do ćwiczeń.

– To siłownia. – Marika podeszła do podwieszzonego na haku worka bokserskiego. – Zwara trenuje boks?

Rodzki nie odpowiedział. Pochylił się i podniósł z ziemi gumowy młot, którym można było ćwiczyć cios, uderzając w leżącą obok oponę, i który równie dobrze nadawał się do zmasakrowania komuś twarzy.

Ciężko oddychał. Patrzył na nich z ukrycia i cieszył się, że to już koniec na dziś. Nie planował konfrontacji tutaj. Była zbyt ryzykowna. Starcie mogło zakończyć się ich zwycięstwem. Czekał spokojnie, aż przeszukają dom, a potem w bezpiecznej odległości towarzyszył im w drodze powrotnej.

Potrafił poruszać się w lesie. W młodości uczono go tego na specjalnych kursach. Ojciec był fanatykiem wojskowości, kursów przetrwania i innych mundurowych pierdół.

Niby taki porządny człowiek. Wszystko dopięte na ostatni guzik. Dyscyplina, karność, porządek. Musztra, nagroda i kara. Bóg, honor, ojczyzna. Tak go uczono. Nawet w czasach komuny dla ojca nie zmieniła się hierarchia, a w III RP było już tylko łatwiej. W odpowiednich proporcjach. Idealne wychowanie.

A jednak spłodził potwora.

Albo stworzył go.

Był jego produktem. Wynikiem wszystkich tych eksperymentów i pasji, które w nim zaszczeplił. Geny i wychowanie. Trochę tego, trochę tego.

Czy jednak dlatego stał się zabójcą?

Nie.

To siedziało w nim od zawsze.

Ojciec nie zrobił z niego zabójcy.

Ukształtowały go świat i przeżycia.

Dość o tym.

Patrzył na tę dwójkę poruszających się jak we mgle postaci i myślał o przyczynach, a tymczasem powinien planować coś zupełnie innego. Finał całej tej historii. Coś, co wstrząśnie tym podłym, małym światkiem pełnym kłamstw i zawiści.

Miał już pomysł.

Bardzo dobry pomysł.

Rodzki zapakował młot do reklamówki i obiecał, że wyśle go do analizy jak najszybciej, choć zdawał sobie sprawę, że to niewiele da. Jeśli Zwara jest mordercą, wybroni się. Dowód zdobyty nielegalnie, wymierzony w polityka, który przecież może wszystko zrzucić na karb prowokacji, niechęci oponentów, przeciwników i innych takich. Zabranym z domu, co najwyżej da im ostateczne potwierdzenie, kim jest zabójca. Pozostanie tylko jedno pytanie: młody czy stary? Który Zwara jest naprawdę winny? A może obaj? Jaki był podział ról w tym wszystkim?

Co dalej?

Coś wymyślimy.

– Twoja kolej – podkreślił Rodzki. – Ja powiedziałem ci wszystko, co wiem. Teraz cała nadzieja w Oldze. Ona jest naszym dzokerem. Decyduj więc, co robimy? Wracamy do Warszawy?

Marika zawahała się po raz ostatni.

– Olgi nie ma w Warszawie.

– A gdzie może być?

– Jeśli rzeczywiście się ukrywa, myślę, że ją znajdziemy.

– A jeśli nie?

– To nie żyje, a wtedy i tak do niczego nam się nie przyda.

– Dobrze. Dokąd jedziemy?

– Daj GPS. – Marika wzięła urządzenie i wpisała adres i miejsce docelowe. – Stąd mamy trzysta kilometrów.

– Co to jest „Michałówek”?

– Niespodzianka, partnerze.

– Ale...

– Gdybym ci powiedziała, to już nie byłaby niespodzianka.

No dobra, myślała Marika podczas drogi, jeśli nawet Rodzki ma rację z tymi swoimi teoriami, to jak wytłumaczyć kolejne zabójstwo, już bez związku ze sprawą Łucji? Dziewczyna z gołą pupą wydawała się nie mieć nic wspólnego z poprzednimi zabitymi. Tylko tyle, że też była dziwką. Ale prawdopodobnie się nie znały, bo według Rodzkiego ona od niedawna pracowała u Soni, a wcześniej była zwykłą młodą aktoreczką. Chodziła po castingach, starając się bezskutecznie zwrócić na siebie uwagę. No i udało się, dzięki odważnym kreacjom. Tyle że nie zaproponowano jej roli życia, tylko pieprzenie, kto wie, może też życia.

Za dobrą kasę.

I za śmierć.

Nagroda była śmierć.

– Powiesz mi w końcu, dokąd jedziemy?

Uśmiechnęła się.

– Do szpitala. Lubisz szpitale?

– Żartujesz?

– Ten jest inny. Nawet przyjemny. Znacznie przyjemniejszy niż mój.

Nie rozmawiali w zasadzie o tajemniczej postaci w czerni, która doprowadziła ich do domu Zwary. Początkowo Marika przyjęła, że to zabójca, ale coś w tym wszystkim nie grało. Jakby chciał ich zaprowadzić po sznurku do rozwiązania. Jakby... to była pułapka.

Nie próbuj rozwiązać zagadki, jeśli masz zbyt wiele niewiadomych.

Wtedy logika staje się przypadkiem.



Liczy się tylko szczęście, nie rozum.

Czyje to słowa?

Rodzki przymknął oczy. Wyglądał jak zasypiający niedźwiedź.

Przez chwilę miała skojarzenie z ojcem i wzdrygnęła się, natychmiast wprawiając ciało w drżenie i doprowadzając do czujności.

Noc. Ileż to czujnych nocy spędziła, nasłuchując kroków własnego ojca. Szurania w kuchni, spuszczonej wody w łazience, kapiącego kranu, oddechów przy lustrze, gdy poprawiał fryzurę, szykując się do schadzki, odkręcaniej zakrętki wody kolońskiej, uderzenia dłoni o policzek, gdy wsmarowywał obrzydliwy zapach w drapiącą skórę, innych mikrośladów napędzających strach.

Pierdolony drań.

Dostał za swoje.

A jednak ona nigdy go nie zapomni.

Nigdy nie przestanie nienawidzić i... kochać.

Jakież to straszne, kochać swojego oprawcę.

Do Michałówka dojechali w nocy. Marika nie wiedziała, gdzie mogą się przespać, więc Rodzki znalazł motel, używając GPS-u. Nowy budynek bez charakteru stał zaraz koło stacji benzynowej. Połowę pokoi zajmowały jagodzianki, które rosyjscy kierowcy rozwozili po okolicznych lasach.

Rodzki zapłacił podwójną stawkę, żeby pani nie pytała o dokumenty.

„Państwo Rodzcy” – pomyślała Marika. Dla recepcjonistki tylko państwo X.

W pokoju było jedno łóżko. Rodzki chciał spać na podłodze, ale Marika poklepała miejsce obok i powiedziała:

– Nie krępuj się, partnerze.

Spojrzał na nią dziwnie, jakby to przywołanie sposobu mówienia Lisickiego miało jakieś znaczenie. Nie miało, partnerze. Znów się uśmiechnęła.

Zerkała potem co chwila na niego, nie mogąc zasnąć.

On też nie spał. Choć kto wie. Milcząco wpatrywał się w jakiś punkt na suficie. Jego pierś unosiła się równomiernie do góry i opadała powoli.

„Przyjaciół – pomyślała Marika – nigdy nie miałam prawdziwego przyjaciela, a Rodzki chyba zasłużył na to miano”.

Przyjaciół, jak to pięknie brzmi.

Przymknęła oczy i chyba od razu zasnęła, jakby to jedno słowo było lekarstwem duszy, najlepszym środkiem usypiającym.

Rano kolejno wzięli prysznic, kupili na stacji benzynowej gotowe kanapki i kawę z automatu, po czym Rodzki wymusił na niej część wyjaśnień. Powiedziała mu tyle, ile musiał wiedzieć.

– Czemu wcześniej tego nie sprawdziłaś? – zapytał zaskoczony. – To rzeczywiście może być dobry strzał.

– Szukałam trupa Olgi, a nie jej żywej – skłamała. – Poza tym... musiałam się upewnić, o co w tym wszystkim chodzi. Uczono mnie, żeby nie działała pochopnie i impulsywnie.

– Uczono?

Spojrzała na niego badawczo. Ile o niej wiedział? Prawdopodobnie wszystko. Poznał każdy skrawek jej przeszłości. Sprawy z ojcem, przeklętym Wiechockim, wuefistą, dziesiątkiem innych osób, którym zdążyła nagrabić. Znał całe akta osobowe, papiery ze szpitala, oceny ze szkoły, dokumentację personalną, wszystkie te świstki, które mają niby pomóc zrozumieć człowieka, a tak naprawdę nie znaczą nic.

Ale on to rozumiał.

Miała takie wrażenie.

– Bender był dobrym nauczycielem – powiedziała.

Stary dobry Bender, pierwszy człowiek, który w nią uwierzył, starał się wyciągnąć z marazmu, z dołka i popchnąć w górę. Porządny człowiek, ale jeszcze nie przyjaciel. Nie śmiałyby go tak nazwać. Mimo że znali się kilka lat, to z Rodzkiem teraz była bliżej.

– Tak – przyznał. – Bender był bardzo dobrym gliną.

– Zawiodłam go.

– Czy ja wiem – mruknął w odpowiedzi, chyba chcąc uciąć dyskusję.

– Poznałeś Bendera?

– Kiedyś, dawno temu. Ale... nie było nam po drodze.

– Byliście wrogami?

– Nie, po prostu działaliśmy obok siebie. Ale doceniam to, co zrobił dla innych...

– Popaprańców? To chciałeś powiedzieć?

Skinął głową.

– Popaprańców.

– Jestem popaprańcem. – Marika się uśmiechnęła. – Nie ma co ukrywać. Nie wstydzę się tego.

– Jesteś...

Na miejsce dojechali przed dziesiątą. Słońce stało już wysoko na niebie, przebijając się przez wysoki starodrzew okalający kompleks budynków ogrodzonych wysokim murem, którego strzegła wartownia taka jak w budynkach wojskowych. Umundurowany strażnik wypiął brzuch i patrzył na nich ciekawie, oddychając ciężko. Zapowiadał się piękny, słoneczny dzień, co dla niego oznaczało męczarnię w tym upale. Nie da się ukryć, wołał chłodniejsze popołudnia. Rodzki zaparkował tuż obok stróżówki.

– Teraz jesteś pewna?

– Nie, ale nie mam wyjścia. Muszę ci zaufać.

– A jeśli to błąd?

Nie odpowiedziała od razu.

– Jeśli coś się stanie Oldze przez ciebie, zabiję cię.

Zabrzmiało to nieco melodramatycznie, ale Rodzki się nie roześmiał. Wiedział, że podobne groźby z ust kobiet takich jak Marika należy brać na poważnie.

– Chodźmy.

Z tego, co wyczytała kilka lat temu, ośrodek psychiatrii eksperymentalnej w Michałówku był położony na terenie dawnego dworku szlacheckiego. Komuniści zabrali prawowitym właścicielom ich dom, bo był za duży na mieszkanie, i urządzili w nim szpital dla obłąkanych. Z czasem obok wybudowano betonowy budynek z płyty, przypominający szkołę, dodano kotłownię, kilka gospodarczych baraków i stworzono kompleks, w którym wykańczano szurniętych pacjentów za pomocą terapii elektrowstrząsami i psychotropami o niezbadanych i nieprzewidywalnych do końca skutkach. Po obaleniu komuny ośrodek przejęła fundacja zdrowia psychicznego, która z jednej strony przyjmowała doń najgorsze przypadki, z drugiej starała się rzeczywiście leczyć tych, którzy dawali jakieś nadzieje na wyleczenie. Niewielki oddział zamknięty przyjmował też pedofilów i zboczeńców seksualnych, którzy nie mogli być sądzeni w normalnym trybie.

Na recepcji podali cel wizyty, a niezbyt uprzejma kobieta odparła, że w niedzielę są tylko odwiedziny rodzin.

„Już niedziela?” – zdziwiła się Marika.

– Jednak dla nas pani zrobi wyjątek, prawda? – Rodzki pokazał jej policyjną odznakę.

Obejrzała uważnie dokumenty, a potem wzruszyła ramionami.

– Tu pana władza nie sięga. Proszę poczekać, zapytam ordynatora.

Zdążyli usiąść w poczekalni, gdy kobieta ich zawołała.

– W porządku, szef się zgodził.

Zeszła po nich pielęgniarka. Młoda, sympatyczna, uśmiechnięta, przyjaźnie nastawiona.

Marika przymknęła oczy. Ona przez cztery lata nie spotkała ani jednej takiej osoby. Może szkoda, że nie umieszczono jej w tym przybytku.

– Staramy się stworzyć tutaj domową atmosferę – opowiadała pielęgniarka, przechodząc przez kolejne pomieszczenia wypełnione normalnymi meblami, dywanami, obrazami i sprzętem wideo. Światlice rzeczywiście przypominały salony przeciętnych domów. – Proszę za mną.

Kobieta, do której przyszli, nie wyglądała na swoje osiemdziesiąt lat. Wciąż była zadziwiająco piękna i dostojna. Błada twarz mimo zmarszczek sprawiała wrażenie zdrowej i młodszej niż w rzeczywistości była. Starannie ułożone włosy, doskonały profil, piękna linia – to wszystko nadawało jej arystokratyczny wygląd. Siedziała na kanapie, wpatrując się w wyłączony telewizor.

– Och, Mariko – poznała przybyłą bez trudu – jak miło, że znów mnie odwiedziłaś. Wczoraj byłaś zdecydowanie za krótko.

Marika nie sprostowała, że to było pięć lat temu. Kto wie, może wirtualne wcielenie Mariki rzeczywiście było tu wczoraj.

– Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, Lidio.

– Kim jest twój przyjaciel?

– Komisarz Rodzki.

– Komisarz? Czy moja Olga znów coś zmajstrowała?

– Nie, ale musimy z nią porozmawiać.

– Oczywiście, oczywiście. Wiem, że tobie można zaufać. Skoro mówisz, że musicie, to musicie. A co się stało? – Rozmazane spojrzenie wyostrzyło się na chwilę i Rodzki przestraszył się, że starsza kobieta nagle wyzdrowiała i niczego się już od niej nie dowiedzą.

– Ścigamy groźnego mordercę – powiedziała zgodnie z prawdą Marika. – On też szuka Olgi.

– Ojej – wystraszyła się nieco teatralnie Lidia.

– Musimy znaleźć Olgę pierwszą.

– Oczywiście, oczywiście.

– Musisz nam pomóc, Lidio. I to szybko. Czas jest naszym wrogiem.

– Tak, czas jest wrogiem. – Chyba zastanawiała się, co zrobić. – Olga mówiła mi, że możesz przyjść.

– Ach tak – westchnęła Marika. – I co jeszcze mówiła?

– Że jeśli przyjdiesz, mam ci nic nie mówić – odparła z uśmiechem starszuszka. – Że przyjdiesz razem ze złymi ludźmi i dlatego nie wolno mi niczego powiedzieć. Jest pan jednym z tych złych, komisarzu?

– Naprawdę chcemy pomóc...

– No pewnie, po co byście jej szukali, gdybyście nie chcieli pomóc, prawda, Mariko?!

Marika wiedziała już chyba, że nic nie uzyska.

– Wiesz, że chcę pomóc, Lidio.

– Tak, wiem, wtedy też chciałaś jej pomóc – syknęła kobieta. – Bardzo jej pomogłaś. I sobie też.

– Powiedz mi, gdzie jest Olga!

Stara wydeła wargi i nagle z miłej, sympatycznej, przyjaźnie nastawionej kobieciny wyszła wiedźma.

– Nic – syknęła. – Nic ci nie powiem.

– Muszę ją ostrzec, porozmawiać – próbowała jeszcze Marika. – Podaj choć numer telefonu do niej.

Stara zaśmiała się głośno.

– Naprawdę myślisz, że jestem taka głupia?

Krzyczała za nimi, gdy wychodzili. Wyzywała Marikę od kurew. Miła staruszka.

Rodzki zatrzymał się jeszcze w recepcji.

– Mam pomysł.

Poprosił kobietę w białym fartuchu o sprawdzenie, kto odwiedzał starą Lidię Barańską w ostatnich latach. Recepcjonistka znów zadzwoniła do ordynatora. Tym razem nie odebrał telefonu, więc sama zdecydowała, mówiąc:

– Co mi tam, to chyba nie tajemnica.

– Więc? Kto ostatnio ją odwiedził i kiedy?

– Nikt. Nikt jej nie odwiedził. – Sprawdziła jeszcze raz w komputerze. – Przynajmniej tak wynika z książki.

– A były jakieś telefony do jej pokoju?

Kobieta westchnęła i sprawdziła.

– Coś tam było?

Rodzki nie pytał dalej, gdyż zerknął przez ramię i zobaczył, że codziennie ktoś dzwonił. Zawsze w południe.

To powinno wystarczyć.

Zadzwonił zaraz po wyjściu z budynku. Szli obsadzoną drzewami alejką. Potężne wierzby przemawiały delikatnym szumem liści i skrzypieniem gałęzi. Wysoko, na biegnącej tuż pod płotem linii elektrycznej siedział myszołów. Marika przymknęła oczy, odetchnęła głęboko wspaniałym powietrzem nasyconym zapachami wsi i poczuła się jak dziewczynka zagubiona w baśniowo pięknym, starym parku.

– Cześć – powiedział Rodzki do słuchawki. – Zrobisz coś dla mnie...? Tak, wiem, że jest niedziela. Pilnie. To ważne. Dobra, dyktuję.

Podał wszystkie możliwe dane ośrodka, numer telefonu z wizytówki, którą zabrał z recepcji, oraz informacje dotyczące linii wewnętrznej.

– Wiem, że to pewnie niepotrzebne. Telefony były na główną linię, codziennie o dwunastej, to powinno pomóc. Aha, jeszcze jedno. Nie mów o tym nikomu.

Rozłączył się i wyjaśnił, że ma przyjaciela w wydziale komunikacji, który zajmuje się nasłuchem elektronicznym.

– Podśłuchuje niewinnych obywateli i wysyła dane do dobrych wujków ze Stanów?

Rodzki tylko się uśmiechnął.

– To ten sam od zhakowania komputera tamtych dzieciaków? – zapytała.

– Ten sam – przyznał Rodzki. – Nie powinien mieć kłopotów z namierzeniem numeru.

– A jeśli to komórka?

– Filip... ten przyjaciel... wie, po co tam siedzi. Sprawdzi logowania telefonu i powinien namierzyć dzwoniącego. Za chwilę wszystko będziemy wiedzieć.

Miał rację. Zdążyli wyjechać za teren ośrodka, gdy Filip oddzwonił.

– Kotlin, Zajazd Rycerski „Zagłoba” – powtarzał Rodzki, zapisując w notesie. Marika jednocześnie wbijała adres do GPS-u.

– Sto dwadzieścia kilometrów – szepnęła.

– Akurat dotrzemy na późny obiad.



Zajazd Rycerski „Zagłoba” był najbrzydszym budynkiem hotelowym, jaki w życiu widzieli. Różowa bryła pobrudzona różnymi zielonymi i brązowymi ozdobnikami, wstrętnymi okiennicami i jakąś tragiczną rzeźbą niby-rycerza, który przypominał bardziej kosmonautę, mogła z powodzeniem wystartować w konkursie na największe paskudztwo. Po drugiej stronie ulicy mieścił się sklep żelazny z gwoździami, śrubkami, uszczelkami i innym szajsem, a zaraz obok zwyczajny z pozoru dom o przyprawiających o mdłości landrynkowych ścianach zachęcał do wejścia napisem „SEX SHOP”.

– Czy wszystkie motele muszą być tak okropne?

– To hotel, nie motel. Dwie gwiazdki. Dostosowujesz się do oczekiwań albo znikasz z rynku. Nie przesadzaj, tancbuda wynajmowana na wesela i dyskoteki nie musi mieć wyglądu Sheratona.

– Hucpa – mruknęła, gdy przeczytała wywieszkę o zjeździe przedstawicieli partii politycznej, który miał się tu odbyć w kolejny weekend.

Zaparkowali koło trzech bmw oraz nieco poobijanego smarta stojących naprzeciwko wejścia i ruszyli do środka.

– Daj mi z nią spokojnie porozmawiać – poprosiła Marika. – Nie wystrasz jej.

– Oczywiście. Od czego zaczynamy?

– Na pewno nie od pokazania blachy. Chodźmy na ten spóźniony obiad.

Dochodziło wpół do czwartej.

– To wciąż dobra pora na obiad – odparł.

Na recepcji ładna młodzianka dziewczyna uśmiechnęła się do nich wesoło i pokierowała do restauracji. Marika od niechcenia zapytała, o której kończy, żartując, że boi się o męża, którego z łatwością można złapać na tak słodki uśmiech.

– Ma pani bardzo miłego męża – odparła recepcjonistka. – O siódmej przychodzi pani Maria. Jej nie musi się pani obawiać.

– Nie lubi się uśmiechać?

– Uwielbia, ale ma siedemdziesiąt lat.

– Mój mąż gustuje również w starszuchach.

– W takim razie radzę go pilnować.

Marika być może błędnie założyła, że Olga musi pracować w hotelu, skoro dzwoniła z niego przez tak długi czas i zawsze o podobnej godzinie. Ale raczej nie w recepcji, chyba że na trzecią zmianę. Od rana do wczesnego popołudnia. Tak, to nawet by pasowało.

Restauracja była niemal pusta. Na końcu sali rozmawiało dwóch podejrzenie wyglądających lokalnych biznesmenów. Zachowywali się bardzo głośno, można było więc bez trudu ustalić, że jeden prowadzi salon samochodowy, a drugi jest urzędnikiem kupującym auta dla miasta. Gdy Marika i Rodzki usiedli przy oknie, tamci nieco ściszyli głosy, ale tylko na chwilę, do momentu podania kolejnej butelki. Tacy jak oni nie dbają o pozory.

Kelnerka nie przypominała Olgi. Była lekko otyła i niezbyt przyjemna.

Zamówili zupę i jakieś kurpiowskie specjały na obiad, czekali na dania prawie pół godziny, a potem jedli przez kolejne trzy kwadransy; jedzenie było całkiem smaczne. Przez cały ten czas nic nowego się nie wydarzyło. Nie podjechał żaden samochód. Do środka nie wszedł żaden gość.

Cisza, spokój, lenistwo i potworna nuda.

Marika złapała się na myśli, że o ile uwielbiała niegdyś nudę gdzieś w wakacyjnych, górskich czy morskich plenerach, o tyle na zadupiu, przy trasie szybkiego ruchu, z widokiem na płaski teren zaniedbanych pól, to wcale nie jest fajna towarzysza.

Mieszkanie tu na stałe musiało być okropne.

Olga długo by nie wytrzymała.

Gdy płacili, kelnerka nie dawała się wciągnąć do rozmowy.

Żadnej szansy na przespjegi z tej strony.

Już mieli pozwolić jej odejść, gdy z zaplecza wyszedł wysoki kelner, przeszedł znudzonym krokiem do sceny i odsłonił zabezpieczającą ją kotarę. Na scenie stał spory czarny fortepian oraz stojak z mikrofonami ustawionymi tak, by pianista mógł także śpiewać.

– Macie tu jakiegoś Dooleya Wilsona? – zawołała za kelnerką Marika.

– Kogo?

– Pianistę – wyjaśniła.

Kelnerka uśmiechnęła się.

– Pianisty nie, lecz mamy pianistkę. Całkiem nieźle śpiewa, ale tylko w soboty i niedziele.

Marika spojrzała na Rodzkiego, który chyba nie od razu pojął, o co jej chodzi.

– Wygląda na to, że zostaniemy tu na noc – powiedziała.

– Pewnie tak. – Wzruszył ramionami i nagle zrozumiał. – Zaraz, czy twoja Olga nie chodziła do szkoły muzycznej?

– Chodziła – przyznała Marika – i całkiem nieźle śpiewała.

Recepcjonistka była zachwycona, że może sprzedać kolejny apartament. Rodzki zapłacił z góry i wrócił po „bagażę”. Nakrył torbę płaszczem, żeby wyglądała na obszerniejszą.

– Skąd masz płaszcz?

– Zawsze wożę w bagażniku, bo kto wie, jaka będzie pogoda.

Zgodnie z informacjami zamieszczonymi na plakacie koncert miał zacząć się o dziewiętnastej. Artystka o pseudonimie scenicznym „Marika” obiecywała powalić słuchaczy niesamowitym głosem i o dziwo na sali w restauracji zebrało się całkiem sporo gości.

– Pięćdziesiąt trzy osoby – szepnął Rodzki do ucha Mariki. – Jak na takie zadupie to Olga chyba jest gwiazdą.

– O ile to ona.

Olga wyglądała skromnie i pięknie.

Tyle lat jej nie widziała, a jednak rozpoznała bez trudu.

Wspaniała, zjawiskowa.

Jej mała Olga. Kwiatusek, który rozkwitł w pełni. Mogła prowadzić normalne, spokojne życie u boku jakiegoś przystojniaka, z gromadką szczęśliwych, roześmianych dzieciaczek. Na to zasłużyłaś, a nie na jeżdżenie po tancbudach, nie na ukrywanie się przed jakimś zбочonym waleń o politycznych koneksjach.

Dlaczego dałaś się wpuścić w tę aferę?

Śpiewała znane standardy, akompaniując sobie oszczędnie na pianinie, z przymkniętymi oczami, bez wysiłku, lecz również bez pasji. W jej śpiewie brakuje namiętności, pomyślała Marika, brakuje prawdziwego życia. Mimo to poczuła ciarki na ramionach. Każde powolne, niby od niechcienia rzucone uderzenie palca w klawisze rozdzierało jej serce.

Zauważyła Marikę przy czwartej piosence. Nie przestała śpiewać. Końcówka kawałka wyszła jej trochę gorzej, ale już kolejny utwór nabrał charakteru i smaku. Śpiewała dla niej, a widownia klaskała, doceniając coraz lepszy występ.

Rodzki zastanawiał się, czy nie powinien przypilnować Olgi, ale Marika go uspokoiła:

– Przyjdzie do nas, zobaczysz.

Po chwili rzeczywiście stanęła przed nimi, długo wpatrując się w Marikę.

– Czego tu chcesz? – zapytała w końcu.

– Policja szuka cię po całym kraju – odparła Marika spokojnie.

- Nic im do mnie.
- Sylwia zgłosiła zaginięcie.
- I co z tego?
- Sześć dziewczyn nie żyje.

Olga ściągnęła brwi, może zastanawiając się, skąd ta kolejna śmierć, o której nie wiedziała.

- Chciałabyś, żebym była następna?
- Dobrze wiesz, że nie.

– No więc zostaw mnie w spokoju. Zapomnij o mnie, do diabła.

Ostatnie zdanie niemal wykrzyczała. Większość gości spojrzała w ich kierunku. Przy wejściu koło baru zrobiło się nagle zamieszanie i przez grupkę kelnerów przebił się kudłaty facet, szerszy niż wyższy i w czerwonej koszuli w kwiatki. W rękę trzymał kij bejsbolowy.

- Wszystko dobrze, mała?

Olga uspokajająco podniosła rękę do góry.

- Poradzę sobie, Dżony.
- Bo jakby coś, to wiesz...

Dżony odszedł na bok i usiadł przy barze, mierząc Marikę i Rodzkiego złowrogim spojrzeniem.

- Usiądź – poprosiła Olę Marika.

Dziewczyna odsunęła krzesło i przysiadła na nim tak, jakby poduszka siedziska była nabita gwoździami.

- Co z Sylwią?
- Nic jej nie jest. Dlaczego uciekaś?
- A ty? Dlaczego ty uciekaś? I tak lepiej trafiłam, nie sądzisz? – Rozejrzała się po lokalu.

– Lepsze to niż wariatkowo, prawda?

- Nie miałam wyjścia – westchnęła Marika. – Wsadziliby mnie do więzienia.

– Nie, gdybyś pozwoliła mi mówić. Wygrałabyś proces i mogłabyś... Nie zostawiłabyś mnie. Ale ty wolałaś uciec. Tak było lepiej, prawda? Uciec, zostawić wszystko w cholere. No więc ja też uciekałam. Wzięłam przykład z ciebie i po prostu spierdoliłam. Tutaj, z dala od wszystkiego, mi dobrze. Nikt nie zadaje pytań i nawet jak próbuje mnie wypierdolić za friko, to z wdziękiem.

- Musimy się z tym zmierzyć. Ty i ja – szepnęła Marika.

– Zmierzyć? Nagle chcesz naprawiać świat? Zbawić wszystkich, zrobić im dobrze swoimi gładkimi słówkami i szerokim uśmiechem? Beze mnie, siostrzyczko. Ach nie, przecież ty nie jesteś moją siostrą. Tylko chciałaś się pod nią podszyć, ale w końcu pokazałaś prawdziwe oblicze. Uciekając.

Marika udała, że słowa Olgi jej nie zabolowały.

- Zginęło sześć dziewczyn – wróciła do sedna. – Może zginą kolejne...
- I ty masz na to sposób? Jaki? Też dać się zamordować?

Rodzki chrząknął.

- A ty co? – zaatakowała go Olga. – Kim jest ten fiut?

- Nie mów tak, to do ciebie nie pasuje.
- Gównno wiesz, co do mnie pasuje.
- Olgo!

– Co? – Skryła nagle twarz w dłoniach, wywołując gwałtowną reakcję Dżonego przy barze, a potem rzuciła się Marice na szyję i rozbeczała w głos. Dżony stanął jak wryty, cofnął się i usiadł.

– Kurwa, cholera jasna – przeklinała poprzez szloch Olga. – Dlaczego mnie zostawiłaś? Dlaczego, Mariko? Tak bardzo cię kochałam, do cholery...



– Przykro mi, mała. – Marika głaskała ją po plecach. – Chodźmy stąd. I tak chyba zrobiliśmy przedstawienie, o którym będą krążyć legendy przez następne sto lat.

– To fajni ludzie. – Olga wytarła nos chusteczką. – Nie mów i nie myśl o nich źle. Siedzą sobie na zadupiu i w nosie mają wszystkie gierki władz, ludzi ze świecznika, politykę, media, wybiegi i wszystkie te oszustki, które myślą, że wypielegnowanym sztucznym pięknem przykryją wewnętrzną brzydotę. Tutaj taki morderca z Warszawy nie miałby szans. Znaleźliby go w ciągu jednego dnia i zakatowali pałkami.

– A może wcześniej zakatowaliby kilku niewinnych? – mruknął Rodzki.

– Wal się, nic nie wiesz.

Podniósł ręce w geście kapitulacji. Może i racja – mówiły jego stare, mądre oczy. Po co pokazywać ci prawdziwą naturę ludzi, ty wolisz się sama o niej przekonać. I dopiero kiedy porządnie dostajesz w dupę, wiesz już, że po raz kolejny cię oszukano. Niech będzie, co mi tam. Twoja strata.

Olga wytarła głośno nos, a potem policzki z łez.

– Nie martwcie się o mnie – krzyknęła w kierunku baru. – Wrócę za jakiś czas, Dżony, dziękuję za wszystko.

Uniosła rękę i pozdrowiła zebranych, zginając i prostując po kolei palec za palcem.

Gest rozczulił Marikę, która pomyślała, że jednak Dżony to całkiem miły gość.

– Mieszkasz w hotelu? – zapytał Rodzki.

– Nie. – Olga pokręciła głową. – Tylko tutaj dorabiam, pomagam przy organizacji imprez oraz od czasu do czasu śpiewam. Mieszkanie tu byłoby zbyt niebezpieczne.

– Dlaczego?

– Dżony pracuje dla mafii, wszystkie dane hotelowe są dla nich do wglądu. Czasem przyjeżdża jakiś urząd kontroli i też weryfikuje dane, sprawdza, kto mieszka, czy wszystkie osoby są spisane, dowody zeskanowane. Gliny bywają tu średnio dwa razy w tygodniu. Podjeżdżają radiowozem i biorą sobie jedną czy dwie dziewczyny na ruszt. Gratis, oczywiście. Nie wiesz, jak to jest?

– Wiem – przyznał Rodzki.

– Później taki jeden z drugim zostają komendantami i przymykają oko na innych.

– Znam takiego jednego. Nazywa się Kutasiński.

– Dobrze nazwisko. Tak czy inaczej nie mogłabym narażać Dżonego, bo wcześniej czy później ktoś by się mną zainteresował. Wynajął mi letni domek kilka kilometrów stąd.

– Można w nim mieszkać zimą?

– Chyba nie.

– To co zrobisz, gdy lato się skończy?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Noce już bywają zimne, ale wytrzymuję. Na razie chciałam przeczekać. Potem by się zobaczyło. Pewnie wróciłabym do Sylwii. Może daliby nam spokój.

– Wiesz, komu zalazłaś za skórę? – Rodzki patrzył jej uważnie w oczy.

– Wiem, kim był ten chłopak Łucji i jak zatuszowano to morderstwo – przyznała. – Gdy potem zaczęły ginąć dziewczyny... Cóż, czegoś się od ciebie nauczyłam, siostrzyczko. Pamiętasz, co mi mówiłaś: jak robi się gorąco, bierz nogi za pas, a dopiero potem myśl. Myśl. No to myślałam i wymyślałam to, co wymyślałam.

Marika pokiwała głową. Kto wie, czy w ten sposób Olga nie uratowała życia? Kto wie, czy znajdując ją, Marika nie narazi jej niepotrzebnie?

– Zuch dziewczyna – szepnęła.

– Po co przyjechaliście?

– Mamy plan. Prowadź do tej swojej kryjówki.  
Marika spojrzała na Rodzkiego z zadumą. Czy rzeczywiście mieli jakiś plan?

– Uważajcie na komary – ostrzegła ich Olga.

Domek stał na skarpie, z której rozciągał się wspaniały widok na rzekę, pagórkowatą polanę, przez którą biegła polna droga, i nieco przerzedzony wysoki sosnowy las. Soczysta zieleń atakowała ze wszystkich stron, wydzielając intensywny zapach i głośno cykając nocnymi rytmami. Zejście wąską ścieżką tonęło w ciemności i szuwarach. Nad wodą unosiła się lekka mgiełka.

Posesja była jedyną sadybą w okolicy. Przyroda i do niej rościła sobie prawa. Zarośla i krzaki wdzierały się w kamienne fundamenty, pełzły po ścianach, wgryzały w tanią dachówkę. I te komary. Gdy przebiegali z samochodu do domu, przez moment aż zrobiło się od nich ciemniej.

Noc była jasna. Gwiazdy i księżyc w pełni oblewały okolicę błękitnym blaskiem.

Olga szybko włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi.

Rodzki z Marią opędzali się od komarów jeszcze przez chwilę.

– Jak sobie z nimi dajesz radę?

Olga uśmiechnęła się.

– Nie wiem. Na początku gryzły jak diabli, a teraz wydaje mi się, że już mi odpuszczają. Może uznały, że jestem częścią krajobrazu, i dały mi żyć.

– Boże, tu jest zarazem pięknie – Marika rozejrzała się – i strasznie. Nie bałaś się?

– Jak cholera, ale chyba lepsze to niż skończyć jak dziewczyny. Pierwsza noc była okropna, a potem zaprzyjaźniłam się i z żabami, i ze szczurami, a nawet z szerszeniami, które zbudowały sobie gniazdo o tam, przy tym drzewie. – Wskazała za siebie. – Dziewczyny nie miały tyle szczęścia...

– Kto powiedział ci, co się z nimi stało?

– Nikt. Wiedziałam o zabójstwie Łucji, a potem po kolei zniknęły Maria, Kaja, Anna i wreszcie Katia. Nie trzeba być Sherlockiem, siostrzyczko...

Rodzki zmarszczył brwi.

– Powiedziałaś, że lepiej wyglądać tak niż tak jak dziewczyny.

Olga chyba chciała zaprzeczyć, ale w końcu zrezygnowała.

– Katia zrobiła jej zdjęcia.

– Komu?

– Łucji. Zrobiła trzy zdjęcia komórką. Nie po to, żeby wrzucić je na fejsa, tylko żeby mieć dowód. U nich, w Rosji czy na Ukrainie, zawsze robi się zdjęcia w takim wypadku. Ktoś kogoś pobije, cyk – fotka, ktoś kogoś zabije – to samo. Tak lepiej. Wszystko musisz mieć udokumentowane. Tyle że tam to niewiele pomaga.

– U nas chyba już też...

– Właśnie. Zrobiliśmy wiele, żeby ciało nie zniknęło, żeby nie dało się tego zatuszować...

– A jednak się dało.

– No. Wychodzi na to, że jest gorzej niż w Rosji. Chodźmy do środka.

Olga otworzyła drzwi do pokoju, zapaliła główne światło i stanęła jak wryta.

W środku na fotelu ustawionym naprzeciwko drzwi siedział facet w garniturze. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak trup. Woskowa twarz ani drgnęła. Pistolet trzymany w prawej dłoni także się nie poruszył. Dopiero gdy mu się dokładnie przyjrżeli, Lisicki uśmiechnął się szeroko.

– Proszę, proszę. Wchodźcie dalej. – Wymierzył pistolet w Rodzkiego, a potem w Marię.

– Tylko bez niespodzianek. Nie chcę wam zrobić krzywdy.

– Drań – mruknęła Marika.

Olga spojrzała na nią z wyrzutem. No i co, siostrzyczko, jednak sprowadziłaś na mnie kłopoty? Możesz mi wyjaśnić, co na moim fotelu robi jakiś fiut z giwerą? Nie mówiłam, żebyś zostawiła mnie w spokoju?

Marika spuściła głowę, choć miała ochotę odpowiedzieć: Znalazłby cię wcześniej czy później.

Lepiej później, nieprawdaż?

– Ustawcie się przy ścianie, jedno przy drugim. – Pokazał im kierunek. – A więc to jest ta słynna Olga? No, no. Spisałeś się, partnerze.

Marika spojrzała na Rodzkiego.

– Ty również, partnerko. Naprawdę dobra robota – powtórzył pochwałę Lisicki.

– Nie wierz mu – powiedział Rodzki do Mariki.

Olga przekrzywiła głowę.

– To wasz kumpel?

Lisicki wstał, odsunął się o krok. Broń zatańczyła w powietrzu i znieruchomiała na wysokości ich twarzy, trzymana w obu dłoniach. Potem agent nagle opuścił pistolet.

– Dobra, dość straszenia, przecież was nie zastrzele, jesteście partnerami, ale wy chyba o tym zapomnieliście? Nieładnie tak zostawiać przyjaciela na pastwę jego myśli. Miewam skłonności samobójcze. W innych chwilach mam ochotę kogoś zabić. Teraz taka chwila nadeszła, jak się domyślacie.

– Czego chcesz?

– Najpierw oddajcie broń. W razie gdyby wam coś odbiło. Nie bój się, partnerko, nic ci nie zrobię. Ty też wykonałaś zadanie. Szkoda tylko, że mnie w nic nie wtajemniczyliście.

– Pracujesz dla Zwary – westchnął Rodzki.

Lisicki spojrzał ostro.

– Dla Zwary? Nie, partnerze. Pracuję dla kontrwywiadu, a nie dla żadnego Zwary.

– A że Zwara przypadkiem kontroluje służby bezpieczeństwa, to... – dodał Rodzki, ale nie dokończył.

Lisicki uśmiechnął się chłodno.

– Moja rola to zakończyć farsę i doprowadzić do przesłuchania tej dziwki.

– Fiut – warknęła Olga.

– Milcz, dziwko. Złożysz zeznania, powiesz wszystko, jak było, i zakończymy sprawę.

– Zrobisz z niej morderczynię – Rodzki raczej stwierdził niż spytał.

– Morderczynię? Uciekła z miejsca zbrodni, ukrywała się – czyż nie zasługuje na rolę podejrzaną? Zabiłaś swoje koleżanki? Były ładniejsze od ciebie? Brały więcej za laskę? Co cię tak wkurwiło, że musiałaś je zmasakrować? Czego użyłaś? Młotka czy może innego narzędzia? Znajdziemy je.

– Goń się, gnoju.

Marika zastanawiała się, jaką strategię obrać.

– Ona nie dożyje procesu – szepnęła. – Tego chcesz?

Lisicki popatrzył jej w oczy. Miał zimne, całkowicie pozbawione współczucia spojrzenie.

– Na razie jest główną podejrzaną, nie widziałaś wszystkich materiałów.

– O czym ty mówisz?

– Dowiesz się. Twoja przyjaciółka jest pieprzoną wariatką i miała motyw, żeby je zabić.

Trenowała boks, mówiła ci o tym? Mówiła, że ukradła z klubu średni młotek treningowy i prawdopodobnie jego użyła do zmasakrowania im twarzy? Narzędzia zbrodni nie znaleziono, ale wcale bym się nie dziwił, gdyby ta suka podrzuciła je gdzieś do domu Zwary czy w inne miejsce.

Marika spojrzała znacząco na Rodzkiego, który pozostał niewzruszony.

– A znalezione w mieszkaniu Katii przedmioty i jej zestawy z sex shopu? Wibrator z DNA ofiar? Wszystkie dowody wskazują na tę chorą dziwkę. Zamordowałaś je z zazdrości czy miałaś jeszcze jakiś inny motyw? Może kasa? No, powiedz...

– Wyprali ci mózg – szepnął Rodzki.

– Ty lepiej nic nie mów, partnerze, to może się uratujesz.

– Chronisz bandziora, poruczniku.

– Zwara to najlepszy koordynator służb w historii tego kraju – warknął Lisicki. – Dam sobie za niego rękę uciąć. Wszyscy moi partnerzy skoczą za nim w ogień. A ty... jesteś po prostu zwykłą esbecką mendą. Nie dam ci go ruszyć, draniu, rozumiesz?

Rodzki nie odpowiedział.

– Mamy podejrzaną, sprawa zamknięta.

– Lepiej ją zabij, bo powie wszystko o twoim przyjacielu – mruknął Rodzki.

– Zabij? Chciałbyś. Też byś to wykorzystał, co?

Rodzki nie ustępował.

– Zeznania Olgi pogrążą Zwarę, dobrze o tym wiesz. Dlatego nie dadzą jej zeznawać. Zginie, zanim złoży pierwszy podpis w protokole. Dlatego... musisz ją zabić.

Marika nie wierzyła własnym uszom. Rodzki... prowokował drania. To nie była dobra strategia. Chyba że... tak to sobie wymyślił. Nic już nie rozumiała. Kto był dobry, a kto zły?

Spojrzała na Olgę, która o dziwo nie histeryzowała, zamiast tego spoglądając wokół w skupieniu, jakby przygotowywała linię obrony.

– Nikogo nie zamierzam zabijać. – Lisicki nagle poprawił chwyt na broni i wymierzył do Rodzkiego. – Dobra, wyjmuj giwerę i kajdanki. Odwróć się i ręce na ścianę. To samo ty, Mariko. A ty stój, dziwko, i się nie ruszaj.

Skuł Rodzkiego, a potem Marikę. Przez chwilę miała wrażenie, że chce ją sprowokować, żeby zrobiła coś głupiego. Nie, Marika nie zrobi tego. Gdyby chciał ich zabić, zrobiłby to od razu.

– Dobra, wychodzimy – powiedział Lisicki. – Samochód zostawiłem w lesie, podjedziemy waszym.

– Dlaczego przyjechałeś sam? – zapytała Marika.

– Lubię działać w pojedynkę.

– Wyglądasz na takiego – mruknęła Olga.

Odwrócił się i uderzył ją w twarz. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, żeby runęła na ścianę. Marika wrzasnęła i kopnęła z całej siły. Uskoczył, dzięki czemu cios zamiast w jądra trafił w brzuch. Kolejny furiacki atak nogą wyłapał już na gardę, chwycił ją za łydke i pchnął na Olgę, uderzając jednocześnie w twarz pięścią. Marika poczuła krew na wardze i nagłe osłabienie. Nie była w stanie się ruszyć.

Lisicki stanął naprzeciwko Rodzkiego.

– Ty nie spróbujesz, partnerze?

– Nie mów tak do mnie.

– To jak? Chcesz się zmierzyć?

– Rozkuj mnie, to zobaczymy.

– Nie. – Usta Lisickiego zrobiły się nagle wąskie i śliskie. Jakby jednocześnie się uśmiechał i wykrzywił w grymasie obrzydzenia. – Takie są zasady. Mężczyzna walczy, a nie dopomina się o równe szanse. Nie jesteś mężczyzną. Już one... są lepsze. Przynajmniej próbowały.

Rodzki stał, milcząc.

– No proszę cię, ubeku, spróbuj!

Nie spróbował.

– Dobra, dzieci, koniec zabawy. Idziemy.

Otworzył drzwi i w tym samym momencie dostał fangę w nos.

Nadeszła niespodzianka.

Krysz był ostatnią osobą, jaką Marika spodziewała się spotkać w tym miejscu. Nie oczekiwała też po nim tak dobrego prawego prostego. Nie dał Lisickiemu szansy, tak jak i tamten nie dał szansy Marice czy Rodzkiemu. Skoczył na agenta ABW i bił krótkimi ciosami, aż ten stracił przytomność.

– Pedał – warknął. – Jebany pedał.

Potem odszukał kluczyki i ich rozkuł. Rodzki wyglądał, jakby miał ochotę podejść do Lisickiego i dołożyć coś od siebie, ale rozmasował tylko nadgarstki. Skuli porucznika, mocując jednocześnie kajdanki do poręczy metalowego stolika. Nadkomisarz zmierzył mebel wzrokiem i zapytał Krysza:

– Chyba nie będzie w stanie z nim wyjść?

Krysz uśmiechnął się.

– Kto wie. Ta dzisiejsza młodzież wiele potrafi. – Spojrzał na Marikę, która wciąż nie mogła zrozumieć.

– To moja niespodzianka – wyjaśnił Rodzki. – Miałem was poznać już u chłopaków, ale Krysz nie dotarł na czas.

– Przepraszam, korki. – Krysz uśmiechnął się zawadiacko. – Poza tym uznałem, że mogę przydać się później, no i jestem. Oto ja, Hubert Krysz we własnej osobie.

– To twoje prawdziwe nazwisko? – Marika uciekła wzrokiem.

– Tak – powiedział Krysz, który także wyglądał na lekko strapionego. – Posłuchaj, tamto...

– Nie ma o czym mówić – przerwała.

W drodze do Warszawy Rodzki wszystko wyjaśnił w krótkich żołnierskich słowach. Krysz, znany jej rzekomy przedsiębiorca paliwowy, był w rzeczywistości jednym z najlepszych policyjnych agentów działających pod przykryciem w świecie biznesu. Tak zwany przykrywkowiec wprowadzony do tego środowiska już pięć lat temu w supertajnej akcji, w której policja postanowiła spenetrować przestępczość gospodarczą.

– Wyłudzenia podatkowe, kreatywna księgowość, oszustwa bankowe i inwestycyjne, przestępczość giełdowa. Nuuuuuda.

– Penetrowanie środowisk luksusowych prostytutek to miła odmiana, co? – Marika zauważyła kąśliwie.

– Penetrowanie zawsze jest dość miłe.

Olga wykrzywiła usta z obrzydzeniem.

– Jesteś taki agent Tomek?

Krysz uśmiechnął się tylko.

– Też robisz sobie slit focie z walizką pełną kasy? A może wolisz pornofilmy? Nagrywasz... swoje ofiary?

Nie odpowiedział. Rodzki odczekał chwilę, a potem zakończył opowieść o przyjacielu:

– Z czasem Krysz mocno wsiąkł w środowisko i skutecznie się z nim związał. Mało kto wiedział o agencji o kryptonimie „Wezyr”. Nawet Lisicki nie był niczego świadom. Prowadził jednocześnie kilka akcji, a sprawa seryjnych zabójstw w świecie mody była chwilowym skokiem w bok.

– Musiałem się uwiarygodnić w tym środowisku i korzystanie z usług luksusowych prostytutek było jak najbardziej... hm, w temacie – wyjaśnił.

– W temacie? – westchnęła Marika. – Często korzystałeś z takich usług?

– Zdarzało się. – Krysz wzruszył ramionami. – Taka praca.

- Aha. A nie mogliście mnie jakoś uprzedzić?
- Rodzki mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.
- Spaliłabyś całą akcję. Na tamtym etapie... to było niemożliwe.
- Czyli ten piękny dom nie jest twój? – Marika przypomniała sobie willę w Konstancinie.

Jakoś od początku nie pasowała jej do Krysza.

– Niestety, należał do jednego przemytnika odstrzelonego przez chłopaków z gangu mokotowskiego. Biedakowi się wydawało, że jest nieśmiertelny. Finansista, kiedyś pracował dla funduszy emerytalnych, zrobił kilka przewałów, za które oczywiście nie poszedł siedzieć, a potem się rozzuchwalił i zaczął inwestować pieniądze mafii. Już pierwsza strata go oświeciła.

- Kule magnum ze spiłowanym czubkiem oświecają jak żadne – dodał Rodzki z uśmiechem.
- Chyba niespecjalnie wam go żal – zauważyła Marika.
- Gdyby mniej nakradł, może bardziej byśmy żalowali...
- ...o tak, gdyby mieszkał w ruderze i nie zostawił kont numerycznych, żal byłby

uzasadniony.

Mieli niezły ubaw.

- Nie zostawił testamentu, co?
- Tak się złożyło. Jego dom super sprawdza się jako lokal operacyjny.
- A fundusze zasilają operacje specjalne.

Olga przysłuchiwała się w milczeniu dyskusji, spoglądając na jej bohaterów tuż po tym, jak kończyli swoje kwestie. W końcu wbiła wzrok w szybę i pozostawała tak przez długi czas, jakby się wyłączyła. Ciemności za oknem były nieprzeniknione. Marika objęła dziewczynę i uściśniła mocno.

- Cieszę się – szepnęła do jej ucha. – To już koniec. Teraz nic ci już nie grozi.

Pogłaskała ją po policzku i włosach, a potem pozwoliła jej oprzeć głowę na swoim ramieniu. Po chwili Olga zasnęła. Chyba. Marika bała się poruszyć. Jej maleńka przyjaciółka znów była pod jej opieką. Nie pozwoli, by ją skrzywdzono. Tym razem zareaguje w porę. Zanim cokolwiek Oldze zagrozi.

Świtało, gdy dojeżdżali do Warszawy.

- Dokąd jedziemy?

Krysz uśmiechnął się.

- Spodobał ci się dom przemytnika, prawda?
- Lisicki go nie znajdzie?

– Za cienki jest. – Krysz uśmiechnął się porozumiewawczo. – To świetna meta. Nawet komendant główny do niej nie trafi. Pewne rzeczy służby takie jak nasza zachowują tylko dla siebie...

- I co dalej? – Marika spojrzała na Rodzkiego.

Podniósł do góry ręce, jakby chciał się poddać. Ale to nie był gest rezygnacji. Mam plan, mówiłem ci przecież, że mam plan. Nie pytaj więc, tylko wykonuj polecenia, a wszystko będzie dobrze.

Marika nie dała Kryszowi żadnych szans na powtórzenie tamtej nocy. Zamknęły się z Olgą w sypialni gościnnej na górze i niemal od razu zasnęły. Gdy wstały, Rodzkiego już nie było.

- Kto robi jajecznicę? – zapytał Krysz.

Olga spojrzała krytycznie na Marikę.

I ty byłaś z takim bucem?

Zjedli skromne śniadanie i zdążyli wypić kawę, gdy wrócił Rodzki. Komisarz stanął w drzwiach, zawahał się, po czym szybko podszedł do stołu i oparł się na krawędzi blatu.

- Wszystko załatwione – powiedział. – Za dwie godziny mamy konferencję prasową



w siedzibie telewizji. Po niej nic już nie będzie wam grozić.

Marika nie była przekonana.

– Zaraz, nie uzgodniliśmy tego.

– Musimy zaprezentować wyniki śledztwa i zeznania Olgi – wyjaśnił. – Bez sensu zabijać kogoś, kto nie ma niczego więcej do powiedzenia.

– Jeśli zakładamy, że o to chodzi zabójcy.

– A nie zakładamy?

– Nie wiem.

– Musimy to zrobić – naciskał. – Póki jeszcze możemy.

– Będą się mścić. – Marika wciąż nie była przekonana.

– Nie tym razem, uwierz mi. To zakończy sprawę. Zwara złoży dymisję, sejm powoła komisję śledczą, a my... wciąż będziemy was chronić, aż zyskamy pewność co do wszystkich kwestii.

Marika patrzyła na niego i w tej chwili straciła wiarę.

Rodzkiemu chodziło tylko o to.

Nie chciał znaleźć zabójcy.

Gównu go obchodziło, czy jest nim Zwara, czy może jednak to ktoś inny.

– Chyba że się mylimy. Wciąż nie mamy zabójcy...

– Znajdę go – zaoponował Rodzki. – Potem go znajdę. Jestem blisko, czuję to. Wszystko wskazuje na Zwarę lub jego syna i nie powinno być niespodzianki. Jeśli jednak to ktoś inny, także go złapię. Ale dzięki usunięciu wpływów Zwary nie będę miał związanych rąk.

Olga nie oponowała.

– Jeśli to pomoże, wszystko powiem – oznajmiła. – Opiszę cały schemat, chociaż wszystkiego też nie wiem.

– Wystarczy to, co masz do powiedzenia.

– Nie wiem, kto był na gorze.

– Ważne, żebyś powiedziała wszystko o Zwarze i tuszowaniu śledztwa – przypomniał Rodzki. – Nie daj się zapędzić w kozie róg, mów tylko to, czego jesteś pewna, i to, co widziałaś. Nie kłam, to ważne, żebyś nie kłamała. Prawda się obroni, kłamstwo cię pograży. To wystarczy.

– Wystarczy?

Rodzki westchnął głośno, usiadł i popatrzył tym swoim znudzonym, śmiertelnie zmęczonym wzrokiem.

– To będzie największa afera ostatnich lat. Może nawet zainteresuje media anglojęzyczne. Ubezpieczy cię. Nikt już nie odważy się zrobić ci krzywdy.

– Jesteś pewien?

– Tak, do cholery.

Rodzki wyszedł do łazienki, zamknął się w niej i obmył kilkakrotnie twarz lodowatą wodą. Bolały go oczy. Wszystko go bolało. Był cholernie starym, nikomu niepotrzebnym detektywem, który musiał od tygodni robić coś zupełnie inaczej, niż go nauczono. Czuł, że jeszcze chwilę i coś trzaśnie mu w piersi. Nie będzie już odwrotu. Ale był tak blisko. Musiał wytrzymać.

Marika przytuliła Olę.

– Jesteś pewna?

– Tak. Muszę to zrobić, nie mogę wiecznie uciekać.

– Boję się – szepnęła Marika. – Ludzie potrafią być okrutni, przyszywają łątkę i wyciągają najprostsze wnioski. Potem ciężko się z tego oczyścić.

– Poradzę sobie.

– Jesteś silna, twarda, ale media... nie będą pobłażliwe. Musisz być przygotowana na

wszystko. Potraktują cię okrutnie. Będą szukać dziury w całym, pilnować, prowokować, nęcić. Staniesz się zwierzyną łowną, na którą sezon polowań nigdy się nie kończy, bez żadnego okresu ochronnego. A jeśli spodoba się to tłumowi, wszyscy zaczną grzebać, szukać i kłamać, żeby tylko zyskać zainteresowanie i poklask.

– W końcu o to mi chodziło, prawda? – Olga się uśmiechnęła.

– O co?

– Żeby być w centrum uwagi. Chciałam być celebrytką, no to jestem...

Olga stanęła mocno na ziemi i spojrzała odważnym wzrokiem.

– Będzie dobrze – zakończyła.

Uściskały się, a potem pozwoliły Rodzkiemu przedstawić cały plan działań.

– Po nagraniu będzie po wszystkim. Będziecie wolne. Obie – zakończył.

Marika uścisnęła dłoń Olgi. Przyjaciółka odwzajemniła uścisk.

– Zatem do dzieła – zawołał Krysz.

Siedziba telewizji mieściła się tuż przy trzypasmowej wylotówce. Budynek o nowoczesnej bryle z dziesiątkami anten satelitarnych i urządzeń nadawczych na dachu wyglądał trochę jak centrum badań kosmicznych.

Wjechali na parking, Rodzki i Krysz wysiedli pierwsi, rozglądając się wokół niespokojnie. Obaj mieli na sobie czarne garnitury. W przeciwslonecznych lustrzankach wyglądali jak agenci ochrony. Przeprowadzili Marikę i Olgę do drzwi, Rodzki przedstawił się w recepcji, wciąż rzucając naokoło niespokojne spojrzenia. Chyba ciągle się bał, że w ostatniej chwili wpadnie tu jakaś brygada agentów czy antyterrorystów i odetnie prąd. Koniec zabawy. Dziewczyny idą z nami. A wy do paki.

Zachciało wam się zadzierać ze Zwarą.

A przecież mówiono wam: lepiej nie szukaj Zwary, co znaczyło ni mniej, ni więcej, co niegdyś: kto nie z Miciem, tego zmieciem.

Telewizor zawieszony nad recepcją nadawał dwudziestoczworgodzinny program informacyjny. Prywatna telewizja wprowadziła w Polsce taki kanał mimo wątpliwości analityków i odniosła wielki sukces. Zresztą dawniej stacja była znana z odważnego podejścia i wprowadzania różnych nowinek, które szybko docenili widzowie. Potem wszystko utonęło w komercji. Mimo to Marika cieszyła się, że Rodzki wybrał właśnie tego nadawcę. Prezenterka na ekranie skończyła czytać serwis informacyjny, a następnie, jakby dostrzegła przybyszy, przeczytała z promptera:

*Informacja z ostatniej chwili: za pół godziny nadamy relację ze specjalnej konferencji o szokującej megaafery na najwyższych szczeblach władzy. Informacje są tak sensacyjne, że aż trudno w nie uwierzyć. Zostańcie państwo z nami.*

Na ekranie pojawiła się czerwona belka z napisem:

**TYLKO U NAS: MEGAAFERA NA SZCZYTACH WŁADZY; WKRÓTCE SZCZEGÓŁY**

Marika patrzyła zdumiona, jak eksperci od dozowania napięcia podają kolejne strzępki informacji mające zachęcić widzów do skupienia uwagi na telewizorze.

**POLITYCY, AKTORZY, CELEBRYCI ZAMIESZANI W SEKSSKANDAL! WIĘCEJ: ZA CHWILĘ NA ANTENIE...**

– Dzień dobry – usłyszeli za plecami głos sympatycznej kobiety koło pięćdziesiątki. Powiedziała, że jest producentem, i poprosiła, by poszli za nią.

Przeszli do pomieszczeń charakteryzatorów, którzy delikatnie upudrowali im twarze. Technicy, korzystając z okazji, podczepili do ich ciuchów mikrofony i mikrofony. Tu również ekrany wyświetlały program informacyjny. Wiadomości na czerwonym pasku nie pozostawiały wątpliwości, że są już bohaterami tego dnia.

**SERYJNY MORDERCA GRASUJE W ŚRODOWISKU POLSKIEGO SHOW-BIZNESU! SENSACYJNE ZEZNANIA LUKSUSOWEJ PROSTYTUTKI!!! OGLĄDAJ TYLKO NA NASZEJ ANTENIE...**

– Zostałam gwiazdą – mruknęła Olga.

– Megagwiazdą – usłyszała za plecami głos Szamockiej. – Wybrałaś najlepszy sposób. Robienie dobrych rzeczy nikogo nie interesuje. Żeby przykuć uwagę mediów, najlepiej spowodować wypadek po pijaku, uprawiać publicznie seks lub kogoś zamordować.

– To ona jest ofiarą – upomniał ją Rodzki.

– Czyżby?

Szamocka odwróciła się i odeszła. Długo patrzyły na jej plecy.

Rodzki chrząknął i wyjawiał im, że Szamocka ma powody do traktowania sprawy osobiście, bo była kochanką ojca Soni i prawdopodobnie dlatego kryła ją na tyle, na ile mogła.

– Skąd wiesz?

– Kryszowi prawie udało się złapać głównego machera. Twierdzi, że to nie jest Polak, tylko przyjaciel ojca Soni, tego muzyka. Szamocka wciąż go podobno kocha. Krysz usłyszał na jakimś przyjęciu anegdotę, że podczas kręcenia jednego hitu kinowego pewna aktorka pobiła się z Szamocką o tego muzyka. Obie były jego kochankami.

Marika zastanowiła się nad tym, co usłyszała.

Czyżby rola Szamockiej była w tym wszystkim jeszcze większa, niż się spodziewała? A może to ona tym kręci? Założyła fundację, żeby ściągać dziewczyny do prostytutki? Nie, to niemożliwe.

– Chodźmy, sala konferencyjna jest już gotowa – powiedziała producentka.

Poprowadziła ich korytarzem, z którego odchodziły wejścia do poszczególnych sal studyjnych, by w końcu zatrzymać się przed ostatnimi drzwiami. Na sali przed niewielkim podestem ze stolikiem i miejscami siedzącymi dla bohaterów spektaklu rozstawiono kilkadziesiąt krzesełek.

– Panie komisarzu, pan usiądzie z boku, z prawej strony. Pani Olga w środku. A po lewej będzie miejsce dla naszego reportera śledczego, który poprowadzi konferencję. Zaraz się poznacie.

– Znamy się. – Rodzki skinął głową.

– Dobrze, zatem ustalone.

Odeszła.

– Na pewno nie chcesz, żebym siedziała obok ciebie? – zapytała Marika.

Olga pokręciła głową.

– To nie twoja sprawa. Ty... już raz mi pomogłaś.

– Zawiodłam cię.

– Nieprawda. Zrobiłaś, co mogłaś. To ja dałam ciała.

Uściskały się i Olga z Rodzkim podeszli do podestu, pozwolili przypiąć sobie mikrofony i usiedli za stołem. Sala powoli zaczęła zapełniać się fotoreporterami i dziennikarzami innych mediów. Rodzki wytłumaczył wcześniej Marice, że naciskał na konferencję oraz program na żywo, gdyż bał się, że telewizja może coś zmanipulować lub wyciąć zbyt drażliwe fragmenty. Dla telewizji konferencja też była wygodniejsza, gdyż w wypadku pomówień nie będzie musiała za nie odpowiadać przed sądem. Całą odpowiedzialność biorą na siebie mówcy. Rodzki, a raczej Olga. Tak, to ona będzie w centrum uwagi.

To ona musi uważać na słowa.

Zacisnęła pięści.

Nie, nie musi uważać. Dość tego, nie można dłużej się bać, strach jest zły, strach to akceptacja zła. Powie prawdę. Skończy z tym cholernym seksbiznesem uprawianym pod płaszczykiem niby uczciwych agentów, fotografów, biznesmenów i cholernych polityków. Koniec z wami. Raz na zawsze.

Krysz zostawił ją i usiadł nieco z boku w pierwszym rzędzie.

Marika wyszła na korytarz i spojrzała na ekran telewizora. Teraz cały kipiał już od informacji dotyczących największej afery roku ujawnionej przez telewizję. No tak. Ujawnili aferę, a co z Olgą? Zostawia ją na pastwę wszystkich wrogów, sami może zaczną ściągać. Nikt się nią nie będzie przejmował.

Tylko ona. Musi być silna. Musi wytrwać przy niej.

**JUŻ ZA CHWILĘ KONFERENCJA NA ŻYWO, KTÓRA WSTRZĄŚNIE POLSKIM**

## SHOW-BIZNESEM I KLASĄ POLITYCZNĄ. LUKSUSOWA CALL GIRL UJAWNIA SZOKUJĄCE SZCZEGÓŁY PŁATNEJ MIŁOŚCI W WIELKIM ŚWIECIE.

I kolejny news:

**CZY ZNANY POLITYK ZLECAŁ ZABÓJSTWA PROSTYTUTEK?**

Gdy prowadzący konferencję dziennikarz rozpoczął prezentację siedzących za stołem osób, sala pękała w szwach. Marika wcisnęła się w drzwi, stając tak, by Olga jej nie widziała.

To musiało być i tak wystarczająco trudne.

Wtedy usłyszała jakąś awanturę na końcu korytarza i zobaczyła pokancerowanego Lisickiego w towarzystwie trzech innych agentów oraz pięciu ochroniarzy telewizji w czarnych koszulkach i spodniach. Ochroniarze starali się przyblokować i powstrzymać agentów, którzy wymachiwali służbową bronią i legitymacjami. Lisicki głośno przeklinał i nawoływał:

– Proszę to natychmiast przerwać. Nie będzie żadnej konferencji. Kurwa, powystrzelam was, dupki, przepuście mnie.

Marika oderwała się od ściany i stanęła na środku korytarza.

Lisicki zatrzymał się. Był w opłakanym stanie po laniu, jakie dostał od Krysza. Jego policzki i oczodoły miały przedziwnie tęczową barwę, a na czole wykwitł mu wielki guz, z rozdrapaną raną na środku. Najlepszy jednak był nos, niemal przestawiony na bok.

„Jeśli będzie trzeba, przestawię ci tę faję na drugą stronę – pomyślała. – Tym razem nie mam kajdanek, więc zobaczymy, kto jest lepszy”.

Za plecami Marika usłyszała chrząknięcie i pierwsze słowa Olgi.

Lisicki zrozumiał, że nic już nie robi. Nie może wejść na salę i wszystkich zastrzelić.

Przegrał.

– Zatrzymaj to, Mariko – szepnął. – Ty jedna możesz jeszcze powstrzymać to szaleństwo.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

Lisicki mówił bardzo nieskładnie i początkowo w ogóle go nie rozumiała. Dopiero po chwili powoli zaczął dochodzić do niej sens jego słów.

– Do diabła, Mariko – zaczął od początku – to oszustwo, rozumiesz? Rodzki oszukał nas wszystkich. To... jego plan.

– Mów – warknęła Marika.

– Nie ma czasu. Wejdz tam i krzyknij, żeby Olga nie mówiła nic więcej.

– Nie mogę.

– Właśnie że możesz, ty jedna możesz.

– Nie.

– Jeśli tego nie zrobisz, zniszczysz życie niewinnego człowieka.

– Nikt nie jest niewinny. Mów, o co chodzi, albo... pieprz się. Nie mam powodów, by ci ufać.

– Wiem, jestem kutasem – przyznał Lisicki i nagle, na tę jedną krótką sekundę, zyskał u niej wiarygodność. W tym, że jesteś kutasem, się zgadzamy. I tylko w tym. – Ale to ja stoję po jasnej stronie mocy, a Rodzki jest złem. Czystym złem.

Marika milczała. Czekała. Lisicki zdał sobie chyba sprawę z porażki, opuścił ręce z rezygnacją i pozwolił się wyprowadzić ochroniarzom do holu, gdzie już czekał jeden z szefów telewizji i zastęp prawników. Marika szła za całym tym korowodem. Wysłuchiwała krótkiej wymiany zdań, podczas której agenci ABW wyrazili skruchę i poprosili o możliwość obejrzenia konferencji na jednym z odbiorników przy barze. Szef telewizji się zmył, ochroniarze za to zostali, założyli ramiona za plecy, wypięli wyzywająco klaty i złowrogo łypali na Lisickiego.

Olga właśnie dochodziła do opowieści o pierwszym zabójstwie.

Marika przystawiła krzeselko i usiadła przy Lisickim.

– O co tu chodzi? – zapytała.

– I tak jest za późno – westchnął agent. – Wykorzystał was, ułożył, jak chciał.

– Powiedz mi.

– Co to zmieni? – zapytał jakby sam siebie, ale po chwili zaczął mówić: – Rodzki to stary esbek.

– Słyszałam, co mówiłeś nad rzeką – oznajmiła niewzruszona.

– Zwara poważnie zalażł mu za skórę, spięli się już dawno temu, gdy Zwara był w komisji weryfikacyjnej i... testował Rodzkiego. Był przeciw.

– Jednak Rodzki został w policji.

– Tak, ale Zwara korzystał z każdej okazji, by mu dokopać, bo wiedział, jaki to sukinsyn.

– A co takiego zrobił?

– Tego nie wiem, nie widziałem jego teczki. Wiem jednak, że to był kutafon. Wierzysz esbekowi? Może też jesteś po prostu głupia. – Chyba już mu nie zależało na Marice, wiedział, że nic nie wskóra, więc mówił, co myśli naprawdę: – Głupia cipa.

– Przestań – warknęła.

– Zrobił was, cholera jasna, naprawdę was zrobił. – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– I z waszą pomocą rozwali niesamowitego faceta.

– Zwara sam sobie zasłużył. Mógł nie kryć syna.

– Kryć syna?

– To może siebie. Pewnie nie wiesz, że w jego domu letniskowym znaleźliśmy potencjalne

narzędzie zbrodni. – Opowiedziała mu o zdarzeniach z lasu i przeszukaniu w domu Zwary.

– To jakaś bzdura albo kolejna intryga Rodzkiego. Skąd wiesz, że sam tego tam nie podłożył?

– Widzieliśmy zabójcę. Uciekał przed nami.

– Tak, a może to ten cholerny Krysz się przebrał i was tam zaprowadził? Skąd wiesz, że tak nie było, że to nie było ukartowane? Uciekał, a potem wracał, żebyś tylko sama odnalazła dom Zwary. Niezły przypadek. Mariko, tacy ludzie jak Rodzki czy jego kumpel Krysz nie mają skrupułów. To bandyci w mundurach. Prawdziwa mafia. Zwara nie krył syna ani siebie.

Następnego dnia po zabójstwie Łucji Krychowiak zgłosił sprawę premierowi i oddał się do jego dyspozycji. Naciskał, by go nie informować i by śledztwo powierzyć najlepszym śledczym.

Nikogo nie chciał kryć. Zrobił wszystko wzorowo.

– Wzorowo? – prychnęła. – Zginęło pięć dziewczyn.

– Teraz już sześć – przypomniał.

– Właśnie.

– Co nie znaczy, że winny temu jest Zwara. Zrobiliśmy wszystko, by znaleźć mordercę, nawet zaakceptowaliśmy w śledztwie takiego esbeka jak Rodzki. Daliśmy się podejść, bo on zamiast szukać mordercy, szukał tylko haków na Zwarę.

Marika zawahała się. Nie, nie możesz dać mu się omamić.

– Ale zabójcy nie znaleziono – szepnęła.

– To prawda – przyznał Lisicki. – Nie znaleziono. Jednak nie przez Zwarę. Po prostu był od nas lepszy. Nie wiemy, kim jest, i ciągle go szukamy, ale to, co zrobiliście z Rodzkiem, na pewno nie pomoże. Zniszczyć takiego człowieka jak Zwara... Cholera by was...

– Widziałam spreparowane raporty ze śledztwa...

– Widziałas to, co chciał ci pokazać Rodzki.

W oczach Mariki pojawił się delikatny cień wątpienia. Naprawdę odległy. Wysłannik ledwie widoczny na horyzoncie, który w każdej chwili mógł zawrócić i odjechać. A co, jeśli Lisicki mówi prawdę i Rodzki to wszystko zaplanował? Nie, to niemożliwe.

– Pomyśl – podsycił ogień Lisicki. – Dlaczego Rodzki przyszedł do tej telewizji? Nie wiesz pewnie, że mają na pieńku ze Zwarą, bo wytykał im niejasne pochodzenie kapitału założycielskiego oraz powiązania akcjonariuszy ze światkiem przestępczym. Teraz też się mogą zemścić... Mają wspólnego wroga...

– Jeśli Zwara jest taki święty, dlaczego nie naciskał na szukanie seryjnego? Dlaczego sam nie wyszedł do mediów? No powiedz, dlaczego, cwaniaku?!

– Bo nie wiedział, z czym tak naprawdę mamy do czynienia.

– Chrzanisz.

– Było zabójstwo Łucji przed kilkoma miesiącami i nic więcej, dopiero wiosną zaczęły ginąć kolejne dziewczyny i Zwara zareagował od razu, gdy się o tym dowiedział. Znowu poprosił ABW o objęcie nadzorem sprawy, choć złapanie zabójcy to robota dla glin. Zwara zrobił wszystko jak trzeba, a wy i media zrobicie i tak z niego drania. To jest wkurwiające.

– Byłeś przecież z Rodzkiem od początku – westchnęła. – Nie dam ci się oszukać.

– To nie daj, już i tak za późno. Ja nie wiedziałem, w co gra Rodzki. Dopiero niedawno odkryłem powiązania Rodzkiego ze Zwarą i zrozumiałem, co zamierza ten brudny gliniarz, jaką dostał szansę na zemstę od pokreconego losu. Zgodziłem się na zaangażowanie w sprawę ciebie, bo istniał cień nadziei, że w ten sposób znajdziemy Olgę. Ona może być kluczem do sprawy. Ale nie w ten sposób. Nie poprzez zmieszanie z błotem Zwary.

– Nie wierzę ci. Chciałeś zrobić Olgę, a Olga jest niewinna.

– Skąd wiesz? Taka jesteś jej pewna?

– Tak – odparła szybko i zaraz ponownie zadała sobie to pytanie. Nie, nie chciała na nie

odpowiadać. Cokolwiek by się stało, była po stronie Olgi. Nawet jeśli zabiła te dziewczyny? Widocznie miała powód.

Lisicki chciał jeszcze coś powiedzieć, ale machnął ręką i wlepił wzrok w telewizor. Marika poszła za jego przykładem. Olga właśnie dochodziła do kwestii cenników obowiązujących za wynajmowanie na noc modelek i aktorek.

– Znane nazwiska były premiowane, dziewczyny bez statusu gwiazd musiały pogodzić się z nieco niższymi stawkami. Ale za granicą to się wszystko mieszało. Jeden czy drugi szejk, biznesmen z Romy, hiszpański finansista, francuski restaurator czy włoski kierowca wyścigowy nie mieli pojęcia, że pierdołą znaną aktorkę czy modelkę.

– Ughm – upomniał ją prowadzący dziennikarz. – Jesteśmy w paśmie popołudniowym, gdybyś mogła wyrażać się bardziej...

Wzruszyła ramionami.

– Nie ma sprawy. Tak więc, jak mówiłam, w zasadzie było to bez znaczenia, czy ktoś jest gwiazdą, czy dopiero zaczyna. Liczyło się, że jest chętny i ma... warunki. Tyle tylko, że w reklamach szeptanych to działało. Nasi naganiacze chodzili i rozpowiadali: mamy znaną piosenkarkę, którą można wydymać... przepraszam, mieć za tysiąc euro. No to czemu nie? Tysiąc euro w tę czy w tamtą, a zawsze to zaliczona potencjalna gwiazda. Nawet jeśli dziś nic nie znaczy, to może kiedyś jej się uda. Co z tego, że nasze dziewczyny raczej nie mają wielkich szans na międzynarodowy sukces. Była moda na Niemki, była na Szwedki i Rosjanki, to może będzie na Bułgarki, Polki czy Ukrainki. Kwitło to na tyle dobrze, że Soni zaczęło brakować dziewczyn i musiała czasem odmawiać nawet stałym klientom.

Dziennikarz prowadzący westchnął głośno.

– Chcesz powiedzieć, że luksusowa prostytutka ma aż taką skalę?

– A w telewizorze to nie działa na tych samych zasadach?

Prowadzący zakrztusił się kawą.

Przez ekran przeleciał wielki baner:

**SZOKUJĄCE WYZNANIA LUKSUSOWEJ PROSTYTUTKI. NA ŻYWO!!!!**

– W jaki sposób dokonywano płatności? – zapytał po tej krótkiej przerwie reporter.

– Głównie gotówką, ale niektóre dziewczyny chciały przelew na konto. Potem Sonia już chyba tak wołała. Czasem podpisywała też umowy, żeby nie wszystko szło na lewo.

– Często wymieniasz imię „Sonia”...

– Tak.

– Kto to? Znasz jej nazwisko?

– To żadna tajemnica. Sonia Trybacka jest prawie osobą publiczną.

– Trybacka – udanie zdziwił się reporter, bo przecież wcześniej został o tym poinformowany.

Nie ma to jak dobra ściema. – Córka Hart Angela, Staszka Trybackiego?

– Ta sama.

Kamera pokazała zszokowane oblicze prowadzącego. Przez ekran ponownie przeleciała autoreklama z banerem o megaafierce, a za nim wielki na cały ekran napis:

**PROSTYTUTKA OSKARŻA SŁYNNEGO MUZYKA O STRĘCZYCIELSTWO!**

– Nie powiedziała tego – westchnęła Marika. – Mówiła tylko o jego córce.

– Co to ma za znaczenie – mruknął Lisicki i chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale Marika uciszyła go gestem dłoni i szepnięciem: ciii.

– No dobrze – dziennikarz zerknął do kajetu. – To co mówisz, jest doprawdy szokujące, ale mamy też porozmawiać o czymś jeszcze gorszym.

– Tak? – Olga skinęła głową.

– Czy to prawda, że przez ostatnie tygodnie ukrywałaś się?



– Tak.

– Dlaczego?

– Bałam się.

– Czego?

– Że zostanę zamordowana... Gdy dziewczyny z naszego otoczenia zaczęły zniknąć, ja po prostu...

– Słuchamy... Powiedz wszystko od początku.

– Rok temu trzy nasze dziewczyny miały specjalne zlecenie na noc do syna pewnego polityka i jego kolegów. Doszło do... tragedii. Jedna z dziewczyn została zamordowana. Potem zaczęły ginąć inne.

– Ginać?

– Znikały.

– Ile było tych zniknięć?

– Sześć.

– Sześć? – upewnił się dziennikarz. – Dużo. I policja nic nie robiła? – Zerknął na Rodzkiego, który zachował kamienne oblicze.

– Nie wiem, uznałam, że lepiej się ewakuować.

– Dlaczego?

– Już mówiłam, bałam się.

– Nie lepiej było się zgłosić na policję?

– Bałam się też policji.

– Z jakiego powodu?

– Ten polityk, którego syn był zamieszany w zabójstwo, zajmuje się... służbami specjalnymi.

– Och, służbami specjalnymi – powtórzył prowadzący.

– Tak.

– Jak się nazywa?

– Dariusz Zwara.

Prowadzący udał ogromne zaskoczenie i przesadnie się przeraził.

„Nieży aktor – pomyślała Marika. – Powinieneś występować w telewizji. Zaraz, przecież występujesz...” Żarty własnego pokręconego umysłu nie były w stanie jej rozbawić. Spojrzała na Lisickiego, którego twarz nie wyrażała już żadnych emocji.

Stało się, co się miało stać.

– Dariusz Zwara? – kontynuował tymczasem swoją grę reporter prowadzący konferencję.

– To szef zespołu do spraw bezpieczeństwa narodowego! Zdaje pani sobie sprawę, kogo... oskarża?

Olga skinęła głową.

– Właśnie dlatego się bałam. Powiedziano mi, że Zwara nadzoruje policję, ABW i inne służby i jeśli będzie chciał, to może wszystko. Dziewczyny ginęły, nikt się tym nie interesował, zaczęłam się poważnie bać i postanowiłam uciec, żeby przeczekać.

– Co pan na to, komisarzu? – dziennikarz zwrócił się do Rodzkiego.

Pod jego postacią pojawił się podpis na białym tle, a po sekundzie czerwona tablica z napisem:

**LUKSUSOWA PROSTYTUTKA OSKARŻA DARIUSZA ZWARĘ! CZY ZNANY POLITYK MATAczył W ŚLEDZTWIE W SPRAWIE SERII MORDERSTW? SENSACJA GONI SENSACJĘ.**

Lisicki walnął pięścią w stół i wstał gwałtownie.

– Dopiełściście swego. Za chwilę Zwara złoży dymisję. Cholera by was... Cholera...

Wyszedł, a za nim wyszli jego przyjaciele.

Marika została sama. Patrzyła na ekran, na którym Rodzki spokojnym, wyważonym tonem potwierdzał słowa Olgi i pogrążał Zware. Mówił bardzo precyzyjnie, ze szczegółami, jakby dokładnie to sobie przygotował. Opisywał brak koordynacji w śledztwie, podejrzone działania służb specjalnych, niezwykle nadzór nad śledztwem narzucony policji przez ABW. Dodał parę pikantnych opisów dotyczących przenikania się świata podejrzanego biznesu, finansjery i polityki, przypomniał o prostytutkach zamawianych na imprezy dyplomatyczne oraz skandale towarzyszące party organizowanym przez koła rządowe i prezydenckie.

– Tajemnicze przedstawienia, sekretne stowarzyszenia, religijne sekty przenikające do świata władzy zawsze przyciągają wynaturzenia, seks i zbrodnię – zakończył. – Szczególnie jeśli jest ona pod ochroną wpływowych notabli.

Cholera, Lisicki miał rację. Rodzki chciał wykończyć Zware i doskonale wiedział, jak to zrobić. Wszystko sobie przemyślał.

A media mu w tym nieświadomie bądź świadomie pomogły.

To był do końca szalony dzień. Dymisję Zwary premier przyjął niespełna godzinę po zakończeniu konferencji Olgi i Rodzkiego. Dwadzieścia minut później wydano oświadczenie, a wieczorem szef rządu poinformował, że sprawą morderstw zajmie się specjalny zespół złożony z najlepszych funkcjonariuszy, których osobiście dobrać nadkomisarz Rodzki.

– To powinno zabezpieczyć postępowanie przed ewentualnymi wpływami w służbach specjalnych pana Zwary.

Poza Kryszem do zespołu włączono trzech policjantów z Komendy Stołecznej oraz po dwóch śledczych z jednostek w Krakowie i Gdańsku. Wszyscy byli przyjaciółmi Rodzkiego. Cała ta gwardia dziwnym trafem czekała już w Warszawie i pojawiła się w nocy w domu w Konstancinie.

Wyglądali jak gromada odpadów z dawnych lat.

Komuno, wróć.

Wystarczyło im pół godziny, by salon zamienić w obskurny pokój w komisariacie rodem z jakiegoś filmu z lat osiemdziesiątych. Zadymiona, cuchnąca oparami wody przestrzeń, zepsuta i skażona, pełna opasłych brzuchów, potu, rozpiętych mundurów i wyzierających spod nich białych podkoszulków na ramiączka.

Nieźle.

Ktoś dał im szansę znów wypłynąć.

Olga i ona.

Obie zrobiono w konia.

Marika zastanawiała się, jak to rozegrać.

Konfrontacja z Rodzkiem nie miała sensu, nic by nie dała. Jednocześnie paradoksalnie Olga mogła się czuć naprawdę bezpieczna. Gdyby teraz zginęła, Rodzki zostałby skompromitowany. Będą więc pilnować jej jak oka w głowie. A może nawet znajdą prawdziwego zabójcę. Pod warunkiem, że sami nie zabijali tych dziewczyn, żeby załatwić Zware. No ale to nie zmienia w żaden sposób sprawy bezpieczeństwa Olgi. Nic jej już nie groziło.

A oni?

Byliby do tego zdolni? Byliby zdolni do zabójstwa, do serii zabójstw, żeby tylko zniszczyć jakiegoś polityka? Czy to naprawdę aż tak gruba gra?

Nie, chyba nie...

Przypomniała sobie Krysza bijącego mocno, z pasją i bez litości Lisickiego. Pomyślała, że to wcale niewykłuczone.

Mógł być zabójcą.

Z pewnością był psychopata. Ktoś, kto bije w ten sposób, jest psychopata.

Nawet ona miała więcej litości dla swoich ofiar.

Rodzki? Raczej nie, choć kto wie.

Pozostali? Byli dla niej zbyt obcy, nieznani, by mogła rzucać takie oskarżenia.

Ale Krysz mógłby być zabójcą.

Przypomniała sobie jego dzikość i energię, z jaką uprawiał seks. Dłonie na jej biodrach, silne ciało domagające się spełnienia. Tak, to był typ dominujący, typ pana i władcy. Typ zabójcy.

Czarna postać z lasu? Czy to mógł być też on?

Nie, tamten wydawał się znacznie mniejszy, szczuplejszy. Tyle że czarny strój przecież wyszczupla, optycznie może pomniejszyć postać. A bieganie? Z żartów, którymi się wzajemnie teraz zasypywali, zrozumiała, że Krysz jest niemal zawodowym maratończykiem i biega po kolei

wszystkie wyścigi uliczne. To by wyjaśniało, dlaczego nie mogła go dopaść.

Cholera, ale się wpierdoliłyśmy.

Nie, Olga nie. Tylko ona.

Ale się wpierdoliłam...

– Co cię gryzie? – Rodzki podszedł do niej po raz pierwszy tej nocy. Wyczuła woń alkoholu i odwróciła głowę. Wcześniej jej to nie przeszkadzało, teraz tak.

– Jaki jest dalszy plan?

– Znajdziemy drania – obiecał Rodzki. – Zrobimy teraz wszystko, jak trzeba. Daję ci słowo, że w ciągu miesiąca będziemy go mieć. Jeśli to nie jest Zwara lub jego syn, i tak będziemy go mieli.

– Aha.

– Do tego czasu Olga będzie pod naszą opieką, nic jej nie grozi. Będzie pod ciągłą obserwacją, obiecuję ci.

– Okay.

– Mariko!

– Tak?

– Co cię ugryzło? Powiedz mi!

– Nic, po prostu... dziwnie się czuję.

– Teraz jest już z górki. Najważniejszy wróg został pokonany. Wykonawca rozkazów to płotka. Zobaczysz, poradzimy sobie.

A może jednak i Rodzki byłby do tego zdolny?

Wszystko, co jej pokazywał, było pozorowane. Zakładał maskę. Co by zobaczyła, gdyby ją zerwała? Rekina, lamparta, lwa, pumę, a może zwykłego pierwotniaka? Bardziej zabójczego niż jakikolwiek z naczelnych czy innych drapieżnych istot?

Marika udała śpiącą i poszła do swojego pokoju. Krysz przyszedł do niej w nocy. Był pijany i nachalny. Odczepił się dopiero, gdy przystawiła mu nóż do krocza.

– Nie jestem już dziwką, pojmujesz?

– No dobrze, dobrze, uspokój się. Myślałem, że było nam fajnie.

– Jesteś pijany, a ja nie mam ochoty.

– Ale mam jeszcze szanse u ciebie?

Nie odezwała się.

Rankiem długo wahała się, co powinna powiedzieć Oldze. W końcu podjęła decyzję i nafaszerowała ją całym stekiem kłamstw. To nie był dobry ruch. Olga ją знаła, wiedziała, że łyże.

– Znów chcesz mnie zostawić?

– Skąd...

– Nie przejmuj się, siostrzo, przyzwyczałam się.

– Muszę coś załatwić – warknęła Marika.

– Pójdę z tobą.

– Nie możesz. Nie dam rady z takim ogonem. – Wskazała na całą gromadkę detektywów.

– Pieprzyć ich. Damy sobie radę, siostrzyczko.

– Tylko jeden dzień. Tylko tyle. Wytrzymaj! Wrócę na noc.

– Nie wierzę ci.

– Wieczorem będę z powrotem, obiecuję.

– Wtedy też obiecałaś.

Wyszła. Szła spacerem uliczkami otoczonymi wysokim lasem i myślała intensywnie. Zadzwoić do Lisickiego, do mediów, do komendy głównej? Co powinna zrobić? Żadne rozwiązanie nie było dobre. Nikt jej już nie zaufa, nie pomoże. Ech, ile bym dała, żeby móc się

kogoś poradzić. Żeby był tu któryś z jej nauczycieli z poprawczaka i szkoły policyjnej albo z dawnych przyjaciół. Wszystkich zawiodła, wszystkim pokazała palec, bo myślała, że jest najważniejsza. A dziś nie ma do kogo się zwrócić. Nie ma ani jednej zaufanej osoby.

Tylko usiąść i się pociąć.

Albo płakać.

Nawet jeśli nie umie się płakać.

Wtedy nagle coś jej zaświtało, pojawił się pomysł.

Wyciągnęła karteczkę, na której miała zapisane numery do Rodzkiego i Lisickiego, podeszła do budki telefonicznej i wybrała ten drugi. Odebrał po trzecim sygnale. Chyba był pijany. Nie chciał rozmawiać, jednak w końcu podyktował jej rząd dziewięciu cyfr. Podziękowała już po tym, jak się rozłączył. Wybrała połowę drugiego numeru, po czym rzuciła słuchawką.

Nie, nie poradzi sobie!

Co ma powiedzieć człowiekowi, któremu właśnie zniszczyła życie?

Prawdę.

Prawda was wyzwoli...

Znów wybrała numer. Głos starego Zwary był dźwięczny i dostojny. Nie zdradzał nerwowości, upokorzenia, zawodu, których jego właściciel zapewne wczoraj doznał. Może noc ukoiliła nerwy. Może po prostu był przyzwyczajony do takich akcji. Albo to pierwszy raz ktoś próbuje mnie zniszczyć? Oczernia, atakuje, podkłada świnie... Norma. Polityka to nie zabawa dla grzecznych dzieci. Tu jest masa podchodów i rozgrywek, gdzie przyjaciele nagle okazują się wrogami, a sojusznicy pierwsi wywieszają białą flagę.

Marika przedstawiła się krótko i zapytała, czy Zwara wie, kim jest.

– Tak – odparł cicho. – Po co pani dzwoni?

– Chcę to odkręcić.

– Chyba się nie da. Za późno.

– Jednak spróbuję.

– Jaki ma pani pomysł?

– Mogę opowiedzieć o wszystkim dziennikarzom.

– I myśli pani, że to wystarczy?

– Nie wiem.

Milczeli przez chwilę. Zwara odetchnął głośno i powiedział:

– Ale dobrze, jeśli chce pani spróbować... spotkajmy się.

– Gdzie?

Wahał się przez moment, a potem powiedział:

– Pamięta pani mieszkanie operacyjne na Miodowej?

– Tak.

– Proszę tam przyjechać. Powiedzmy o ósmej. Porozmawiamy, choć proszę sobie nie robić nadziei. Ta sprawa dla mnie jest już zamknięta.

– Dobrze.

Pojechała autobusem do centrum, a potem przesiadła się do linii jadącej w dół, w kierunku Wisły. Przeszła cały Nowy Świat, odrestaurowane Krakowskie Przedmieście i stanęła przy kamienicy na Miodowej. Do ósmej pozostało jeszcze parę godzin, ale może poczekać w środku. A może... pojawiła się jakaś odległa nadzieja... może on tam jest. Nie, to chyba jednak nie był dobry pomysł. Romeo pewnie dawno już zrezygnował z czekania na nią w tym miejscu. Ma inną dziewczynę albo poświęcił się biznesowi. Za parę lat, wyjeżdżając do Cannes, też będzie chciał zabrać ze sobą damę do towarzystwa. Może o to w tym wszystkim chodzi? Może świat nie potrzebuje już uczciwości, miłości, sprawiedliwości, szczęścia. Może wszystko da się kupić

i oszukać.

Nagle pomyślała, że cokolwiek się wydarzyło w jej życiu przez ostatnie miesiące, miało drugie dno i zupełnie inne oblicze, gdy spoglądało się pod słońce. Wszystko okazało się oszustwem.

Może Romeo też nim jest.

Czyżby był kolejnym podstawionym agentem?

A co jeśli ma jeszcze gorszą rolę w tym chorym spektaklu?

Czy zdolny byłbyś do zabójstwa, Romeo?

Zrobiłbyś to dla miłości? Dla mnie albo dla innej?

Gotów byłbyś poświęcić własne życie dla ukochanej istoty?

Uśmiechnęła się pod nosem.

Romeo i zabójca, też coś.

Wchodziła na górę powolnym krokiem. Minęła ją zaskoczona sąsiadka, zła, że Marika nie powiedziała jej „dzień dobry”. Potem schodami zbiegło jakieś dziecko. Trzecie piętro.

Przystanęła, zawahała się po raz ostatni i ruszyła jeszcze wyżej do drzwi prowadzących do mieszkania na strychu. Mieszkania, które przygotowali dla niej Lisicki z Rodzkim.

Drzwi nie były zamknięte, a z salonu dobiegała głośna muzyka.

Marika rozpoznała nuty ulubionego zespołu Romea i przyspieszyła kroku. Tak, potrzebowała wsparcia i Romeo byłby do tego najlepszy.

Ale Romeo prawie nie żył.

Leżał przy ścianie w nienaturalnej pozycji, przypominając zombie z gier komputerowych i filmów. Głowa na skrzywionej szyi podrygiwała w drgawkach, podobnie jak prawa noga wykręcona do granic możliwości. Niedobrze, pomyślała Marika, to kręgosłup. Widoczna część twarzy miała niemal zielony kolor, z wyjątkiem miejsc pokrytych zakrzepłą krwią. Wyglądał przerażająco.

Zrobiła krok do przodu i wtedy zobaczyła siedzącą na dywanie po turecku postać. Nie знаła tego mężczyzny, a może raczej chłopca. Rozpoznała go tylko dzięki zdjęciom pokazanym jej kiedyś przez Rodzkiego. Michał Zwara, syn polityka, którego skompromitowali i z którym umówiła się tu na ósmą, wydawał się pogrążony w zadumie. Nie widział jej. Marika naprężyła mięśnie, spięła się do skoku i wtedy zrozumiała, że wpadła w pułapkę.

Odwróciła się o dwie sekundy za późno i nie zdążyła zasłonić głowy ramionami. Ciężki młot treningowy uderzył ją w twarz z potworną siłą.

Światło zgasło.

Ból. Potworny ból rozchodził się od oczu, przez nos i szczękę aż do szyi. Potem ogarniał też ramiona, piersi i brzuch. Nawet nogi, które ucierpiały najmniej, zastały się i paliły teraz przy każdym ruchu. Ruchu? Ledwie była w stanie zgiąć palce u nóg. Gdy próbowała unieść rękę choć odrobinę, jęknęła porażona najbardziej potwornym cierpieniem, jakiego doznała w życiu.

– Żyje? Kurwa, ona żyje!

– Niesamowite. Wytrzymać coś takiego...

Dwa głosy. Mgła przed oczami ustępująca bardzo powoli. Ciężkie, zaropiałe, sklezione od potu i innych wydzielin powieki. Wstrętny smak i zapach. Czyżby...

– Jak tam, dziwko? Smakuje ci moja sperma?

W końcu rozmazana postać nabrała ludzkich kształtów. Twarz z falującej plamy przeobraziła się w grubo ciosane rysy smagłego młodzieńca.

– Dobrze było. Naprawdę dobrze.

Artur? Tak, chyba tak miał na imię. Jeden z przyjaciół młodego Zwary, którego przesłuchiwali z Rodzkiem w lesie. Jak mogła się nie zorientować, że coś z nim jest nie tak?

– Ha, naprawdę jest silna. Wytrzymała więcej niż inne.

Drugi głos też był znajomy. Widziała już normalnie. Druga nachylająca się nad nią twarz należała do Pawła. A gdzie Zwara? Okazało się, że wciąż siedzi w tym samym miejscu i się nie odzywa.

Więc to oni. I młody Zwara. Jaka rolę odegrał jego ojciec? A Lisicki?

Cholera, Rodzki miał rację. A ona zwątpiła w niego, mimo że powinna zaufać swoim wcześniejszym przeczuciom. Dała się zmanipulować. Zrobili z niej kretynkę.

– No gdzie ten twój tatuś, przyjacielu?

Wtedy zrozumiała.

Michał Zwara nie odzywał się, bo też był związany. Ręce miał założone do tyłu i przymocowane sznurem żeglarskim do stóp. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Był blade, ponury i pogodzony z losem. A więc on też był ofiarą.

– Powiedział, że przyjedzie koło drugiej – odparł Michał na pytanie zadane przez tego, który kiedyś był jego przyjacielem.

– Lepiej, żeby nie kłamał, bo wiesz, co możemy z tobą zrobić?

Paweł rozsiadł się na fotelu, młot położył na kolanach. Jego noga podrygiwała nerwowo.

– Może jeszcze raz się zabawimy? – zaproponował Artur. – Co ty na to, dziwko? No co, nic nie powiesz?

– Wszys... cy... trzej...

– Co tam charkoczesz?

– Wszys... cy... trzej... – powtórzyła.

Artur nachylił się, żeby lepiej słyszeć. Odetchnęła głębiej, zebrała ślinę i szepnęła:

– Zapłacicie za to... – A potem splunęła mu w twarz.

Odskoczył jak oparzony, poszukał wzrokiem narzędzia tortur, ale nie odebrał go Pawłowi. Wziął zamach i kopnął ją w bok.

Jęknęła.

– To ty zapłacisz, kurwo. Ty i ta dziwka, Olga. A potem ten jebany gliniarz...

Paweł wstał i oparł się na młocie.

– Pieprzone dziwki, wszystkie jesteście takie same. Ty, Olga, cholerna Łucja. Inne dziwki pieprzonej Soni. To jak? Mogę już rozjechać jej łeb?

– Jeszcze nie – zaoponował Artur. – Poczekamy na starego.

– Co za różnica...

– Poczekamy – rozkazał.

Paweł wzruszył ramionami i usiadł z powrotem. Marika znów próbowała poruszyć ręką. Tym razem wyszło nieco lepiej. Ból wciąż był koszmarny, ale chyba nie miała żadnych złamań.

Wiedziała, co robić. Szkolono ją, jak postępować w takich wypadkach. Graj na zwłokę. Zaatakuj, gdy będzie najlepszy moment. Teraz nie jest. Musisz grać.

– Pewnie jesteście z siebie dumni – szepnęła. – Nikt się nie zorientował. Wszystkich zrobiliście na szaro.

– Zamknij się, dziwko – warknął Paweł.

Artur jednak wyraźnie chciał sobie ulżyć.

– Realizujemy społeczną misję, pozbywając się kurew takich jak ty, ha – zarechotał. – Też pieprzyłaś się za kasę? Dla ciebie również to była taka gra? No to dla nas też. Jesteśmy pieprzonymi punisherami, którzy naprawiają świat.

Śmiali się jeden przez drugiego.

– Misja „Pożeracz dziwek”.

– „Ponury żniwiarz w akcji”.

– Jesteśmy twoim najczarniejszym koszmarem, kurwo.

Marika przymknęła oczy. Znów próbowała poruszyć rękami i palcami u nóg. Bardzo delikatnie. Nogi były w porządku, ręce też może sobie poradzą. Trzeba tylko poczekać na okazję. Kiedy przyjdzie Zwara. Zadzwoń. Jeden z nich pójdzie otworzyć. Drugi zostanie, by ich przypilnować. Wtedy Marika zaatakuje.

Jedyna szansa.

Musi ją wykorzystać.

Na dźwięk dzwonka wzdrygnęła się tak, że przez całe ciało przeszedł bolesny impuls.

– No nareszcie. – Artur ruszył do drzwi.

Paweł wstał ociężale i z młotem w gotowości stanął pomiędzy nimi. Usłyszeli szcęk zamka, a zaraz potem głośny krzyk i łomot świadczący o tym, że doszło do bójki. Paweł niepewnie zerknął na nią, następnie na Michała, chcąc rzucić się przyjacielowi na pomoc, ale w tym samym momencie Marika zaatakowała.

Jedyna szansa.

Jej ciało zerwało się najpierw na czworaki, potem stanęło jednym sprężystym ruchem, a następnie skoczyło, nie zważając na przenikliwy protest wszystkich zakończeń nerwowych.

Marika zamarkowała cios ręką i kopnęła z całej siły. Trafiony w podbrzusze mężczyzna zgiął się, a następnie upadł na podłogę, ściągnięty w dół oplatającymi jego szyję nogami Mariki. Zacisnęła je najmocniej, jak mogła, jednocześnie zagryzając zęby na fragmencie koszuli i zaciskając powieki. Nie chciała patrzeć.

Jeśli przybysz przegrał walkę z drugim dzieciakiem, i tak zginie.

Sekundy dłużyły się w nieskończoność, aż poczuła, że ktoś ją obejmuje i naciska na jej nogi, by rozluźniła chwyt.

– Już dobrze, wygrałaś. Już.

Znajomy zapach.

I głos.

Ciepły, wciąż przyjazny, mimo że nadużyła jego zaufania.

Rodzki.

Przyjaciel, nie zdrajca.

– Przyjaciel... – szepnęła pod nosem, a potem światło znów zgasło.





Koniec, to już koniec. Ale oszukałem was wszystkich. Wciąż nie wiecie, kim jestem. Kim naprawdę jest zabójca. Macie co prawda zawężone pole poszukiwań. Wszak wydaje wam się, że tylko jeden z nas dwóch może być mózgiem, prawda?

Choć...

Skoro to taki doskonały manipulator...

To jak możecie być pewni...?

Możecie być pewni, że ci dwaj biedni, słabi chłopcy nie są jedynie wykonawcami jego woli? Możecie wierzyć, że byli zdolni wszystko tak dobrze zaplanować, uknuć i związać, by okazało się to, co się okazało? Możecie?

Pewnie, że możecie.

Tylko czy to prawda?

A czy prawda ma znaczenie?

Przecież jest tylko odbiciem kłamstwa.

Drugą stroną tej samej karty.

Jedno albo drugie.

Czerń albo biel.

Krew lub wino.

Cha, cha, cha, cha...

Zrobił wszystkich na szaro...

Tego drugiego również...

Podobnie jak Michała, starego Zware, dziennikarzy i przyszłych sędziów...

Tak, ich też oszukał...

Oszukał wszystkich...

Nikt nie będzie w stanie go skazać...

Przynajmniej nie do końca...

Do zobaczenia zatem w przyszłości...

To jeszcze nie koniec...

Na pewno się spotkamy...

Żegnajcie...

Do jutra...

Do rana...

## Epilog

Dariusz Zwara, zasłużony polityk i wysoki funkcjonariusz służb specjalnych, popełnił honorowe samobójstwo dzień po słynnej konferencji, gdy luksusowa prostytutka ujawniła seksaferę, w którą był zamieszany jego syn. Według spekulacji prasy Zwarę znaleziono w mundurze oficerskim ze służbową bronią w dłoni, z której padł śmiertelny strzał. Kula została wystrzelona w usta, przebiła mózg i spowodowała śmierć na miejscu. Ciało generała znalazł jeden z jego przyjaciół.

Żadna z gazet nie ujawniła, że w dniu samobójstwa Zwara był szantażowany przez dwóch młodych zabójców prostytutek, którzy próbowali wymusić na nim dalszą pomoc w tuszowaniu ich czynów. Nikt też nie pisał o roli w sprawie byłej policjantki i pacjentki zakładu dla psychicznie chorych, która z ciężkimi obrażeniami ciała przez prawie miesiąc przebywała na oddziale intensywnej terapii szpitala Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Nikt też nie zakłócał specjalnie spokoju komisarzowi Rodzkiemu, który ową pacjentkę odwiedzał niemal codziennie.

W pierwszych dniach pobytu Mariki w szpitalu komisarz mógł jedynie siedzieć przy jej łóżku i trzymać za dłoń, gdyż pacjentka była w utrzymywanej farmakologicznie śpiączce. Mimo wszystko wyglądał na zadowolonego, a czasem mówił do niej szeptem i śmiał się do siebie.

– Wolę nawet, że nie mówisz, bo to chyba jedyna okazja, by cię zdominować, partnerko – powiedział jej kiedyś.

Kilka razy został też z nią w nocy. Przysiadł przy łóżku z książką i czytał jej na głos.

Może i komunistyczna świnią, może i esbek, ale porządny facet.

To już wiedziała. Była pewna.

– Niektórzy twierdzą, że pacjenci w śpiączce słyszą wszystko wokół całkiem nieźle i równie dobrze zapamiętują. Ciekawe, czy będziemy mogli pogadać o książkach.

Gdy ją wybudzono, prosił, by nie zmuszała się do mówienia, ale ona nie mogła wytrzymać zbyt długo. Dokładnie zapamiętał też jej pierwsze słowa:

– Co z Romeem?

O dziwo z Romeem było znacznie lepiej. Pobicie nie było tak dotkliwe, a rany, poza dość mocnym wstrząśnieniem mózgu, raczej powierzchowne. Nijak się to miało do siedemnastu złamań, których sama doznała.

– Cholera, aż siedemnaście? A ja myślałam, że kości mam całe.

– Organizm, jeśli tego potrzebujemy, czasem da się oszukać lub sam kantuje. W twoim przypadku zupełnie nie wiem, co jest prawdą.

– A co z tymi dziećmiakami?

– Proces ruszy dopiero w przyszłym roku, na razie trwają przesłuchania.

– Zeznają?

– Zwara tak, pozostali milczą. Ciągłe powtarzają, że to wszystko to taka gra. Nic nie dzieje się naprawdę.

– Wierzysz im?

– Nie.

– Do czego zatem doszliście?

– Łucję prawdopodobnie zamordował Artur, który chciał winę zepchnąć na Michała Zwarę.

– Nie byli przyjaciółmi?

– Dziwna to była relacja. Z jednej strony wspierali się i ciągle trzymali razem, z drugiej rywalizowali nie zawsze na zdrowych zasadach. Kiedyś podobno o mało jeden się przez to nie

udusił, gdy próbował najdłużej wytrzymać pod wodą.

– Który?

– Nie wiem. Według naszej hipotezy Artur, który zazdrościł Michałowi, podsunął przyjacielowi prostytutkę Łucję, a potem nie mógł ścierpieć, że ten się w niej zakochał, a może właśnie do tego chciał doprowadzić, po czym odebrać mu tę miłość, zakpić, pokazując jej prawdziwe oblicze, pokazać, czym się zajmuje, a w końcu zamordować, zrzucając winę na niego. Do diabła, pokrecony człowiek, nie każ mi wyjaśniać jego motywów.

– Mówiłeś, że ma alibi...

– Dobrze zna się na narkotykach. Podał odpowiednią mieszanekę dziewczynie, która z nim była, i ta nie pamiętała praktycznie niczego z tamtej nocy. W pierwszych zeznaniach powtórzyła więc wersję Artura, lecz gdyby ją przycisnąć, pewnie by powiedziała wszystko zgodnie z prawdą, czyli że w rzeczywistości nic nie wie. Pewnie dlatego chciał ją usunąć, żeby nie mogła zmienić swojej wersji. Choć ja bym obstawiał, że zabijanie mu się spodobało. Jest ostrożny, ale ten drugi, Paweł, znacznie mniej. Powiedział naszemu agentowi, którego podstawiliśmy do celi, że Artur jest demonem zbrodni, uważa się za jakąś nadprzyrodzoną istotę, która gra w grę. Namawiał go rzekomo do kolejnych zabójstw, przekonywał, że to tylko taka gra...

– A Zwara?

– Stary? Cóż, początkowo chciał tylko chronić syna. Był przekonany, że jest niewinny, a bał się, że jego polityczni przeciwnicy to wykorzystają. Myślę, że rzeczywiście był człowiekiem honoru. Wierzył w niewinność syna i dlatego mu pomagał. Gdy nagle się okazało, że jest inaczej, postanowił to zakończyć. Wybrać honorowe rozwiązanie.

– A ty?

– Ja?

– Wiesz... to, co mówił Lisicki.

– Każdy ma swoje tajemnice – szepnął Rodzki.

– Nie powiesz mi więc?

– Każdy ma, niektórzy o nich klepią, inni zachowują dla siebie. Może kiedyś ci opowiem...

– Ale nie dziś?

– ...dziś wolę porozmawiać... o czymś innym.

Wstał z krzeselka, podszedł do pozostawionej przy wieszaku na ubrania skórzanej torby i wyjął z niej jakiś dokument. Wrócił na miejsce, po czym przekazał kartkę Marice.

– Co to?

– Sama przeczytaj.

Przeczytała. Na jej twarzy pojawił się grymas rozczarowania pomieszanego z rozdrażnieniem i gniewem.

– To żart?

– Nie.

– Przecież mówiliście...

– Są rzeczy, które można przeskoczyć, i są takie, których przeskoczyć się nie da.

– Dziś mówisz jak encyklopedia cholernych cytatów.

– Sam czuję się jak cholerny cytat. Mam jeszcze jedno pytanie.

Zadał je, jednak Marika nie odpowiedziała.

– Jestem śpiąca – rzuciła i zamknęła oczy.

Mimo że mu nie pozwoliła, następnego popołudnia poszedł pod adres, który wyciągnął z rejestru spółek. Było to zwykłe kilkupokojowe mieszkanie w bloku. Z tego, co ustalił, Andrzej mieszkał sam. Gdy zobaczył policjanta, wpatrywał się w niego przez dobre pół minuty, a potem bez słowa wpuścił do środka.

– Napijesz się czegoś?

Rodzki poprosił o kawę i rozglądał się po mieszkaniu, które przypominało jakąś hurtownię.

– Naprawdę na tym zarabiasz?

– Na czym? Na grach? Całkiem nieźle.

– Słuchaj, Romeo, mam do ciebie prośbę...

Rozmawiali krótko, potem Romeo ubrał się i wyszli razem. W samochodzie milczeli, aż Rodzki wpakował się w korek i jechał powoli prawym pasem.

– Nie możesz...? – Romeo zrobił jakiś niewyraźny gest. – No wiesz...

– Użyć koguta?

– No.

– Nie ma potrzeby. Nie spieszy się nam.

– Aha.

Milczeli przez dłuższą chwilę, aż Romeo poczuł się niezręcznie.

– Jak ona się czuje?

– Dochodzi do siebie.

– Przykro mi, że to się stało.

– Nie ma potrzeby, to nie przez ciebie.

– Gdybym tam nie polazł, może nic by się nie wydarzyło.

– Wydarzyłoby się.

Romeo chciał jeszcze coś dodać, ale w końcu machnął ręką.

– No powiedz.

– Co?

– To, co chciałeś powiedzieć.

– Wiesz, tak sobie myślę, że nic dobrego z tego nie wyniknie... Chodzi mi o moją wizytę.

– Dlaczego? Ona chce cię zobaczyć.

– No nie wiem.

– Ale ja wiem.

– Co o niej wiesz, komisarzu?

– A co cię interesuje?

– Dlaczego trafiła do psychiatryka? Czy to prawda, że nie pomogła tej dziewczynie gwałconej przez jakiegoś zbrojnego wufiście?

Rodzki przymknął oczy i zobaczył zdjęcia z tej sprawy. Nie życzył nikomu takich widoków. Żadnemu wufiście nie życzył spotkania z Mariką.

– Miała na imię Olga. Ta gwałcona dziewczynka.

– Aha – Romeo nie był pewien, czy chce dalej pytać. Rodzki jednak sam dopowiedział:

– Wiesz, Romeo, nie wszystko wygląda dokładnie tak, jak to widzimy czy ktoś nam opowiada. Każdy ma swoje tajemnice. Ty, ja i Marika. Ale mogę powiedzieć ci jedno. Gdyby Marika nie robiła tego, co należy robić, nigdy nie zostałaby gliną.

– Podobno nie może już wrócić do służby.

– Żebyś się nie zdziwił, Romeo.

Na tym skończyli i dalej jechali już w milczeniu. Rodzki nie wszedł z nim na górę. Romeo kroczył coraz wolniej, aż w końcu dotarł do wskazanych drzwi. Przed nimi nie było nikogo. Myślał, że będzie tak jak na filmach, że ktoś pilnuje tak ważnego świadka. Myślał też, że w środku będzie więcej osób. Ale była tam tylko Marika. Uśmiechnęła się do niego, a on do niej. Potem przysiadł przy jej łóżku i patrzył w oczy. Wtedy ona oblizła wargi i powiedziała:

– Pieprzyłam się z innym, kiedy z tobą byłam.

– Wiem.

– Nie przeszkadza ci to?

– Jeśli tobie nie przeszkadza, że wiem...

Siedzieli, trzymając się za ręce, aż słońce zaszło i w pokoju zrobiło się całkiem ciemno.

Wtedy Romeo chciał wstać, by zapalić światło, ale powstrzymała go.

– Tak jest dobrze.

W ciemności byli tylko oni, ich przyspieszone oddechy, bijące serca i rosące podniecenie.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz